

EDWARD LUBOWSKI

OPOWIEŚCI NIEMORALNE

OBRAZKI Z ŻYCIA RZECZYWISTEGO

Liczny szereg karet zajeżdża przed kościół.

Karety eleganckie, lokaje wygalowani na kozłach-, n dwóch karet nawet strzelcy z tyła,— huk i wrzawa na moście, bo to ślub słynnej z piękności i wielkiego posagu panny Natalii Z...

Przed samym kościołem gromadka studentów oczekuje z ciekawością na państwa młodych. Wszyscy znali z widzenia piękną pannę Natalią o wielkich, czarnych oczach, a niejeden z tych młodych, marzył o niej przez dobę, ilekroć ją spotkał w teatrze lub na spacerze. Jeden z nich, zwłaszcza, jasno-włosy o bladej twarzy, patrzy z niepokojem przed siebie i duma... Może liczy jeszcze na jaką niespodzianą odwłokę ślubu. Przeniknął go kollega znany z dowcipu i śmiałości, Andrzej, bo nagle uciął opowiadanie i zawołał:

— Gdyby tak Gabryś prawdę powiedział, o czóra teraz myśli, co?

— Myśli pewnie o tśm, że onby się lepiej dopasował do panny Natalii.

— Zgadłeś — rzekł znów Andrzej — o lem myśli, i choć tak łagodny, życzy jednak w duszy pana młodemu, żeby go tknęła mała apo- pleksyjka...

— Daj-że pokój! — oburknął się Gabryś.

— Malutka, taka tylko, ażeby odwłóc ślub na rok, albo na dwa, a potem kto wie?... wszak i Napoleon I, co się wznosił tak prędko, prawda?... Patrzajcie, patrzajcie — przerwał nagle refleksją, wskazując na zajeżdżający powóz, z którego wyskoczyło dwóch dandysów — toż to ten brabia, który tak assistował pannie i w taką zawsze zazdrość wpędzał Gabrysia...

— Mówili, że on się z nią ożeni.

— Hrabiowie nie żenią się z szlachciankami, choćby najbogatszymi, chyba że sami są goli, a on przecież ogromnie bogaty.

— A ten dragi, to młody szambelan, słynny z tego, że nic nie mówi, a jeszcze mniej myśli. Ho, ho, jaki szyk! państwo Kopycińczy z Dnżej Wólki ze strzelcem, a strzelec z kordelasem, tylko synalka niema.

, — Obraził się, że go nie chciała panna Natalia, choć taki przystojny i tańczy, jak baletnik.

— Ale też jak baletnik...

— Ho, ho i nieodstępny przy wszystkich weselach, rantach i zabawkach wyższego świata, pan Potyralski.

— Szczęśliwy człowiek! sam opowiadał mojemu ojcu, że przez cały rok, raz tylko wypa dło mu zjeść obiad w restauracyi. Rozrywają go* sobie.

— A do czegoż on im przydatny?

— Do wszystkiego. Chwali panią domu, córkę, urządzenie domn, załatwia sprawunki, urządza teatr amatorski, tańczy na czwartego w kadryla, gra na trzeciego z dziadkiem, wnosi toasty na rodzinnych fetkach. O! to człowiek, co minuty czasu nie traci, i choć nie ma majątku ani żadnego fachu, w kieszeni zawsze pieniądz ma, za granicę jeździ, a w handlach bardzo go szanują.

— A ta kareta czyja?

— Wysokich finansów. Pan bankier łaskę robi ojcu panny Natalii, że go zaszczyca swoją obecnością, bo on przyzwyczajony do najwyższych arystokratycznych salonów.

' — Gadasz, gadasz.

— A dlaczegożby nie? Jakby chciał, toby pożyczył każdemu, mówi po francuzku doskonale, każdy go potrzebuje, a on nikogo. A ma kto takie konie, a stangret ten czy nie wygląda jak lord angielski? uroczysty, jakby wioził ostatniego potomka Sobieskich.

Nagle nadpływający tłum spieszących na ślub rozerwał gromadkę. Gabryś, ów smętny, skorzystał z tego i wcisnął się na próg kościoła, ażeby raz jeszcze zajrzeć w oczy pannie Natalii.

Bo tói śliczna ta panao Natalial

Smukła, bladości matowej, oczu o wielkich czarnych, porywających słodyczą i wyrazem jakiegoś łagodnego smutku, zachwycała wszystkich obejściem ujmującym i pełnym wdzięku. Domownicy czcili ją, jak bóstwo, znajomi podziwiali i przepowiadali świetną przyszłość; zazdrośni zazdrościli więcej, niż zwykle, a ojciec jej kochał ją tak, jak się kocha dziecko, które łączy jeszcze ze światem.

Ojciec Natalii pan Z... bardzo zamożny obywatel ziemski i kapitalista, stracił w kilka lat po ślubie żonę, którą kochał bardzo, a w kilku dalszych latach cała swą rodzinę. Poświęcił się więc całemu wychowaniu jedynaczki.

To, co zwiemy wychowaniem, ograniczało się do modlenia się do niej i zadawania najmniejszego jej kaprysu, ale wykształcenie dał jej nietylko staranne, lecz wyszukane.

Natalia oprócz gruntownej podstawy ogólnego kształcenia, śpiewała, jak artystka, mówiła kilkoma językami i tworzyła... poezje, z których kilka wydrukowanych bez jej wiedzy, zyskało jej pewną reputacją w kołach towarzyskich.

Trudno mu też było rozstać się z córką. Najlepszy choćby mąż, to zawsze mąż, dla którego opuszcza się ojca i dom rodzinny. Całą jego pociechą było, że znał pana młodego z ojca i dziada, a rodzinę jego, jako gniazdo cnót obywatelskich.

Sam pan młody, Teodor W. lat 28, wysoki, barczysty młodzieniec, przystojny w zwykłym znaczeniu tego słowa, ukończywszy zakład agronomiczny za granicą, osiadł na dużych rodzinnych dobrach i w dwóch latach zyskał już sobie opinią „porządnego” człowieka, co lekko na życie nie patrzy.

Z Natalią poznawszy się na wieczorku tańczącym, hulał z nią do upadłego, a że był wesoły, roztropny, szczery, modnego panicza nie udawał, więc się pannie od razu spodobał i kiedy niedługo potem oświadczył się naprzód ojcu, ten westchnąwszy, rzekł jednak z zadowoleniem:

— Co do mnie, nic nie mam przeciwko temu, ale Natalka rozstrzyga.

A Natalka, pomyślawszy chwilę, porozmawiawszy z ojcem, poradziwszy się własnego serca, które było najspokojniej, zdecydowała się oddać mu swą rękę. Rzekła tylko swój przyjaciółce, sentymentalnej Julii, która się oburzała na to, jak może oddać rękę bez wielkiej miłości:

— Moja droga, nie wiem, czy kiedykolwiek poznam to, co ty zowiesz wielką miłością, a on podoba mi się, jest szczery, -co myśli, to i mówi, ojcu partya się podoba, więc dlaczegóż mam odwlekać?

— Ale dlaczegóż się tak spieszyć?— odparł a panna Julia.

— Ani się spieszę, ani odwlekam, tak podobno dzieje się na świecie; ojciec pomimo, że

chciałby, abym z nim zawsze była, widzę, że ncieszony z Teodora; zresztą szczęścia nie wyobrażam sobie w ogóle w małżeństwie, ale inaczój być nie może. Ci wszyscy, którzy mnie zawsze otaczali, albo mnie znndzili, albo zdawało mi się, że nie uszanują mojego usposobienia.

I oto dlaczego bez wzruszenia, ale i bez wstrętu, chłodno lecz i poważnie, zdecydowała się panna Natalia zostać mężatką.

We dwa dni po wystawnem i 'huczmem weselu, na którym ojciec spłakał się rzewnymi łzami, a żegnał się z córką tak, jakby przeczuwał, że jej więcej nie zobaczy — na którym dosyć powiedzieć, toastów tyle prawie było, ile butelek szampańskiego — nowożeńcy wyjechali do dóbr pana młodego.

Miodowych miesięcy było tylko dwa—w trzecim zauważyła ciągle bardzo chłodna pani Natalia, że mąż jej jest wprawdzie szczerym, takim, jak jej się wydawał przed ślubem, ale trochę zanadto, gdyż wolałaby nieusłyszeć wielu jego konfidencyj, że mówi to, co myśli, ale myśli bardzo poziomo i nudno — praktycznie, że je i pije za dużo, i że zbyt wielkiem zamiłowaniem, że poza robieniem majątku i wygodami, nie wiele go co na świecie obchodzi, że czytać nie lubi, ani nawet słuchać jej śpiewu, cbociaż jej tego nie nagania, nareszcie, że zaczyna jej „działać na nerwy."

Zaczęły się maleńkie różnice w zdaniu, przemienione niedługo w nieduże sprzeczki, skutkiem których ona doszła do przekonania, że małżeństwo nie jest rzeczą obojętną, i że kto wie, co jej grozi w przyszłości.

On trochę później mówił naprzód sam do siebie, a potem do swojej najbliższej rodziny, że lęka się, „iż się ze sobą nie dobrali."

Po kilku znowu miesiącach, drobne sprzeczki przeszły w kilka drobnych scen, pocztin oboje tylko dla decorum przy ludziach mówili do siebie, zresztą unikając się starannie.

Na ich szczęście czy nieszczęście, urodziła się im córeczka, co ich zamiast zbliżyć, bardziej jeszcze rozdzieliło, ona albowiem, oddawszy się całkiem dziecięciu, zapomnieć chciała zupełnie, że ma męża, on zaś, lubo na nią coraz bardziej rozdrażniony, przez wzgląd jednak na dziecko milczał.

Pożycie stawało się coraz nieznośniejszem. Wstrzymywali się wprawdzie od sprzeczki i scen, atoli wzajemna niechęć doszła, do tego stopnia, że mieszkanie pod jednym dachem wydawało się obojgu nieznośną męką. Potrzeba było raz skończyć, w tym celu wybierała się pani Natalia do swego ojca po radę i opiekę. Ojciec miał ułożyć warunki seperacyi dobrowolnej, oraz podstawy kierownictwa i wychowania córeczki.

Powóz stał zaprzężony przed gankiem, pani Natalia miała się już żegnać z zachmurzonym

małżonkiem, gdy nagle posłaniec na spienionym koniu przywiózł sztafetę.

Porwała ją jakby przecuciem tknięta pani doma i zaledwie rzuciła na nią okiem, padła zemdlona.

Sztafeta donosiła o nagłej śmierci ojca.

Zadrgało sumienie w pana Teodorze; czalej, niż kiedykolwiek zbliżył się do żony. I ona także postanowiła przewyciężyć wstręt swój i choćby przez cierpienie dojść do równowagi i zostać dobrą małżonką i matką.

Chwalebne te usiłowania trwały rok przeszło. Oboje szczerze chcieli się poprawić, uprzedzenia wzajemne stłumić, a gdyby nawet to było możliwe... jeszcze pokochać się. Lecz czy było to możliwym?

Nie zgadzały się ani ich charaktery i temperamenta, ani ich przeszłość i wychowanie. Co dla niego było miłym, jój wydawało się szorstkiem i ordynarnem, co jemu wydawało się naturalnem i zwykłym, jej zdawało się niedelikatnością lub brakiem wychowania; —• ona lubiała zajmować się literaturą i sztuką, on lubił tylko konie, strzelbę, pogawędkę wrzawliwą z sąsiadami i gospodarke. Ona chciała mieszkać przez zimę w mieście, on najszcześliwszy czuł się na wsi, ona lubiła wydawać dużo na obrazy i różne cacka artystyczne, on tylko na młockarnię i dobrą stajnię.

Córeczka jeszcze była zbyt małą, ażeby troska o jej wychowanie mogła ich pojednać. Potrzeba więc było—rozstać się, póki można było, bez zawziętych gniewów i bez zgorzenia.

Rozstali się — ona zamieszkała w ulubionem przez siebie mieście, on a siebie na wsi.

Dochody z jej własnego majątku i renta jaką jój prócz tego wypłacać przyrzekł, wystarczały na życie wykwiłne, na prowadzenie domu na okazałą stopę.

W takich wypadkach znajdzie się zawsze jakaś ciotka opiekunka; znalazła ją tóż Natalia w osobie dalekiej kuzynki matki, Franeuzki z pochodzenia, a tylko ożenionej i owdowiałej w Polsce, i z nią, oraz z córeczką, zamieszkała w Warszawie.

Pani Natalia postanowiła nie przyjmować u siebie i nie bywać nigdzie, chyba u kilku krewnych.

Dla ładu obmyśliła formułkę, której nie zmieniała, a mianowicie, że czasowo mieszka w mieście dla względów zdrowia wątłej córeczki.

Powrót wszakże do miasta, owej słynnej i uwielbianej niegdyś panny Natalii, narobił odraza ogromnej wrzawy, a gdy się dowiedziano, że przyjechała bez męża i bez niego dłuższy czas zabawi, zaczęły się sztormy nie na żarty do jej hermetycznie zamkniętych drzwi. Dawni wielbiciele i przyjaciele domu, składali swoje wizyty natarczywie, ale odchodzili z kwitkiem.

Wnet też sprzykszyli sobie wszyscy to zamknięcie się jej i dali jej za wygraną.

Jedną tylko pani Marmon — owa ciotka — nie dawała za wygraną, tłumacząc jej, że takie zerwanie z ludźmi, prędzej ozy później sprzykszyć jej się musi, że więc potem powrót do stosunków ze światem, będzie trudniejszy i dziwniejszy.

Nic nie pomogło. Pani Natalia została nieubłaganą, a pani Marmou, lubiąca się bawić pomimo 50 lat, zmuszoną była kłaść się do łóżka o dziesiątej i całymi wieczorami czytać Zolę lub słuchać śpiewu Natalii, co ostatecznie wydało jej się rozpaczliwie monotonnem.

Pani Natalia śpiewała bowiem jeszcze —■ przez wspomnienie pierwszej młodości, oraz czasów, w których wszyscy błagali ją na klęczkach o piosnkę, a jeden młodzieniec... ob! czemuż nim wzgardziła! — wpadał w ekstazę ilekroć ją słyszał, a raz nawet i zemdlał. Jej te ekstazy i omdlenia wydawały się zniewieścia- łością, niegodną „pana świata” i odtąd nie mogła patrzeć bez śmiechu na ekstatycznego pana Kamila.

Zrozumiał to wtedy pan Kamil i pożegnał ją „na wieki.” Wprawdzie w kilka miesięcy polem, mignął jej się przed oczyma cień jego w kościele podczas ślubu, ale potem już go nie widziała i kto wie, czy żyje „bieduy.”

Ach jakże ukaraną jest dzisiaj za pogardę wielkiego uczucia: Gdyby mąż jej choć trochę był tak uczuciowym, jak pan Kamil, kto wie!...

Pewnego wieczoru — pani Marmon poszła na operetkę do teatru, a córeczka spała oddawna— Natalia, leżąc na otomanie, przypominała sobie świetne czasy swoich tryumfów, tłumy młodzieży na każdym balu, czyzbających na każde jej spojrzenie, zazdrosne słówka przyjaciółek i ich matek, pełen miłości wzrok ojca, rozkoszującego się swoją jedynaczką...

Jakże wtedy było jej błogo na świecie, a ona zrzekła się wszystkiego nagle i tak prędko, dla czego? Dziś sama nierozumie dla czego, wie dziś tylko dla kogo? Czyż mąż jej nie mógł wdychać lat kilka i dręczyć się zazdrością? Jakżeby chętnie dziś zazdrością udę. czyć go chciała!

Wtem posłyszała głos dzwonka, a wkrótce potem przyniósł służący bilet wizytowy. Natalia przeczytawszy, o mało w głos nie krzyknęła, poczem zerwawszy się szybko, poprawiła sobie włosy przed lustrem i zawołała gorączkowo; „poproś.”

— On tu! — szepnęła niezmiernie zdziwiona i wzruszona.

Za chwilę wszedł mężczyzna lat trzydziestu kilku, blondyn płowy, o wielkich, mdłych niebieskich oczach, włosach zafryzowanych po baj- ronowsku. Postąpiwszy kilka kroków, rzeki:

—Przebacz pani...

V BNS

Natalia wyciągnęła doń obie ręce, mówiąc:

— Pan tal...

— Dziś przyjechałem i dowiedziawszy się o pani pobycie, odważyłem się przypomnieć pani, proszę mi przebaczyć...

— Przebaczam, dawny przyjaciela, siadaj.

I zaprosiła obok siebie na ottomance... pana Kamilla.

— Mów pan, co robisz, gdzie mieszkasz, czyś się ożenił?

— Ja ożenić się — zawołał z wyrzutem głosem szczerym, wzruszonym wszak pani więc... ja... nigdy się nie ożenię... przysiągłem!...

— Komu? — rozśmiała się przyjemnie.

— Sobie... Wtedy, gdym panią pożegnał na wieki...

— A widzisz pan, że nie na wieki, et il n'e fant jurer de rien.

— Nie myślałem nigdy, ażebyś pani tak prędko... tak prędko...

— Co tak prędko?

— Rozczarowała się... a raczej byłem tego pewny, bo męża pani znałem. Praktyczny to gospodarz, zdrowy i rubaszny mężczyzna, ale...

— Panie!...

— O przebacz droga pani! — jęknął ekstatyczny pan Kamil, spuściwszy głowę na piersi w sposób najromantyczniejszy.

Pani Natalia przebaczyła mu... Miękkłość, ekstaza, rzewność i sentymentalność pana Kamila, zachwyciły ją teraz po szorstkości, rubasności i zbytnej swobodzie małżonka.

I odtąd stał się pan Kamil codziennym i nieodstępnym gościem.

Pani Marmon jednak nie podobał się on wcale; ona lubiła wesołość i śmiechy, a on jeszcze ciągle popłakiwał po kątach, choć prawdę mówiąc, nie miał do tego najmniejszego powodu.

Wesoła ciotka chodziła eodzień do teatru, córeczka bawiła się w swoim pokoju, a pani Natalia śpiewała coraz więcej, pan Kamil zaś wsłuchiwał się z zachwytem, którego mu już nikt nie poczytywał za śmieszność.

Po kilku jednak miesiącach pani Natalia siedząc rano przed toaletą, z westchnieniem nudów pomyślała o wieczornej wizycie pana Kamila. Napłakała się z nim, nazwierała, narzekała na męża, który jej tak „działał na nerwy,” ale zbadawszy stan swego serca, sumiennie przekonała się, że ono nie wzruszone, jak przedtem.

Pan Kamil był dla niej reakcją przeciw tyraństwu; męża, przypomnieniem świetnych chwil, tryumfów panińskich, rezerwoarem, w który przelewała swoje żale prawdziwe i urojone, ale gdy już wylała wszystkie swoje żale, rezerwoar ten nudził ją, a co gorzej, (moralista rzekłby co lepiej) wydawał się jój tak śmiesznym, jak dawniej. A ponieważ była kobiętą

szybkich postanowień, więc niebawem zniewoliła pana Kamila, że znown zażawiony pożegnał ją „na wieki.”

Pierwsza ta próba zostawiła jej niesmak i dręczyła ją, jak wyrzut sumienia.

Dobrowolne swe wdowieństwo przerywać tak trywialnie z takim panem Kamilem, którego przecie panną jeszcze oceniła, jak należy! Żałując i zastanawiając się nad przyczyną swej omyłki, doszła do przekonania, że było nią odosobnienie od świata, osamotnienie, w którym pierwszy lepszy wydał się jej doskonałością.

Ażeby się jnż nie mylić, a przytem rozerwać, głównie zaś może, ażeby zagłuszyć wyrzut sumienia, zaczęła bywać w domach wszystkich dawnych znajomych. Naturalnie że i swój dom gościnnie otwarła.

Dawni znajomi pośpieszyli, a nowi jeszcze Bkwapliwiej od dawnych.

Wabiła ich piękna, młoda kobięta, otoczona pewną tajemnicą, wystawne przyjęcie i swobodniejsza z natury rzeczy, niż gdzieindziej, zabawa.

Młodzież szczególniej dobijała się o przystęp. Znikła lekka chmurka melancholii na czole pani Natalii i poraż pierwszy w życiu przyznała się przed ciotką, że zaczyna pojmować dobrą stronę życia, a przedewszystkiem, że się bawi prawdziwie.

Z mężczyzn odwiedających jej salon, zwłaszcza w dniach rautów, ciekawił ją pan Gustaw X... mężczyzna trzydziestokilkuletni, cieszący się sławą utalentowanego powieściopisarza.

Zazwyczaj był milczącym, czasami nawet ponurym, w obejściu z nią nieśmiałym, lecz oczy jego szare patrzyły na nią często z zamyśleniem, które ją mieszało. . Na marmurowem jego czole czytała cały świat myśli i postaci, którym nadać życie, kto wie... czy nie od niej zależało.

Dreszcz rozkoszy przenikał ją, gdy pomyślała, *e staćby się mogła dlań natchnieniem, że kiedyś biografowie śledziliby w legendach i podaniach, każde jej słowo wyrzeczone do niego, słowo, w któremy szukali pierwszego zarodka późniejszej kreacyi.

Co sobie myślał pan Gustaw, tego nie wiemy, prawdopodobnie śledził w niej wzoru do jednego ze swych ntworów, lecz to było faktem, że się mimowoli szukać zaczęli i odgadywać jak rebus, trudny do rozwiązania.

Pan Gustaw zawsze mówił mało, dopowiadając wzrokiem to, co bujna jej fantazyja zamarzyła; słuchał jednak z widocznem zadowoleniem rozpoetyzowanej i spowiadającej się ze swych różnych aspiracyj, pani Natalii.

Wkrótce natłok gości stał się im nieznośnym. Zapragnęli częstszego widywania w jak naj-

Powit^d niemoralne.

mniej szem otoczeniu. Natalia znała już teraz trzy plany jego przyszłych powieści i z dumą, której nie siliła się utaić, udzielała mu swoich uwag i spostrzeżeń, przyjmowanych z widoczną pobłażliwością.

Pewnego wieczoru, gdy jej krótkimi słowami określał charakter głównej heroiny, poznała siebie i pobladłszy ze wzruszenia, wpatrzyła się w niego z takim zachwytem, że pan Gustaw stał się nagle rozmownym i ożywionym.

Nazajutrz ułożyli sobie nowy plan życia. Więcej spokoju i odosobnienia, mniej stykania się z tym powierzchownym światem i jego błahostkami.

Pani Marmon, której niedawny zwrot Natalii stał się właściwym żywiołem, gdyż lubiła nade- wszystko ruch, wrzawę i wesołość towarzyską, teraz znowu ratować się musiała chodzeniem do teatru. Chciała przestrzecz swoję kuzynkę, ale już poznała samowolny i kapryśny jej charakter. Wiedziała, że Natalia lubi wypić puhar do dna, chociażby przeczuwała gorycz na spodzie zawartą.

Lecz jeszcze w tej chwili daleką była do goryczy. Gustaw czarował ją swoją wyższością, siłą charakteru, wymagającą od niej po napoleońska zrobienia lub nie zrobienia tego lub owego. Imponował jej obejściem i słowem. Cieszyła się, że znalazła w nim „pana,” gdy

Mfi. 7

dotychczas w mężu widziała tylko ekonoma, a w panu Kamilu mazgaja.

Talent Gustawa, jego olbrzymia duma w obcowaniu z ludźmi, jego pogarda świata i obojętność dla wszystkiego, co nie dotyczyło jego własnej osoby, oślepiały ją, jak słońce... Stała się w oboe niego maluczką, pokornikutką, wpatrzoną i wsłuchaną w jego skinienie i czuła się przytem szczęśliwą, jak nigdy... przez cztery miesiące.

W ciągu czwartego miesiąca, drażniła ją wprawdzie jego szorstkość, którą jeszcze uważała za wyższość, zabolala nieraz obojętność co do niej samej, którą wprawdzie uważała jeszcze za artystyczne skupienie talentu, drażniło wreszcie szyderstwo z jej drobnych kobiecych * słabości i ułomności, które wprawdzie uważała jeszcze za wzniesienie się ducha nad świat po- ziony i płytki, ale cichaczem, gdy się znalazła samą, na lzy jej się zbierało. Zdawało się jej, że człowiek taki wypełniwszy jej ducha, zado- wolni i jej duszę. Tymczasem duch jej nasycił się, rozszerzył, spoważniał, ale dusza czuła się znękaną, smutną i opuszczoną, jak dawniej.

Znała już teraz pięć planów jego przyszłych powieści i wszystkie heroiny, wiedziała—z jego wyznań — że to, co teraz napisze, przewyższy wszystko, co było dotąd w literaturze polskiej i obcej, ale już nie doznawała tych świętych dreszczów zachwyty, co przedtem, a czasami są-

działa, że gdyby on trochę więcej zajął się jej cierpieniami i smutkiem, to oprócz zachwytu czułaby nieograniczoną wdzięczność.

Atoli p. Gustawowi ani w myśli nie powstały drobne jej udręczenia i coraz częstrze zamyślenia, aż gdy je raz dostrzegł, oburzony, że może myśleć w jego obecności o czymś innym, a nie o nim i jego kompozycjach, nie żałował, surowych, ostrych nawet słów napomnienia.

Ukorzona Natalia przyrzekła poprawę, ale zamyślała się coraz smutniej i coraz eźściej. Zdziwiony jej niesfornością Gustaw, zażądał sit- rowej spowiedzi, wywołał ją nawet swą gwałtownością. Spowiedź była szczera, mięszwały się ' z nią tu i owdzie wyrzut, cicha skarga, nie dość ukryty żal. Wyrzuty, skargi jemu! jomu, który najlepszą część swego czasu poświęcił jej, który ją wtajemniczał tak mozolnie w duchowy proces swoich utworów! Niewdzięczna!— zawołał błąd z gniewu i odszedł, zmierzyszy ją od stóp do głowy z pogardą.

Nazajutrz jednak powrócił udobruchany. Surowy pan miał chwile przystępu i łagodności.

Tego dnia właśnie trzy stare dewotki przysięgały mu, że spią z jego powieściami i to dało mu humoru. Chciał nawet pogłaskać po twarzy panią Natalią, ale o dziwy — ona odsunęła się z niechęcią i na coraz czulsze jego odezwy, odpowiadała coraz bardziej lodowatym zachowaniem się.

P. Gustaw przyzwyczał się już do pani Natalii. Codziennie bywał tu i zastawał jak gdyby stół regularnie nakryty: ubóstwienie i zachwyty, nie chciał więc nagle stracić tego wszystkiego. Zmiękł i głosem -profundo wyrecytował cały monolog z jednej z najbliższych swych powieści. Nic nie pomogło. Pani Natalia zamiast się rozrzewnić, patrzyła na niego z niemałym zdziwieniem. Ani wiedział, że za każdym słowem schodzi w jej oczach z piedestału, na którym postawiła go jej wyobraźnia.

. Powrócił do domu niezadowolony, gdy przeciwnie pani Natalia, która dotychczas popłakiwała często, z pogodą na czole, spać się położyła. Że zaś nabyła pewnej wprawy w pożegnaniach, więc ani się spodziewał biedny pan Gustaw, gdy otrzymał list łatwy do zrozumienia. Co zaś gorzej, że przyznać musiał, iż napisany jest z prawdziwym talentem, i że kto wie nawet, czy kiedy ta kobięta nie stanie się jego rywalką na polu literatury powieściowej.

Panią Marmon, siedzącą w kilka dni potem z Natalią przy śniadaniu, ucieszyła jej gorączkowa może trochę wesołość i nowe rwanie się do świata.

Było to jej na rękę, gdyż i teatr nudził ją już po trosze, ale nie mogła wstrzymać się od powiedzenia jej z lekką ironią.

— Moja Natalciu — widzę, że jesteś już przy drugim etapie. Oj wierz mi, że mężczyźni

nie warci tego, ażebyśmy dla nieb poświęcały najbliższą nawet rozrywkę.

Pani Natalia potrząsnęła głową i odrzekła spokojnie:

— Wiem o tem.

— Póty pokorni, póki się kochają, póki niepewni wzajemności...

— Alboż się kiedy kochają!... ale ciocia, pojedziemy dziś na wyścigi.

Pani Marmon aż klasnęła w ręce z radości.

— Tak cię lubię — zawołała — bawić się, używać młodości, zmartwienia przyjmować obojętnie tak, jak ja, -która ich przecie miałam więcej od ciebie, bo mąż mój bez majątku, żyć mi kazał tylko ze swej pensy i urzędniczej. Gdy się tak zestarzejesz Natalia, jak ja, przekonasz się, że każdy smutek, któremu się poddajemy, jest wyrwaną niepowrotnie kartką z życia. Zawsze trzeba wynalźć dobrą stronę w zmartwieniu i trosce, wierzaj mi i tylko posłuchaj mnie raż...

— Spróbuję — ale k propon, weźmiemy ze sobą i Manię.

— A to po co brać takie maleństwo? Alboż jej tu źle z Gertrudą? A tobie po co ta manifestacja macierzyństwa?

Pani Natalia usłuchała. Mania została jak zwykle z Gertrudą, a obie panie pojechały na wyścigi.

Na wyścigach otoczył je rój młodzieży.

Pani Natalia była tak rozpromieniona, takim blaskiem jaśniała twarz jej piękna, że młodzież nie patrzyła nawet na wyścigi z przeszkodami, tylko na nią. Między innymi głównie zagapiał się w niej pan Janusz ex-huzar, a obecnie trzymający dużą dzierżawę pod Warszawą. Ale zagapiał się bynajmniej nie sentymentalnie.

Zagłębiał się w jej oczach śmiało, żarciki sypał, jak z rękawa, ukazując szereg białych, zdrowych zębów, które ładnie odbijały od śnieżnej twarzy, niebieskich oczu i gęstej jak las, czupryny. Żarciki jego może nie odznaczały się wykwintem salonowym, ale płynęły z przekonania, a okraszone śmiechem szczerym, wydały się odrazu pani Natalii znamieniem zdrowej i prostej natury. A tej teraz po twardej lekcji i z Gustawem, pożyła przedewszystkiem. Znadto zmęczyło ją poprzednie naprężenie ducha, bójki wyobraźni w zamglonych sferach, aby teraz znowu nie zapragnąć reakcji w prostej i chociażby zwyczajnej naturze. Zresztą odrazu przyznać musiała, że pan Janusz to, co w polszem znaczeniu nazywamy „przystojnością” posiadał w całej naturze tego słowa.

Nie ma wprawdzie szerokiego, marmurowego czoła Gustawa, ani zamglonych oczu Kamila, gdyż ma ezoło niskie, a oczy choć niebieskie, lecz bez głębszego wyraża, za to jednak las jego włosów zaemiewał zwycięzko jedwabistą rzadkość ufryzowanych włosów Kamila — i wi

docznie już rysującą się łysinę Gustawa. A zęby Janusza? Takich zębów już nawet na obstalu- nek dziś nie kupi.

Śmiała się więc serdecznie z jego anegdot, zatrzymywała dłużej wzrok swój na nim, a gdy nagle przemknął się obok niej posępny i surowy Gustaw, zaledwo lekko uchyliła przed nim głowy.

Gustaw zgrzytnął zębami, których już w połowie nie miał tyle, co Janusz, i stanął nieopodal, ciskając na wiarołomną piorunami swych ognistych oczu, niestety jednak tak dalece bez żadnego skutku, że z końcem wyścigów, pani Natalia wsiadła do powozu z ciotką, a z niemi razem zaproszony pan Janusz.

Tęga to była natura, ten pan Janusz ex- huzar.

Pić dzień cały i noc, nazajutrz sięść na konia i harcować trzy godziny, lub wybrać się w najszroższy mróz na polowanie, a potem wróciwszy, pić znowu lub tańczyć do upadłego i zawsze być wesołym i bawić damy tańcami i anegdotami, to dla niego nie znaczyło nic. Nie znużony, nierozgniewany, chociaż natrętni wierzycciele budzili go już w hotelu o siódmej rano, szedł na śniadanie z przyjaciółmi, a po śniadaniu szedł znowu z przyjaciółmi na bakara. Zgrawszy się, śmiał się ciągle i -tylko wtedy w zły wpadał humor, gdy wracać musiał wcześniej, niż obliczał na wieś. Wtedy brała go passya, bo sąsiedztw blizkich nie miał i nudzić się musiał, gdy nie można było polować.

Pani Marmon silnie zaprotegowała Janusza.

— To mi mężczyzna — mówiła w uniesieniu — to nie żaden ułamek, dusza mu się śmieje z oczu, a jaki zawsze do tańca i do różańca! Nie wzdycha nigdy, nie przewraca oczyma, ale jak czasem spojrz tak wprost, wyraźnie, głęboko, to aż mnie starej, przypomina się pierwszy mój konkurent, który niestety zginął w pojedynku...

Nie trzeba było perswadować pani Natalii... przekonanie samo przez się rosło w niej do tego stopnia, bardzo niedługo potem, pan Janusz rządził w jej domu, jak nigdy u siebie.

Bo u siebie miał rządcę, który zastępował jego lenistwo, a tu dysponowanie każdą godziną pani Natalii, szło mu łatwo i stało się oczywistą przyjemnością.

Zrazu układał -programmat zabaw, spacerów i wycieczek, później zauważył, że obiad będący podstawą zdrowia wyższych ludzi, powinonby podlegać surowszej kontroli. Odprawił więc dotychczasowego kucharza, przyjął nowego, a był tak pocziwym, że z dnia na dzień dyktował menu.

Panią Natalią bawiła serdecznie ta jego ruchliwość, a gdy rzeczywiście obiady lepiej jej smakować zaczęły, uprosiła go raz, aby się rozejrzył w jej interessach majątkowych, które się

teraz cokolwiek popłatały. Właściwie zaś nie były one pr płaćane, tylko ponieważ mąż Natalii przyrzeczonój renty nie przysyłał, a dochody z majątkn jej skntkiem nierachowania się, zmniejszyły się znacznie, więc trzeba było albo zredukować wydatki, albo wynalóźćnowe źródła dochodu.

Fan Janusz na zredukowaniu wydatków nie znał się wcale, a nadto z zasady brzydził się wszelką redukcją, wolał się zająć wynalezieniem innych źródeł dochodu. To tóć gdy raz posiedział dwie godziny nad papierami pani Natalii, poczerwieniał apoplektycznie ze znużenia, ale nagle zawołał tryumfująco:

— Mam, maml

Błogo uśmiechnięta Natalia zbliżyła się do niego, oparła śliczną, białą rączkę na jego ramieniu i zapytała:

— Cóż takiego wynalazłeś panie Januszu?

— Kalifornią, miny nieprzebrane, jeżeli nie złota to tych papierków, bez' których nam tak ciężko na tym padole!

— Nie może być!

— Ale tak — oto tu są dwie summy, jedna na 30,000 złp. druga na 65,000 zip., obie zawa- rowane w n aj legalni ej szych aktach rejentalnyeb.

— Cóż z tego, kiedy jedna płaćna za lat pięć, drnga za lat trzy.

— A od czegoź inwencya, zmysł spostrzegawczy i energia? — zaśmiał się, ukazując rząd białych zębów.

Pani Natalia, ujrzawszy te zęby, rozśmiała się także, nie wiedząc już, o co chodzi.

— Summy te scedujemy,,z pewną małą stratą, ale gotówka będzie i nie będziemy potrzebować oglądać się na męża, który ■ — nie lubię nikogo oskarżać — ale gentlemanem nie jest. Pfe! zostawiać tak kobietę o własnych funduszach, nie płaćić przyrzeczonych i należnych jej alimentów, nie troszczyć się nawet o nią, czy żyje i jak żyje! pfe! to niegodne... i dla tego ukarżmy go, scedujmy sumki i nie prośmy go o nic... dla nas już on nie istnieje, prawda? Ha, ha, ha, co za pomysł.

Inwencyjny pan Janusz zcedował obie sumki, tracąc na jednej 10,000, czyli połowę, na dru- giej 25,000 złp., ale gotówkę przynióśł i położył na toaletce przed panią Natalią, która oczarowana już urodą i humorem pana Janusza, teraz i w jego spryt wierzyć zaczęła.

— Jaki praktyczny! — mówiła pani Marmon.

— To nic jeszcze, ale czy kiedy usłyszysz ciotka z ust jego słowo skargi, narzekania, czy kiedy ujrzysz smutek na czole? Zawsze uśmiech okraszony temi cudnymi żabkami, a czołko gładkie, białe lśni się pogodą pod lasem bujnych, jedwabnych włosów.

Coraz huczniejsze i weselsze życie zapanowało w domu pani Natalii, bo pan Janusz nie był zazdrośny, owszem posprowadzał masę młodzieży, pomiędzy którymi najwięcej było jego

dawnych kolegów. Wprawdzie liczba pań zmniejszała się coraz bardziej, zmniejszała tak rażąco, że trudno było skleić jaki taki wieczorek tań- cniący, ale wesoła młodzież zastępowała damy, a pani Marmon i pani Natalia, nbawione tą metamorfozą, zawołały obie z zachwytem:

— „Tem lepiej” jako refleksja filozoficzna w ustach pani Natalii, brzmiało cokolwiek zastraszająco, a gdyby żył jeszcze zacny jej ojciec byłoby go powaliło o ziemię. „Tem lepiej” znaczyło wyrzeczenie się już towarzystwa dobrego i przyzwoitego, tego, w którym piękna Natalia wzrosła i którego była dotąd królową, a przyzwyczajenie się do towarzystwa pana Janusza, jego kolegów i w ogóle męskiego. „Tem lepiej” znaczyło wyemancypowanie się z pewnych koniecznych reguł i form świata, za którym zaraz idzie pogarda opinią świata. Opinia zaś świata często bywa fałszywie rozdmuchaną i niesprawiedliwą, ale ostatecznie i zupełnie mylić się nie może.

Fani Natallia zauważyła wnet, że w teatrze, na koncertach, na spacerach, dawne przyjaciółki i znajome zachorowały na krótki wzrok, że często przechodziły, spotykając się z nią, na drugą stronę ulicy, co zamiast ją zmartwić, oburzyło ją tylko i pobudziło do tem większej pogardy.

— Nie dbam o te gąski — mówiła szyderczo do swej oiotki i do ciągle wesołego pana Janusza — zawsze mnie nudziły, przymuszałam się, aby słuchać ich błahych i czczych rozmów, a dziś czuję, zachorowałabym z nudów w ich towarzystwie.

— Moje dziecko—dodawala pani Marmon— możesz niemi pogardzać, byle ci nigdy na ni- czym nie zbywało, bo gdybyś broń Boże, straciła majątek, wtedy mogłyby na prawdę ci dokuczyć.

„Majątek stracić” tego nawet nie rozumiała pani Natalia.

Wychowana w zbytkach, wiedziała, że po rozejściu się z mężem, ma swój własny duży majątek, w rozpozyczonych na rozmaite hipoteki kapitałach.

Procenta pobierała dotąd regularnie, a procenta były spore i wystarczały zupełnie... aż do znajomości z panem Jannszem. Od tego czasu dwie sumki zcedowała, trzy inne wypowiedziała, o wypłatę jednej ułożyła się, straciwszy na niej trochę, ale koniec końców gotówka była i źródła nie wyczerpały się jeszcze.

Mogła się więc nudzić towarzystwem pań młodych i starych, a gdy się jej sprzykrzy, wyjedzie za granicę, i tam na stałe osiadzie.

Energiczny pan Janusz zasiadał coraz częściej nad jej papierami i cedował coraz częściej, byle tylko żadną troską nie zachmurzać czoła rozbawionej pani Natalii. Pomimo tego zachmurzyło się jej czołko. Pewnego bowiem dnia naj- nie spodziewan i ej wpadł małżonek i to raniutko,

gdy wszyscy jeszcze w domu spali, obudził Natalią, a zarzuciwszy wylekłą i rozespaną tysiącem obelg całkiem niegentlemańskich, jak wpadł, tak wypadł.

Wyrwana ze snu pani Natalia długo usnąć nie mogła, ale usnęła nareszcie, a kiedy około drugiej z południa się obudziła, postyszała okrutną wrzawę głosów i lament Gertrudy.

Zadzwoiła. Wpadła ciotka, służba i Gertruda. Ta ostatnia, zanosząc się od płaczu, odpowiedziała jej, że pan...

— Pan Janusz? — spytała Natalia nierozcucona zupełnie.

— Nasz pan! — ryknęła — zabrał mi moją Manię!

Zerwała się, jak lwica pani Natalia i zapłała gorzko, jak niegdyś na pogrzebie ojca.

Dziecię moje najśłodsze! — O ja nieszczęśliwa!

Teraz dopiero uczuła, że kocha to dziecię, które widywała zaledwie raz na dzień.

Posłała setkę telegramów i kilkanaście listów do okrutnego męża, poddając się wszelkim warunkom, byle jej oddał dziecię. Nadaremnie! Mążonek raz jej tylko odpowiedział te słowa:

— Niegodną jesteś pani wychowywać swoją córkę.

W prawdziwej rozpacz i żalości, przepędziła dni trzy po tym strasliwym wyroku. Weszła w siebie, przez te dni nie przyjmując

nikogo, nie słuchając pocieszeń ciotki, nic chcąc przydzić na oczy Janusza.

Pan Janusz przestraszony nie na żarty, że mu się wysłiznie ta pokutująca Magdalena, chciał już szturmem zdobyć apartament.

. Na szczęście, albo tylko dla niego, po trzech dniach wyszła Natalia ze swego pokoju błada, jak chusta, zdeterminowana na wszystko, a pierwszem jej słowem na goryczą wykrzywionych ustach, było:

— Tem lepiój!

Tym wyrazem: „tem lepiej” było straszne.

Podkopana moralnie, czuła się podkopaną i fizycznie. Zaczęła kaszleć i pluć krwią. Nie chciała jednak skończyć sentymentalnie jak Dama kameliowa, ale wesoło, hulaszco i prędko, jak kobięta, która umrzeć powinna, bo jej nic innego na tym świecie nie pozostaje.

W tem staczaniu się szybkim w przepaść dopomagał jej niezmordowanie Pan Janusz, a dopomagał tem chętniej, że z dzierzawy całkiem go już wyrzucili.

Jedyną jego terażniejszością, bo o przyszłości nigdy nie myślał, była Natalia.

Zaczęli więc teraz oboje jwieść życie hałaśliwe, rżącąją się w oczy, wzywające, jakby umyślnie opinią i tak dalece wychodzące z granic, że oburzyło nawet panią Marmon, kobietę dosyć elastycznego sumienia.

Możeby wreszcie sumienie jej nie rozbudziło się jeszcze i teraz, gdyby nie katastrofa, przed którą przestrzegła Natalia niezbyt dawno.

Pan Janusz bowiem tyle już zcedował kapitałów, że mu nie pozostało nic więcej do zcedowania, tak że pani Natalia musiała prowa- dziś ciąglą a nadaremna korespondencją z kilkoma dłużnikami, ażeby wydostać mizerne resztki. Dziwna też rzecz, że pan Janusz równocześnie tracił sławny swój dobry humor, i mniej już ukazywał białe swe i ostre zęby. Nieznacznie zaczął się wkradać niedostatek, nie ten, który się nazywa brakiem cbleba, ale ten, który już niepozwalał nietylko na zbytki; ale na większe wygody.

Lecz pani Natalia miała piękne brylanty, srebra stołowe, pamiątki drogocenne po ojcu. Spieniężyła je bez namysłu, pokaszlując coraz gorzej i blednąc coraz chorobliwiej.

Pan Janusz znów się trochę rozweselił, choć czasami wśród najweselszej nczty zachmurzał się, jak mędrzec lub melancholik.

Gdy pieniądze ztąd otrzymane, nadzwyczaj prędko poszły drogą za dawnymi, pani Natalia odprawiła kucharza i lokaja i wynajęła szczuplejszy lokal.

Przenosząc się na nowe mieszkanie, zauważyła nieobecność kochanej cioci, która w zamian za swą osobę, zostawiła jej list tej treści:

— Niedługo jeść nie będziesz miała co, a przy- tem nie zapominaj żeś cбора. Ostatnią radę daję ci, bo cię koeham, zepchnij dumę z serca, jedź do męża i wybłagaj u niego przebaczenie.

Rozśmiała się ze łzami w oczach pani Natalia i dała pomięty z gniewa list do przeczytania panu Januszowi. Ale o dziwo! pan Janusz nie dzielił jej oburzenia, zamilkł owszem ponuro, a przynaglony, rzekł nieśmiało:

— Kto wie, czy co innego pozostaje!

Pani Natalia krzyknęła głosem rozpaczy. W tej chwili zdawało się jej, że się zapada w nieskończoną, ciemną jak noc przepaść. Na pół omdlała opadła na fotel. Po chwilce ukazała zakrwawioną chustkę ciągle zadumanemu panu Januszowi, mówiąc:

— Czyż warto dla tyeh kilku dni poniżać się?

Pan Janusz nie odpowiedział jej jak Dalila Rosweinowi, zapewne dla tego, że w literaturze dramatycznej nie był biegły, ale pożegnawszy ją rychło pod jakimś pozorem, wyszedł, a na schodach mruknął sam do siebie: — Dom ten czuć trupem. Biedna!..

Qdy był na dole, powtórzył:

— Biedna! — dodał jednak, nabierając humoru, — lecz kto jej winien?

Historia dalszych cierpień fizycznych i moralnych pani Natalii, wypełniłby mogła sporą księgę.

Powieści niemoralne. 8

Wierzyć muszę, iż stałaby się pouczającą dla tych tysiąca biednych kobiet, które - skutkiem wychowania lub niedobrania się w małżeństwie, wytwarzają sobie ideał mglisty i nieprawdopodobny i w ciągu gonienia za nim, czy też za kropelką szczęścia, zatracają cześć swoją, spokój i byt.

Ach, gdyby po nabytem doświadczeniu wrócić można było chociażby do tego złego męża, chociażby do tej wrzekomej pustki w sercu, które tak niegdyś pragnęło zaspokojenia!

Przygód pani Natalii nie trzeba wysmażać z fantazyi, tylko kopiować żyweem z rzeczywistości. Ileż to razy zdarza się nam podziwiać jakąś piękną i ukształtowaną kobietę, uwielbianą w towarzystwach, która nagle znika gdzieś i przepada bez wieści. Dawni a dyskretni znajomi, zmieniają przedmiot rozmowy, gdy ktoś o niej wspomni, niedyskretni i nielitościwi moralizują nad jej upadkiem i nikt, nawet ten wielbiciel, który niegdyś życie swe ofiarował za jedno jej spojrzenie, nie dowie się, czy jej przynajmniej nie luak kawałka chleba.

Moralność została pomszczoną, a samolubstwo nasze czyż dba o więcej?

Pani Natalia zostawszy samą, bo dzielny i wesoły pan Janusz zniknął bez pożegnania, — czuła się zrazu tak pftygnębiouą i przytępioną, że o ja- kimbaż dalszym planie życia, ani nie pomyślała. Ale przypomnieli go nieubłagani wierzyciele.

Najpierw właściciel domu, potem różni fur- nisserzy, u których rozmaitemi czasy pobierał rozmaite przedmioty dotychczasowy jej administrator, pan Janusz.

Zabrali jej wszystko i w jednej niemal sukni, przykrytej eleganckim ale niezbyt ciepłym szalem, wybrała się wśród trzaskającego mrozu na prowiucyą do najbliższego miasteczka. Tu chciała się utrzymywać z dawania lekcyj śpiewa... dopóki jej tchu starczyło.

Po dwu tygodniach szalonych starań, trudzenia się, o jakim nic mają pojęcia ci, co nie znają małych miasteczek, ich przesądów, pychy i nieufności, udało się jej zdobyć dwie lekcyjki, za które zapłacić mogła izbę na poddaszu i stół... u stróżki.

Ona, ta piękna i bogata jedynaczka, stołuje eię u stróżki. Je cynową łyżką na misce nie-polerowanej, i co dziwniejsze, smakuje jej jak rzadko przedtem, a co dziwniejsza jeszcze, że zdrowie jej tak straszliwie zagrożone, tak na dnie obliczone przez najstłynniejszych lekarzy, zaczęło się poprawiać. Pokaszliwała jeszcze czasem, ale myśli o śmierci porzuciły ją zupełnie.

Owszem, zapragnęła żyć, żyć teraz koniecznie żyć choćby na lichem poddaszu, i o nędznej strawie, z jedyną tylko pociechą przyciśnięcia córki swej do serca.

Pół roku przetrwała tak o chłodzie i głodzie, aż jej i te dwie lekcye wymówili. Pani bur-

mistrzowa dowiedziała się o jej burzliwej przeszłości, a jako matrona surowych obyczajów, bała się o piętnastoletnią córkę; pani apteka- rzowej zaś zdawało się, że córka niedość ko- rzysta za tak ogromną cenę, bo za pół rubla na godzinę!

Obie więc prawie jednocześnie wymówiły jój ten sposób utrzymania. Gdyby nie poczciwa stróżka, byłaby nasza biedna bohaterka umarła z głodu.- Przychodziła j^j tysiąc razy myśl napisania do męża i błagania o pomoc — o przebaczenie nigdy — ale duma jój i resztką godności, powstrzymywały ją zawsze. Poratowała ją jednak nadspodziewanie ciotka, przysławszy jój znaczniejszą sumkę i znowu radę pogodzenia się z mężem.

Uszczęśliwiona zdecydowała się na krok stanowczy. Muzykę i śpiew posiadała w wysokim stopniu, języki obce tak samo, wstąpi więc do jakiego mniejszego teatrzyku, ale nie w kraju lecz w Niemczech.

Wyjechała do Wrocławia.

Przybywszy do tego ruchliwego miasta, udała Bie wprost do dyrektora mniejszego teatrzyku, bawiącego tu chwilowo. Informacyj co do niego udzielił jej oberżysta, mówiąc że to człowiek, który przedewszystkiem patrzy na to, czy aktorka ma ładną twarz, lub nie.

Dyrektor, krępy człeczyna, z ogromną peruką na głowie, przypatrywał się jej długo i ciekawie, a w obejściu był jakiś nieśmiały i z widocznym uszanowaniem. *

Ciągle jeszcze zdziwiony, zapytał czy w istocie chce zostać aktorką?

— Po to tylko umyślnie- przybyłam, chcę w ten sposób zarobić sobie na najskromniejsze choćby życie.

— Pani, tak wielka dama, poznałem to od- razu, chcesz żyć z niewielkiej pensyi, jaką pani ndzielić mogę?

- — Mnsze — odrzekła stanowczo — jeżeli tylko przydam się panu na co.

— O! co do języka, mówisz pani nim wybornie i nawet bez akcentu, postawę też, figurę, ruchy... i urodę posiadasz pani odpowiednią, niepospolitą...

— A więc?! — przerwała z radością.

— Tylko, że nie wiem, czy pani potrafisz chodzić po scenie, cokolwiekbądź zagrać...

— W operetce śpiewać będę dobrze, zaręczam.

— Spróbujemy, spróbujemy — mówił, nie Spuszczając z niej oka—tylko muszę pani przyznać, iż nie wiecie mi się tu dobrze, a wkrótce to jest na wiosnę, wyjeebaó mi trzeba na pro- wincyą, więc jeśliby pani na początek choiała być na aplikacyi za darmo...

— .Za darmo? — powtórzyła przerażona — a z czegoż żyó będę?

— Ho, ho! — zaśmiał się dobrodusznie dyrektor, poprawiając perukę, która mu się przechyliła na ucho — z czego żyć, z czego żyć... tak znowu źle nie będzie, coś się przecie znajdzie takiego...

— Nio się nie znajdzie mój panie! — odrzekła dnmnie i nie kłaniając się, zmierzyła ku drzwiom.

Dyrektor popatrzywszy za nią, aż klasnął rękoma z radości i zawołał:

— Jeszcze słówko!

Natalia stanęła przy drzwiach.

— Eine Graefin, hol mich der Teufel — po- mrknął Niemiec i dodał głośno:

— Wie pani, ja mam plan, bo mnie serdecznie żal pani i pani talentu... pani musisz mieć talent!., otóż przyjmuję panią z pensją 20 talarów miesięcznie, pod warnnkiem wszakże, że ogłoszę panią na afiszach jako hrabinę polską...

— Nie jestem hrabiną...

— Nikt nie będzie sprawdzał, a potem postaram się, ażeby puszczone szmermela w miejscowym dzienniku o pani straszliwych przygodach... no, wymyślimy coś romantycznego, a pani ma taką fizyonomią, że wszyscy od razu uwierzą.

Pani Natalia chwyciła ręką za klamkę.

— Dam w takim razie 40 talarów.

— Ani za sto nie dam z siebie zrobić awanturnicy, chcę pracować sumiennie i z pewnością przydam się panu, gdyż otrzymałam niezwykle ukształcenie muzyczne.

— Więc na aplikację bezpłatną?

— Musiałabym z głodu umrzeć.

— Z głodu? — rozsmił się rubasznie przedsiębiorca ozy dyrektor — z głodu, taka ładna kobiéta?

Pani Natalia nie wyrzekłszy jnz słowa, wyszła.

Po tygodniu wszakże rozpatrywali się na mieście, starań o jakąbądź pracę, namysłów i rozmysłów, wahań i postanowień, została zaangażowaną pod warunkiem, że pozwoli na wszelkie reklamy co do swój osoby.

Dla czegożby wreszcie nie miała pozwolić?— dziwiły się zazdroszczące jej koleżanki— reklama, to sława w dzisiejszych czasach.

Reklamowano ją dwa tygodnie, poczem wystąpiła w Życiu ParyzkUm i... nie podobała się, nie z głosu i nrody, gdyż te chwalono powszechnie, ale z braku wszelkiej zdolności aktorskiej. Była tak nieśmiałą na scenie, że stała się przez-to niezgrabną, a gdy jej przyszło ruszać się i zwijać, nogi odmawiały posłuszeństwa. Zwykła ta lęklivość, którąby z pewnością usunęła po kilku przedstawieniach, dała jeduak sposobność pann dyrektorowi, do zniżenia jej pen- sy do 20 talarów, a koleżankom do wyszydzenia całego niepotrzebnego aparatu reklamy.

Wobec publiczności obcej i za dużo oczekującej, trudno już było jej zrehabilitować się.

Lecz przecież o nic więcej nie chodziło jej, jak tylko o zaspokojenie pierwszych potrzeb koniecznych do życia.

Sławy, rozgłosu, ani szukała ani pożądała. Wszak dla ukrycia swej osoby, wyjechała do obcego kraju i podała tu zmyślane nazwisko, wprawdzie polskie, bo tego dyrektor potrzebował dla reklamy, lecz całkiem inne.

Nazywała się teraz: Grafin Bodryńska. I dziwna rzecz, w talent jej, jak się wnet pokazało, rzeczywisty, wierzyć nie chciano, ale uwierzono od razu w tytuł jej hrabiowski. Pomagała temu zapewne uroda i obejście światowe.

Dosyć, że przepędziła tu kilka miesięcy w biedzie, ale szczęśliwa jak nigdy, bo grosz zapracowany ciężko, cieszył ją więcej, aniżeli niegdyś najpiękniejszej brylanty otrzymane od ojca.

Na lato wyjechali na Szlązk, do licznie dosyć odwiedzanego miejsca kąpielowego. Dyrektor podwyższył jej teraz pensją, widząc o- gromną jej użyteczność, a przytem mimowolne jej great attraction. Gniewał się tylko na nią po raz setny o to, że się nie stara o piękne toalety.

— Co to, żeby taka piękna kobieta nie miała toalet, to tak samo, jak brylant oprawny w tombak. Ja pani ich kupować nie mogę, ale przecież co to, żeby taka ładna kobiéta... i t. p. i t. p.

P Pani Natalia, zrazu nie rozumiała, potem słuchała codziennych tych wyrzutów z zaciśniętymi zębami i z rumieńcem na twarzy.

A żyła samotnie, bo na przyjaźni koleżanek poznała się rychło, a kolegów niewiele szczerzych, umiała trzymać w pewnem oddaleniu, które tym cyganom wychowanym Bóg wie po jakiemu, mimowolnie imponowało.

Byłoby jej względnie dobrze,—bo i zdrowie wróciło jej widocznie i uspakajała się wewnątrz, nabierając pewnego hartu duszy,—gdyby nie tęsknota za dzieckiem... i niestety, gdyby nie najzwyczajniejszy, najprostszy wypadek, który odrzucają powieściopisarze i dramaturgowie, a który niemniej rozstrzyga w rzeczywistości bardzo często o dalszych kolejach życia.

Rozwiązanie powinno zawsze zależeć od psychicznych motywów — twierdzą estetycy — a nie od takiego naprzykład przypadku, jak spadnięcie dachówki na głowę. Bardzo sprawiedliwie, ale jeżeli dachówka spada komu na głowę i zabija go, jeżeli ktoś przypadkiem najprostszym kark kręci, jeżeli ktoś zaziębia się i skutkiem zaziębienia a nie moralnych cierpień, dostaje suchot?

Prawda realna, odskakuje bardzo często od prawdy wymaganej w utworze sztuki.

Dawniejsi romansopisarze, jakiejże niezmiernej liczbie swych bohaterów i bohatererek, kazali gasnąć na suchoty z melancholii, a przecież

w rzeczywistości, najstraszniejsze zmartwienia i najboleśniejsze ciosy, rzadko kiedy powalają w grób od razu. Wreszcie, czyż nie szczęśliwszy ten, który długie jeszcze lata potem, oswoić ąc z niemi nie może i dźwiga je, z jękiem, jako prawdziwy krzyż męki i rozpacz?

Wracając do pani Natalii, brałaby pokusa niejednego z moich kolegów, przeprowadzić życie jej przez stopniową graducją poniżeń moralnych, klęsk materyalnych i fizycznych, aż do ostatecznego jej upadku. Jestem pewny, że znalazłby się jakiś szynczek za miastem, uchodzący za jaskinię łotrów i rabusiów, w którymby piękna heroina straciwszy resztki wstydu i godności człowieczej, dobijała swoje zdrowie, albo jaki płot zbutwiały na pustkowiu, pod którymby o- kryta łąchmanami, ostatnie wydała tchnienie. Nas nie nęci bynajmniej tego rodzaju konkluzja, jakkolwiek w przygodach takich pań Natalii prawdopodobna, nie nęci zaś dla tego, żeśmy wyrwali epizod wprost z życia, więc notujemy fakt, a może dla tego, że szczęśliwi jesteśmy, nie potrzebując czekać haniebnego upadku złą- kanej kobiety.

Stało się za tem całkiem inaczej.

Dyrektor teatrzyku wyjechał na Szlązk pruski do miejsca kąpielowego, odwiedzanego dość licznie. I' onieważ w poblizkiem miasteczku wypadła jarmark, więc zapowiedział olbrzymiami afiszami czerwonymi, wielką sztukę czarodziej- ską ze śpiewami, ogniami sztucznymi, dzwonami, piorunami i wszelkimi hecami,- na jakie przedsiębiorca teatrzyku wędrownego zdobyć się musi, ażeby ściągnąć gwałtem niedowierzającą mu z zasady publiczność.

Sztuka podzieloną była, na 14 odsłon ze straszliwymi tytułami. Tytuły—effektowne— były dobrane kunsztownie.

Niektóre z nieb, tak brzmiały: „Dwa groby i świętokradca.” „Upiór na cmentarzu.” „Tortury w podziemiach zamku księcia Roberta.” „Newy Hamlet i czaszki pomordowanych” i t. p. i t. p.

Od rana dobijano się do kassy teatralnej z zawziętością, która zachwyciła sprytnego dyrektora. Powstawiano krzesła wszędzie, gdzie się znalazła odrobina wolnego miejsca, dobudowano szopę dla ludu, mającego się przypatrywać stojąco, skupiono orkiestrę tak, iż jeden skrzypek udereł łokciem drugiego, słowem, widowisko zapowiadało się niezwykle.

Nasza pani Natalia, miała rolę drugorzędną ale bardzo efektowną, owego upióra na cmentarzu, który w postaci pięknej kobiety, straszy innych, przyśpiewując im melancholijne kuplety.

Występowała dopiero w szóstej odsłonie.

Przyjęta rola nie martwiła jej, ani cieszyła* Grała, ażeby mieć żyć z czego i odłożyć trochę pieniędzy na podróż do swojej córki. Dyrektor choć był niezadowolony z jej apaty, z jej trzy-

— 44 m

mania się zdała od bogatych czcicieli, przyznawał jednak, że potulniejszej i sumienniejszej artystki, nie posiadał dotąd nigdy jeszcze w swojej trup- pie, a nawet, jako żyw nie słyszał, ażeby gdzie draga podobna istniała.

„Die kleine Gräfin," znosiła codzienne próby', i codzienne widowiska, nie skarząc się nigdy, a w wyborze ról była tak obojętną, tak nie- zazdrosną, że koleżanki zaczęły się do niej przywiązywać, jak do stałej gaży.

Punkt o godzinie szóstej wieczorem, zaczęło widowisko.

Pięćwsza odsłona przeszła bez wrażenia, niesforni tylko widzowie amieszczeni w szopie, robili zbyt głośne awagi. Odsłona draga, gdy w ciemnym lesie napada banda zbójców, na jadącego lorda z ioną, kładąc oboje trapez i grzebiąc ich potem zaraz na miejsca, wywołała bu- rzę oklasków w szopie, a dyskretne sykanie w krzesłach.—Znawcom zdawało się, że za dużo w teatrze hałas i awantur, a za mało zdrowego sensu. Z dalszemi odsłonami rósł zapal tłumów, to jest tej większości, która wrzawą ożywia teatr, a przy niektórych scenach, słychać było okrzyki zgrozy, będące oznaką uwielbienia i o- wego dreszczu rozkoszy, przenikającego grzbiet pacierzowy, ilekroć na niebezpieczeństwo patrzymy z bezpiecznego, miejsca.

Wszystko to jednak było niczem w porównaniu ze sceną ukazania się pani Natalii, ubranej

w powiewne szaty z świecącym dyademem w rozpuszczonych włosach.

H Piękność jej istotną, podnosił jeszcze fantastyczny kostium i efekta optyczne, y; Szmer uwielbienia, powstał teraz na wszystkich punktach teatr. Dystygowańsza publiczność lornetowała z zajęciem artystkę, która jej inimowoli imponowała urodą, postawą i śpiewem, bo chociaż były-to kuplety śmieszne, a muzyka ułożona na prędce, jednakże znać było śpiew umiejętny, a głos niepospolicie wdzięczny i metaliczny.

Jakiś jegomość wysoki siedzący w krzesłach w pierwszym rzędzie z dziewczynką, podniósł się z miejsca i z najwyższym zajęciem patrzył na scenę.

Publiczność oburzona szerokimi jego plecami, kazała mu usiąść. Siadł nie od razu, a i wtedy, gdy siadł, kręcił się niespokojnie na miejsca, jakgdyby cheiał wyjść.

Lecz precisnąć się teraz, wśród takiego zajmującego widowiska, było to narazić Bie na gniew widzów, a może i na szturchańce.

Usiadł przeto, zwracając się do dziewczynki i usiłując odwrócić jej uwagę od sceny, i- Dziewczynka olśniona tem wszystkim, co budząca się jej wyobraźnia nagle ujrzała, sie- działa zapatrzona, wsłuchana, ogłuszona i nieprzytomna.

Pani Natalia tymczasem powtórzywszy trzy razy pieśń grobową, zbliżyła się na przód sceny ku grobowcowi, w który z uderzeniem godziny dwunastej, na powrót schować się miała.

Odwróciła się twarzą ku publiczności i z wzniesioną w górę ręką, a z wyciągniętą nogą ku grobowcowi, śpiewała pożegnanie. Kur za kulisami zapiał, pieśń kończyła się nagle... gdy artystka spojrzawszy przed siebie, chciała się rzucić naprzód. Postąpiła krok i... zaiknęła z oczu widzów z przeraźliwym krzykiem. 'Krzykowi tema zawtórował wrzask publiczności i nie dające się opisać zamieszanie.

Kilkunastu wpadło na scenę, między innymi ów pan, niosąc na ręku płaczącą dziewczynkę.

— Zapadła się w trappę! — zawołało kilku> przechylając się nad ciemny otwór w deskach sceny.

Widowisko przerwano. Niektórzy domagali się zwrotu połowy ceny za bilet, ale dyrektor bronił się temu energicznie, a potem pod pozorem ratowania artystki, zniknął.

Podniesiono silnie potłuczoną, nieprzytomną i zawieziono do ubogiego jej mieszkania.

Przywołany lekarz, dał pierwsze opatrzenie, przyprowadził do przytomności omdlałą, która straszliwie jęczała z bólu i obiecał przyjść nad wieczorem.

Dyrektor odprowadził go na schody, pytając;

— Będzie co z niej?

— Nic wiedzieć nie można, ale śpiewać już nie będzie, ma piersi zgniecione.

Dyrektor machnął ręką z guiewem i pospieszył do domu, zaangażować inną natychmiast. W najgorszym humorze na wynikły ztąd kłopot i zwłokę, wychodził z domu do piwiarni ażeby się rozerwać, gdy wtem, jakiś wysoki jegomość zastąpił mu drogę, prosząc go łamanym językiem o chwilkę rozmowy.

Dyrektor spojrzawszy nań złowrogo z podejścia, w przekonaniu że ma do czynienia z kandydatem scenicznym.

—Dawno znajduje się u pana ta artystka, którą dziś spotkał tak nieszczęśliwy wypadek?

—Rok blisko, — a co panu po tej wiadomości?

— Chciałbym...

—Chciałbyś pan ją może zaangażować, do jakiegoś teatru? — pr/erwał szydyczko — nie uda się to panu, bo z niej nic już nie będzie. Jeżeli przyjdzie do zdrowia, o czem wątpię, będzie musiała powrócić do rodziny, która ją wypędziła.

Jegomość poczerwieniawszy,—rzekł szorstko:

—Masz pan niekoniecznie dobre informacye, ale mniejsza o to, więo istotnie jest tak chorą?

■— Wracam od niej i lekarz, nie wróży jej dobrze... Możeś pan jej krewny?

— Może, i prosiłbym pana o jej adres.

Pan dyrektor zmiękł, pomyślawszy że może co utarguje.

— Taka piękna i utalentowana kobieta, a przy- tem, jaka moralna! Mogła była zrobić karyerę, a nie chciała,- żyła jak zakonnica i ' dla tego biedna, zadłużyła się u mnie po uszy...

— Bardzo mnie cieszą pańskie słowa...

— Że się zadłużyła? Tem lepiej, bo w takim razie zechcesz mi pan powrócić dany jój forszus, nie mam bowiem żadnej nadziei, że się podźwignie. Za nadto była zawsze smutną i znękaną, ażeby miała energią obronienia się śmierci.

— Będę jeszcze u pana — odrzekł sucho jegomość i skłoniwszy się lekko, powolnym krokiem a wielce zamyślony, skierował się ku mieszkaniu Natalii.

Odsłonimy tajemnicę i powiemy po prostu, że owym jegomością był mąż Natalii. Od kilka lat tył l-iepomierne, na co mu radzono picie wód w rzeczonym zakładzie, na Szlązku.

Zabrał ze sobą córeczkę, do której się przywiązał, obawiając się wreszcie, ażeby mu jej nie wykradła żona w jego nieobecności.

Ujrzawszy najniespodziewaniej żonę swoją- na scenie, w truppe niemieckich komedyantów, poruszony do żywego i rozgniewany do wściekłości, chciał natychmiast biec za kulisy i zmusić ją do wyrzeczenia się aktorskiego zawodu, a potem bezzwłocznie, nie czekając aż sam schudnie, wyjechać.

Przeszkodził temu fatalny wypadek.

Co było robić?

' Nie tyle jej żałował, ile uczuł mimowolny wyrzut. Kto wie, czy niegdyś^ nie byłby mógł iść z nią zgodnie, gdyby się był rzekł niektórych swoich przyzwyczajzeń, czy wreszcie wtedy, gdy córeczkę od niej zabrał, nie była jedyna chwila unormowania, jako bądź małżeńskiego stosunku? Zawszeć ona nosiła jego nazwisko i była matką jego córki.

Pan Teodor nie był złym człowiekiem, w gruncie, był tylko jednym z tych przeciętnych samolubów, którzy lubią wygodę w życiu materyal- nem i moralnem.

Wszelka ezcentryczność męczy ich, bo im się potrzeba do niej naginać, lub nad usunię- ciem jój pracować, a pan Teodor po za gospodarską pracą, nie lubił iadnej innej.

Teraz jednak poznał, że część wstydu padnie i na niego, gdy się świat dowięd, że żona jego grała z nędzy z niemieckimi komedyantami a skończyła żywot swój na scenie.

Szlachecka jego duma cierpiała na tem srodze, ale na pochwałę dodać trzeba, że zrozumiał odrazu i swój obowiązek.

Należało mu pielęgnować ją teraz, osłodzić jej los, a gdyby wyzdrowiała, zabezpieczyć jój przyszłość.

Z temi zamiarami stanął u łoża ehorej, która jednak w ciągłej poz tając gorączce, nie poznawała nikogo.

Pawlatal niemoralne.

Otoczył ją czujną służbą, sprosił kilku lekarzy i sam po kilka godzin na dobę, siedział u jej łoża.

Po dwu tygodniach, zaledwo polepszyło się jej o tyle, że można było bez obawy szkodliwości wielkiego wzruszenia, przemówić do niej. , \$

On pierwszy rozpoczął łagodnie, miękko, z u- czuciem, prosząc ją o przebaczenie mu przeszłości.

Zapewniał ją przytem, że odtąd, to jest gdy wyzdrowieje, zabierze ją ze sobą do domu.

Chora, wpatrując się wystraszona w twarz jego, podała mu milcząco rękę, a potem słabym, ledwo dosłyszczanym głosem, prosiła, ażeby przyprowadził do niej córeczkę.

W kilka dni potem, Natalia leżąc w łóżku, wpatrywała się iskrzącymi gorączkowo oczyma, w bawiącą się przy niej wesoło dziewczynkę, bladym uśmiechem towarzyszyła głośnym jej wykrzykom wesołości, a potem z wdzięcznością, z miłością prawie, pochylała głowę w stronę siedzącego u łoża jej mężczyzny.

Obrazek rodzinny, poufały i serdeczny.

Ktoś, nie znając hi story i tej kobiety, zazdrościłby jej domowego szczęścia.

Gdybyż choć to pozorne szczęście potrwało dłużej!

Nadaremnie—silne stłuczenie wywołało krwotoki płucne...

Mąż, nie potrzebując orzeczenia lekarzy, wiedział że ona żyć nie może.

^ Żałował jej, ale ta śmierć wyswobadzała go wobec świata, więc... wstyd powiedzieć... że tem Iżej przyszło mu teraz, osładzać ostatnie jej chwile.

Ona jednak, choć czasami tak słaba, że nie puszczała od siebie na krok dziewczątka, wierzyła w swoje wyzdrowienie, w zapomnienie męża i w rozkosz wychowywania swego dziecka.

Odpokutowała, Bóg jej przebaczył, więc odrodzi się, więc teraz dopięro żyć zacznie naprawdę. Śmierć nie przyszła jej nigdy na myśl, była jeszcze tak młodą...

Głasząc jasne włosy dziewczęcia, całując je w różane usteczka, straciła pamięć potwor- nego widma przeszłości.

Tak upłynęło jeszcze sześć tygodni.

Pomimo, że była czasem tak słabą, iż trudno jej było podnieść głowę z poduszek, nadzieja szczęścia przepelniała jej duszę. -

Dzićcie miała ciągle przy sobie i najczulszą opiekę męża... tego męża, który zrazu wydawał się jej szorstkim, pozbawionym wszelkich uczuć, tyranem... Jakże gorzko żałowała swojej pomyłki!

Pewnego rana, rozrzewniona, trzymając jego rękę w swojej,—rzekła ze łzami, cicho spływa- "jącami po jej twarzy:

— Jakiś ty dobry mój mężu... — czemuż cię nie znałam, tak jak cię znam dzisiaj.—
Zawsze posądzałam cię o brak serca, o obojętność dla mnie...

' —■ Uspokój się, Natalio...

— Zdawało mi się, że nasze temperamenty i charaktery wręcz przeciwne, że ślepy przypadek złączył nas, ale że nas nic, nawet dziście, poważnie w jednym uczuciu i w jednym poglądzie na życie, połączyć nie zdoła... Omyliłam się ciężko... zawiniłam... zapomnisz o mojej winie?

Taką była jej ostatnia rozmowa z mężem. W kilka dni potem, zgasła lekko, bez bólu i bez świadomości o śmierci, bez jej obawy, która byłaby dla niej straszniejszą od wszystkich męczarni.

Umarła w złudzeniu... że nie oceniła, jak należy swego męża, że gdyby była lepiej poznała jego charakter, byłaby żyła z nim w wieozystej zgodzie i harmonii.

On... nie wywiódł jej z błędu, zostawił nawet winę po jej stronie. Może i szczerze był przekonany, że uczynił wszystko dla szczęścia młodzietkiej swój towarzyski, co „przyzwoity” mąż uczynić jest w obowiązku.

I wyprawivszy nieboszczce wspaniały pogrzeb, powrócił do dóbr swoich, a opowiedziawszy przyjacielowi swojemu, panu Grzegorzowi, przykładną skrucbę swojej żony, zakończył z westchnieniem:

— Niestety, złamała mi życie, zbrzydziła stan małżeński... a jednak, powiedz, czy choćby dla córki, nie powinienem się powtórnie ożenić?

Fan Grzegorz, stary kawaler, werydyk i znający swego kolegę i przyjaciela na wylot, odrzekł surowo:

— Ani ona tobie nie złamała życia, ani ty jej, albo jeżeli chcesz: oboje złamaliście je sobie nawzajem, tak samo wina jest po jednej i po drugiej stronie, albo jej nie było wcale, a wiesz dla czego?

— Ciekawym tóż...

• — Dla tego winy niema, boście się nit dobrali.

*

* *

W pół roku potem, młody wdowiec nie doczekawszy końca żałoby, ożenił się z tęgą, rumianą, zawsze śmiejącą się i grubo posażną panną Y...

Uczynił to... dla córki.

■^WWWJWWW^-----

I.

W ładnym pałacyku miasteczka X... przy otwartym oknie pierwszego piętra, stało dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, trzymając się pod ręce w czułym uścisku. Nie była-to jednak para zakochanych, bo kobieta blada o wyrazistych rysach, pomimo wielkiej jeszcze piękności, miała już lat czterdzieści, mężczyzna zaś, patrzący jej w oczy, z uśmiechem i pieśczoą, nie miał więcej jak dwadzieścia. Wysoki, smukły, z jedwabnym czarnym wąpkiem i hiszpańską bródką, z okiem czarnem, dużćn i powłóczystem, z ciągłym uśmieclem, trochę monotonnym, przy grubych silnie krwią zafarbowanych ustach, przypominał rysami twarzy towarzyszkę.

Był on istotnie synem, pięknoj pani Heleny Łiwickioj, synem jedynym, ukochanym, wypieszczonym i przepieszczouym.

Patrzą oboje na powóz zaprzężony w parę dzielnych koni, na który właśnie dwóch służących ładuje kufry i walizy.

Matka ze łzami spływającymi jej cicho po bladych licach, spogląda to na powóz, to na syna, który stara się ją pocieszyć, ale tak jak pociesza miody, rwący się do życia i pragnący zakosztować nieznanego świata.

— Przestałabym cię kochać—mówiła matka— gdybym od ciebie miała listów, dwa, trzy razy na tydzień, a przytem pomyśl, że nie mając listn, myślałabym żeś chory. O! Wiktorka mój, pamiętaj że ja tu zostanę sama, że pierwszy raz porzucasz mnie na tak długo... a jeszcze do wielkiego miasta! Ah! rozpacz mnie porywa, kiedy pomyślę, że mnie tam nie będzie przy tobie!..

— Przecież jedzie ze mną droga mamó—zaśmiał się głośno —pan Lisowski. Mama lekceważy mojego mentora.

— Oh ty dziecko moje!—zawołała z uniesieniem, całując jedynaka w czoło—ty sobie zawsze żartujesz ze wszystkiego, ale dziś nie żartuj, dziś tak mi smutno. O bićdna, ja bićdna, zanad- tom cię kochała!

— Syna i takiego, jak ja, kochać należy — zaśmiał się znowu, tym samym jednostajnym tonem, całując matkę po rękach.

— Gdyby choć ten Lisowski, był z tobą w Paryżu, ale on wraca, a ty zostaniesz sam, sam w tem straszem mieścisku. Jeszcze mx chłopaka zepsują! Pamiętaj dziecko moje, że ile razy miałbyś popełnić co złego, matkę twoję uderzysz nożem w serce, pamiętaj, że duchem moim cznwać będę nad tobą w każdej sekundzie twego życia, więc jeżeli chcesz mi odpłacić za moje przywiązanie, bądź zawsze dobrym i poczciwym człowiekiem!

— Będę, będę mamó, przecież mię znasz, czy kiedy zrobiłem ei umyślcie jaką przykrość?

— Wiem że nie, ale jesteś słaby, ulegasz woli każdego, łatwo dajesz się pociągać do lada zabawy, a tam tak będzie łatwo o zabawy...

Mimowoli uśmiech rozkoszy zarysował się na twarzy Wiktora.

— A potem dziecko moje—mówiła matka coraz smutniejsza, — wiesz dobrze, ile mnie trudu i prósb kosztowało wymożenie na ojcu tego wyjazd n. Papo uprzedzony, jak zawsze do ciebie, niechciał tej podróży, mówiąc: że nawet to zapomnisz, czegoś się tu nauczył, a gdyby jeszcze wiedział, że ciebie zajmuje więcej muzyka, aniżeli zawód inżyniera!.. On, który mi suszył zawsze głowę, że nie masz najmniejszego talentu...

Oczy Wiktora zaiskrzyły się gniewem i rzekł gwałtownie:

— Ah ten „papo!" on zawsze dla mnie był niesprawiedliwy i ponury, zawsze dopatrywał się we mnie wad tylko, a nigdy przymiotów, to też powiem mamie szczerze, że Ad jestem zejść ma z oczu na długo, a potem już, gdy zostanę wielkim artystą, zobaczymy, kto kogo będzie przepraszał.

— Nie mów tak moje dziecko, nie n faj zanadto w siebie, ale pracuj mężnie jeżeli istotnie powiedzą ci tam, że masz zdolności... jeżeli jednak nie przyznają ci ich, trzymaj się tego zawodu, który ci da pewny kawałek chleba.

— Chleba, chleba—mrknął niezadowolony— przecież nie jesteśmy ubodzy. Papo ma wieś ten dom i podobno grube kapitały. Eomuż je zostawi, jeżeli nie mnie?—dodał z gniewem.

Matka pobladła, zwiesiła głowę i zadumała się cbwilę, lecz nagle otrząsając się z ponurych myśli które ją opadły,—rzekła słodko i powolnie:

— Mój synu, wierzaj mi, ten majątek nie est tak wielki jak ci się zdaje, a choćby i był wielki, nie licz na niego. Zaklinam cię na wszystko, co ci drogie, naucz się liczyć tylko na samego siebie, no i na mnie trochę — dodała z wypogodzłą twarzą, ale syn zasępiony bardziej jeszcze, odrzekł:

— Mama tak mówi, jakgdyby papo chciał mnie wydziedziczyć. Zobaczylibyśmy, jakie ma do tego prawo? Ze mnie nie lubi jak syna, to jeszcze nie powód...

Matka zamknęła mu usta ręką.

— Brzydki jesteś, gdy mówisz takie rzeczy: Nie mów tak nigdy, a nawet teraz zaraz idź do papy i pożegnaj się z nim jak najczulej. Jak mnie kochasz, idź zarazi

— Najczulej, najczulej—mrucał niewypogo- dzony syn — alboż z papą można być czułym?!

Jak spojrzy na mnie, to odrazu jakby mnie zimną wodą oblał, a ręka jego, gdy ją całuję, zimna i martwa. Wić mama, nieraz głęboko nad tem myślałem, dla czego on taki zawsze zły na mnie! O ten co innego! — wykrzyknął nagle z radością, ujrawszy wchodzącego na podwórze jakiegoś wysokiego mężczyznę—z tym to mi tak zawsze przyjemnie chwile płyną!., kochany pan Stanisław!—i puszczając matkę, podbiegł ku drzwiom naprzeciw przybywającego, ale matka przytrzymała go za rękę i głosem tak stanowczym, jaki rzadko u niej słyszał, rzekła:

— Proszę cię, idź natychmiast pożegnać się z papą.

— Ach ten papo!—odburknął niechętnie i powolnym krokiem, jakby za pańszczyznę, zmierzył ku drzwiom na lewo, do gabinetu pana Lewickiego, męża pani Heleny.

II.

Wiktor przeszedł przez jeden przytykający już pokój szybkim krokiem, bo gniew na ojca jeszcze z niego nie wykypiał, ale gdy już chwycił za klamkę od drzwi gabinetu pana Liwickiego, nieśmiałość, do której w obec niego nawykł, o władnęła nim na nowo i już nie jak dojrzały młodzieniec, ale jak mały chłopiec, posunął się naprzód kilka kroków.

Pan Liwicki siedział przy swoim biurze, zatopiony tak dalece w papierach, że wejścia tego nie spostrzegł, a może i nie chciał spostrzedz.

Był to mężczyzna sześćdziesięcioletni o siwych włosach i brodzie, z oczyma wyżłobionymi głęboko, licach pooranych zgrzyotą i chorobą.

Wiktor przystanąwszy chwilę, głośniejszym już podsunął się do biurka i rzekł:

— Przychodzę...

Pan Liwicki nie podniósł oczu do góry.

— Daruje papo—rzekł znowu—że przeszkadzam, ale przyszedłem pożegnać się, bo...

Pan Liwicki z wolna odłożył papiery, przypatrzył mu się długo milczący i rzekł wreszcie tonem przeszywająco chłodnym:

— Czyś się dobrze zastanowił, że jedziesz nie na próżniactwo, że masz tam nauczyć się zapracować, ażeby oddać wychowawcom twoim koszta, które wyłożyli na ciebie?... Bo jeżeli masz zamiar bawić się dalej w wielkiego artystę, lub umizgać się do dziewcząt—tak, jak tu czyniłeś, to radzę ci lepiej zostać w domu. Tu nie zbraknie ci przynajmniej jedzenia i picia, a tam możesz się zostać bez grosza na bruku.

Młodzieniec zmieszany wybelkotał:

— Jaktó bez grosza?

— Bez grosza, gdyż ten fundusz, który bierzesz ze sobą, ma ci wystarczyć na dwa lata, a po dwóch latach nie spodziewaj się odemnie żiadnej przesyłki.

— Przecież papo...

— Mógłbyś się raz odzwyczaić mówić mi „l apo;" taki stary chłop jak ty, nie powinien się pieścić.

I spojrział na niego siwymi ewemi oczyma, pod urokiem których, Wiktor bardziej jeszcze zmieszany, zapomniał słów które chciał powiedzieć.

Pan Liwicki, odwróciwszy się teraz całym ciałem ku niemu, mówił dalej tonem coraz zimniejazym, a tak ostrym jak zgrzyt żelaza:

— Ja w twoim wieku, pracowałem już od lat sześciu, żywiłem matkę i siostrę, we dnie zara

biając na cbleb, po nocach kształcąc się sam. W dwudziestym roku znałem już surową szkołę życia i znałem świat, a ty co?

— Mnie nie puszczaliście nigdzie za próg domu—odezwał się syn prawie zuchwale— a przy* zwyczajiliście mnie do tej myśli, że mam bogatych rodziców.

— To nie ja — przerwał donośnym głosem pan Liwicki—to twoja matka, jój podziękuj za to.

— Moja matka mnie kocha, a ty...

— Nie zasłużyłeś niczem, ażebym cię choćby lubił.

— Ani ty papo nie starałeś się o to, ażebym cię pokochał—zawołał równie głośno, z za-iskrzonym okiem.

Pan Liwicki spojrział znów na niego swemi zi- mnemi przesywającymi oczyma, lecz syn, namiętnie podburzony, bynaj mniej swoich nie spuścił.

Patrzyli tak na Biebie przez chwilę, jak dwaj zawzięci i od dawnych lat wrogowie, nareszcie pierwszy ojciec rzekł:

Jedźże więc, kiedy masz jechać, ja cię nie zatrzymuję bynajmniej.

Syn ujął rękę ojca i zaledwo się dotknął jej u - stami, poczem krokiem pewnym i przekornym, którego nie miał przedtem gdy tu wchodził, wyszedł.

Pan Liwicki po jego odejściu, opuścił głowę na piersi i zadumał się tak głęboko, że nawet nie zauważył dwóch łez gorących, które mu spływały cicho po[^]owej brodzie.

III

Wiktorek miał sto pociech w drodze ze swoim mentorem, panem Lisowskim.

Pocieszne téż to było człeczysko.

Póki miał zdrowie, wzrok dobry, siły żelazne, wycierał kąty jako kancelista u wszystkich rejentów po kolei, w miasteczku X. Gdy osłabł, zapadając na wzrok tak często, ii tygodniami oalemi latały mu muchy przed oczyma, wziął go pan Liwicki do uczenia swego syna elementarnych wiadomości. Wiktorek podróśl, został się przy nim Lisowski w charakterze mentora, a właściwie na łaskawym chlebie.

Szóstego krzyżyka już dobiegał, a był taki naiwny, jak dziecko.

Nic dziwnego, nie znał ani świata, ani ludzi, a co ważniejsza ani kobiety. Szerszych horyzontów ani znał, ani ich nigdy nie zapragnął w życiu, a przyszłość przedstawiała mu się w ciepłym kącie u pana Liwickiego. Naiwność jego zwietrzył Wiktorek, gdy był jeszcze maluczkiem

Płwield niemoralne.

i niesfornym uczniem, cóż dopiero teraz za radość dla niego, co za niewyczerpany skarb faccy, w tej wielkiej i dalekiej podróży w obce kraje! Bo pan Lisowski, który najdalej był w Krakowie, ma odwieźć pnpilla do Paryża i ztamtąd sam powrócić—ale kto odwiezie jego samego z Paryża? O tem nikt nie pomyślał—on jeden tylko z zabobonną trwogą, z której jednak nie śmiał «jąę zwierzyć nikomu.

W podróży bał się złodziei i żandarmów, epidemii o której tyle się naczytał, w gazetach i sideł, zastawianych przez oszustów lub przez zwodnicze kobiety. Pomarszczona jego jak gutaperka twarz, ocieniona czarnymi okularami, krzywiła się boleśnie, za każdym zetknięciem się z obcymi w wagonie, na staeyach i w sali bufetowej. Wiktorek zanosił się ciągle od śmiecha i drwił z niego nielitościwie, nmyślnie strasząc go tysiącznemi sposoby. W drodze do Wiednia wyszedłszy do bufetn na jednej stacyi, powrócił niby ogromnie przerażony rozmową, jaką miał z żandarmem, który oglądał twarz jego bacznie i porównywał ją z wyciągniętą z kieszeni fotografią. Miał się go przytem rozpytywać starannie, z kim jedzie, jak wygląda jego towarzysz, etc. etc.

Pan Lisowski załamał ręce i radził nagląco, ażeby natychmiast do domn zawrócić, a noc całą oka nie zmrużył, zatuliwszy się w kąć najciemniejszy. Nazajutrz, gdy już dojeżdżali do Wiednia, wsiadły do. tego samego wagonu dwie młode damy. Wiktorek wskazał im miejsce z najwyższą grzecznością, ale biedny mentor, zapomniawszy na chwilę o żandarmie, przypuszczał najstraszliwsze sytuacye, w które popaść może jego pupil. Dlatego nieustannie go zagadywał, a nawet stał się tak rozmowny, że siedzące naprzeciw damy, nie mogły się powstrzymać od śmiechu. Co widząc Wiktorek, zawtórował im ochoczo, szepcząc do ucba mentorowi, iż wypada ażeby gdy staną na miejscu, odwiedzić te panie i zabrać z niemi ściślejszą znajomość.

Pan Lisowski znał z tej strony Wiktorka, że tego rodzaju groźbę łatwo spełnić gotów. Jął więc teraz przeklinać w duszy swoje srogie przeznaczenie i sroższe jeszcze posłannictwo; zdawało mu się wszakże, że wystarczy gdy pogrozi Wiktorkowi, ii go samego zostawi. Był pewnym, że młodzieniec ten bez niego rady sobie nie da i odraza spokoruieje. Rzekł tedy natychmiast półgłosem, ale stanowczo:

— Ani mi się waż wdawać w Jakąbądź rozmowę z temi awanturnicami, które Ifibo nie znane nam wcale, wyszczerzają do nas zęby i mizdrzą się, jak do swoich najbliższych przyjaciół.

— Już się stało!—odrzekł grobowym głosem Wiktor.

— Co się stało, waryacie jakiś? *— wrzasnął pan Lisowski.

— Ta aa piersiach mam ich kartę wizytową. Są to damy najlepszego towarzystwa — jedna jest żoną szambelana, a draga pułkownika od dragonów. Musimy im złożyć w Wiednia wizytę.

— Nigdy, rozumiesz waryacie, nigdy!—przenocujemy i dalej jazda. Jak śmiałeś mówić do nich i brać od nieb kartę? ale to nie może być, przecież ja patrzyłem ciągle.

— Akurat zdrzemnąłeś się pan wtedy—wybuchnął Wiktorek dziwnym swym monotonnym śmiechem.

Obie damy zapewne nie rozumiały rozmowy, ale patrząc na pocieszoną fizyonomią mentora, śmiały się bez żadnej ceremonii.

Oburzony pan Lisowski, stanął przy oknie wagonu, odwróciwszy się tyłem od tych, jak je nazwał... awanturnic.

Wielka szkoda, bo byłby się naocznie przekonał, że Wiktorek istotnie był już z nimi w najlepszej harmonii.

IV.

Stanęli w pierwszorzędnym hotelu, który wskażał Wiktorek, dobrze poinformowany o wygodach i elegancjach Wiednia. Pan Lisowski ujrzawszy duży salon elegancki z alkową, chciał się od drzwi cofnąć.

— Papo najwyraźniej kazał mi liczyć się z groszem, a te salony tu kosztować będą bajonkie sumy.

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi—chichotał Wiktor owym monotonnym głosem, który mógł zdenerwować spokojniejszego człowieka, aniżeli nim był w tej chwili skłopotany mentor.

I uległ jak zawsze i tym razem.

Wiktorek chciał biedź na .miasto na kolaeyą, ale znalazł tak silny opór w panu Lisowskim że zgodził się na przyniesienie jej do numeru.

Podczas kolacyi, drwił nieustannie ze swego mentora, drażniąc go wizytą, którą im złożyć wypada owym damom. Uspokoił się jednak nagle, mówiąc, że się czuje znużony i że się spać

położy. Uszczęśliwiony opiekun, pochwalił go za tak rozumne przedsięwzięcie i sam dał mu dobry przykład. Gdy jednak już zgasili światło, pan Lisowski przewracał się długo, wzdychał i ziewał, ale zasnąć nie mógł.

Wyobrażenia jego na pół senna, otoczyła go straszidłami w postaci zuchwałych i natrętnych kobiet, ścigających go zamaskowanych zbrodniarzy z rewolwerami w ręku i pędzących galopem żandarmów..! Gdzie się obróci, zasadzka, niebezpieczeństwo, przeszkoda nieprzeparta... Kilka razy zerwał się z łóżka, skacząc niby przez przepaście, kilka razy jęknął głośno i wtedy oprzytomniał... Oprzytomniawszy, posłyszał głośne chrapanie Wiktorka, co go tak ucieszyło że uspokojony, zamykał z rozkoszą oczy. Ale sny okropne ponawiały się ciągle, tak że zaledwo dobrze nad ranem, zasnął snem szczęśliwym, dziecięcym. Spał długo, nikt go nie budził, r.ż pokrzepiony i rzeźki, zerwał się nagle z pościeli. Bystrem okiem rzucił na łóżko obok siebie, było puste. Spojrzał na zegarek. Trzeeia popołudnia. Przerażony zaczął się ubierać, zadzwoniwszy na gwałt. Wnet zjawił się kelner.

— Gdzie ten pan, co ze mną przyjechał? — zapytał, łamaną niemczyzną, pomimo że tam w miasteczku uchodził za lingwistę.

Kelner .uśmiechnął się dowcipnie i powoli wydobył z bocznej kieszeni fraka jakiś świ-
stek.

Wyrwał mu go z ręki pan Lisowski i przeczytał:

— Czekam pana na śniadaniu u Sachera na pierwszym piętrze.

— A to wisus! nie mógł zaczekać na mnie, ale co to za Sacher i gdzie ten ^acher, a żkąd on wiedział o tym Sacherze! O miły Boże, bodajże już być z powrotem w domu... Mamy dziś jechać dalej, godzina trzecia, a on na śniadaniu. Potrzebniem się tak zasnął!.. A mówiłem matce żeby mnie oddała pieniądze, on puści wszystko!.. Co to za hultaj, już na śniadaniu, w obcem mieście jakby u siebie w domu.

Nie ogolił się nawet nieszczęsny pan Lisowski, tylko zbiegł prędko na dół i nuż się rozpy-
tywać o tego Sachera.

Dodano mu kouiiisjonera z hotelu, który szedł naprzód.

Pan Lisowski, oglądając się ciągle i zatrzymując, bo był przekonany, że go prowadzą do jakiejś spelunki, stanął nareszcie przed zakładem znanej tej firmy wiedeńskiej, ale ztąd ani krokiem nie chciał się ruszyć dalej, nakazawszy komisjonerowi, żeby takiego a takiego pana, ściągnął zaraz do niego tu na dół, chociażby gwałtem.

Komissjoner przekonany, że surowy ojciec chce skarcić niedoświadczonego smarkacza, podjął się chętnie posłannictwa. Upłynął dobry kwadrans, pan Lisowski przytupując z
niecier

pliwoci na miej son, czekał i czekał. Nareszcie zjawił się komissjoner, jakoś dziwnie uśmiechnięty i rzekł:

— Ten pan prosi pana na górę.

— Kogo na górę? mnie? Czyż wam nie mówiłem, żeby mi go tu na dół sprowadzić?

Komissjoner rozśmiał się w głos.

— Nie mówiłem wam?!—krzyczał mentor zaperzony—wracajcie mi zaraz po niego.

Komissjoner nie przestając się śmiać, potrząsnął głową i rzekł:

— Jak pan chce, to ja pana zaprowadzę, ale ten pan tu nie zejdzie.

— Musi! musi zaraz! Proszę iść po niego.

— Powiedział, że nie myśli się fatygować, ale że pana czeka z resztką śniadania.

— Dam ja mu—krzyknął w najwyższej pas- syi—prowadź!

I poszli. Komissjoner naprzód, pan Lisowski drobnym ale szybkim kroczkiem, mrużąc pod nosem, za nim. Zdziwiły co prawda pana Lisowskiego schody dywaoem okryte i lokaje w białych rękawiczkach, co tak bardzo nie wyglądało na spelunkę, ale nie miał czasu na uwagi, bo nagle posłyszał wrzaski jakiegoś, brzęk kieliszków i śpiewy, a komissjoner stanął pod temi drzwiami właśnie, z których dobywała się tak piekielna wrzawa!

— Co? on tutaj?—wybełkotał na pół skamieniały.

Za całą odpowiedź komissjoner otworzył drzwi szeroko, a w tej chwili ktoś z wewnątrz nieprzytomnego prawie mentora, wciągnął do pokoju.

Pan Lisowski, jeszcze z niczego nie mógł sobie zdać sprawy, brzmiały mu tylko w uszach śmiech gwarliwy i okrzyki zmieszane razem, gdy nagle poczuł przy swoich ustach kielich z winem.

Otrząsnął się ze wstrętem i chciał cofnąć, lecz w tej chwili ktoś go przytrzymał, głowę mu przechylił i kielich wina wlał w gardło.

Pan Lisowski wypił, dziękując niebiosom, że się nie zakrztusił, acz oburzony w najwyższym stopniu, ujrawszy teraz przed sobą Wiktorka z rozczochranemu włosy, z zarumienionemi policzkami i śmiejącego się jak zwykle, zawołał piorunującym głosem:

—Zbrodniarzu! śmiesz mi gwałt zadawać!

Na co Wiktorek przyskoczywszy, podniósł w górę jak piórko, poczciwego swego opiekuna, wycalował w oba policzki i rzekł poważnie:

— Chcesz pan, żebym ztąd poszedł natychmiast?

— Rozumie się, że natychmiast.

— Dobrze, pójdę, ale wypij pan jeszcze ten kieliszek.

—Nigdy!

— Za szczęśliwą drogę naszą!

— Nigdy!

— Za moje powodzenie w Paryżu!

— Przestań, mówię ci urwisie!

— Za moje zdrowie!

— Ja ci tu dam zdrowie, a moje zdrowie gdzie? Ty mnie zabijesz, co za otoczenie, kobić* ty, officery!....

— Nie ruszę się ztąd do jutra, jeśli pan nie wypijesz.

Pan Lisowski pobladł, ale umilkł, zastanawiając się. Po chwilce, rzekł, jak Sokrates przed wypiciem trucizny:

— Dawaj!

I daszkciem wypił. Ale zaledwo wypił, zrobiło mu się gorąco i nogi się podgięły pod nim. Podsunęto mu krzesło i zdjęto paltot.

Pan Lisowski otarł czoło i spojrzał naokoło siebie. Siedziały na kanapie dwie młode damy mocno dekoltoowane, a tak się czegoś do niego uśmiechały, że mu się mimowoli zrobiło weselej. Pan Lisowski nie pijał nigdy szampańskiego wina, tego wina młodości, więc krew zagrała w nim żywiój i choć miał jeszcze na ustach rozkaz wydalenia się ztąd natychmiast, ale sam nie wiedział dlaczego milczał, patrząc tylko coraz ciekawioj na wesołe grono. A w tej tóż chwili, wysoki jakiś blondyn, nalał mu znowu kielich i trącając się z nim, rzekł najczystsza polszczyzna:

— Niech pan Dobrodziój wypije, zaręczam za zdrowie.

— To pan Dobrodziój polak!—zawołał z wielką radością pan Lisowski, tak się czuł zachwycony spotkaniem rodaka na obczyźnie.

— A jakże.

— Z Krakowa?

— Z Krakowa, do usług, ale wypij pan!

— Wypijmy drogi opiekunie! — krzyknął mu nad uchem Wiktorek, całując go w okulary.

I obie damy, i czwarty jeszcze jegomość, oficer tłusty i czerwony, wszyscy razem tręcili się o kieliszek pana Lisowskiego, piąty już z rzędu.

Pan Lisowski wypił. Teraz czuł się tak wesoły, że zdjął okulary, przetał je i popatrzył na uajbliiej siedzącą, ognistooką brunetkę. A ona w odpowiedzi na to, pogłaskała go atlasową swą rączką pod brodę..

Drgnął pan Lisowski, po żyłach przebiegła mu lawa ognista.

— Vivat!—krzyknęli wszyscy chórem i podnieśli pana Lisowskiego w górę, a gdy się znów ujrzał na ziemi, ziemią tą było miojsce na kanapie, między blondynką i brunetką.

Co się potem z nim stało, jakie były dalsze koleje jego własnej osoby i osób będących r, nim razem, tego nie dowiedział się dokładnie nigdy. Wiedział tylko, że gdy się nazajutrz obudził z ołowianego snu, znalazł się znowu w hotelu, w swoim numerze i bez okularów, które gdzieś

przypadły w tej tajemniczej Odyssei. Wiktorek znów chrapał obok niego na łóżku, blade, jak trap i bredzący przez sen niezrozumiałe słowa.

Pan Lisowski wyskoczył żywo, oblał się zimną wodą, tarł czoło ręcznikiem i zbićrał zmysły. Cała poprzednia przygoda, wydawała mu się dręczącym snem, gdyby nie okulary, których nadaremnie szukał wszędzie.

— Oczywiście rzecz, sen i nic więcej... wrażenia przykre w podróży, irytacja z Wiktorkiem, który po drodze robi nieprzystojne znajomości, oddziałała mi na żołądek, a „sny pochodzą z żołądka”. Tylko gdzie te okulary?.. Zobaczmy godzinę i dalej w drogę.

Popatrzał na zegarek, zegarek stanął. ZbliU żył się do stoliczka nocnego Wiktorka, szukając jego zegarka, lecz go nigdzie dostrzedz nie mógł. Nie namyślając się dłużej, pełen zdwojonej energii, potrząsnął silnie pupillą swego za ramię.

Pupil nie otworzył oczu, tylko jęknął.

— Czego on tak skamle?—dziwił się mentor, patrząc nważnie na wymizerniałą twarz Wiktorka

Znów go szarpnął za ramię, a potem, gdy to nie skutkowało, obiema rękoma podniósł w górę z poduszek.

Wiktorek roztworzył błędne oczy, skrzywił się nieprzyjemnie i ziewając, .zapytał:

— Kto tam?

— Bój się Boga, a obudź-że się, taż już późna godzina, a tu jechać trzeba!..

Wiktorek ziewnął kilka razy przeciągle.

— Cóżes taki rozespany, jakbyś nie spał kilka nocy? — Wstań-że, umyj się i pakuj w drogę!

— W jaką drogę? — zapytał oprzytomniały trochę.

— Nie udawaj-że głupiego i spiesz się...— zaraz zadzwonię, każę podać rachunek i jazda.

— Gdzie jazda, poco jazda?—ziewnął znowu szkaradnie.

— Skaranie Bozkie, czy co z tobą!—Ściągnął z niego kołdrę, chcąc go zmusić do ubierania się. Wiktorek przykrył się napowrót kołdrą, i kładąc się, rzekł spokojnie:

— Niech-no pan nie blaguje, cóż to pan zapomniał, czy co?

— Co miałem zapomnieć? — spytał, blednac pan Lisowski.

— Stary hultaj z pana! — pił, dokazywał gorzej odemnie, a teraz mnie tu napędza!

— Panie Boże zlituj zię nademną, co ty ga- dsaz?

— Nie nudź-że pan, spać mi się chce i będę spał do jutra i poco mi się spieszyć, ciekawym!

— Jakto, po co? a Paryż?

— Za co pojedę do Paryża, za co? chyba że pan dasz pieniędzy.

— A gdzie-żes podział swoje?

Wiktorek zaczął się śmiać, zwykłym swoim śmiechem, podniesionym do potęgi.

— Wiktorku zaklinam cię, przyznaj się <lo wszystkiego.

— Cóżto nie piłeś pan z nami, nie umizga- leś się do Pepi, — prawda, żeś pan potem spał jak kufa, ale my rznęliśmy w ruletkę i przerzynałem co do gronia.

— Co ty gadasz, co ty gadasz?

Upadł na krzesło osłupiały, bezsilny, załamując ręce.

— A tak! — mówił dalej, z małą czkawką Wiktorek—jedenaście razy padłem na siódemkę, nie trafiłem ani razu, potem na trzynastkę, ani razu, a p.tem rozgniewany waliłem setkę po setce na 23, na nic się nie zdało, Gładysz zabrał wszystko...

— Powiesić się, powiesić! — rozpacział nieszczęsny mentor.

— A notabene wie pan — rozpamiętywał Wiktorek,—że assekurowałem zawsze zero. Na dyabła się przydało.

— I co powiemy teraz?—zerwał się z krzesła pan Lisowski, stając przed Wiktorkiem.

— A cóż, trzeba radzić—ziewnął znowu.

— Jak radzić, nieszczęśliwy!—mnieś oplątał, zgubił, pił, zdradził, mnie już wracać do domu niewolno, pieniędzy mam ledwie paręset złotych—o nieszczęśliwy człowiek ze mnie! Na starość zgubił mnie ten szatan.

— Co tam pan z szatanem i ze zgubą! — oburknął się niecierpliwie Wiktorek — każdy się lubi zabawić, a zem się zgrał to nic, jutro wygrać mogę, wielkie rzeczy!

Pan Lisowski spojrział ze zgrozą na swego towarzysza.

— Ty się chcesz odgrywać, a toż-ty Boga w sercu nie masz, a co powie matka, ojciec, mnie przeklną!..

Zaczął chodzić jak szalony po pokoju, dolatywał go tylko cichy chichot Wiktorka, którego śmieszyła pocieszna fizyonomia nauczyciela w kłopotach.

— Wie pan co — odezwał się powoli Wiktorek, jakby się napawając męką pana Lisowskiego—ja mam plan, który nas obojwóch wyratuje. Chcesz pan posłuchać?

— Twoje plany!—Pan Bóg mnie skarał, zem z tobą pojechał, z takim zepsutym do krwi młokosem... potrzebaż mi było!.,

— Nie chce pan posłuchać, to nic nie powiem.

Pan Lisowski załamywał ręce z trzaskiem, odmawiał modlitwę półgłosem, chodząc po pokoju nieprzytomny, a Wiktorek drażniąc się z nim, zapytywał go co chwila: chce pan?

— Gadaj więc, może Duch święty wstąpił w ciebie.

— Widzi pan, co tu w bawełnę obwijać. Pan wie dobrze, że papo nietylko nie da zła-manego szeląga, ale pana odrazu z góry przepędzi za to, żeś pan dopuścił do tej katastrofy, więc na papę niema co liczyć.

— Ale cóż powiem ojcu?—przecież jemu muszę zdać sprawę? „
— Powiesz pan poprostu, że nas okradli w drodze.
— Jeszcze mam i kłamać? nowym grzechem ładować sumienie!
— Przed mamą, możesz pan sobie ulżyć szczerą spowiedzią. Wal pan na mnie wszystko, mama mi przebaczy i przyśle pieniędzy na dalszą drogę. A teraz namyśl się pan, czy chcesz mnie usłuchać, bo ja prześpię się jeszcze, wszystkie kości mnie bolą i za dużo wypilem Roede- rera.

Co powiedziawszy, uczynił, odwróciwszy się do ściany i bez najmniejszego względu na srodze strapionego mentora.

V.

Pan Lisowski wyszedłszy od zapłakanej matki Wiktora, postanowił nazajutrz dopióro zdać relacją samemu panu. Jakkolwiek ułożył sobie powtórzyć bez zająknięcia dobrze obmyślane kłamstwo, w czym go wreszcie utwierdziła lękająca się gniewa męża pani Liwicka, jednak teraz już truchlał, na samo przypomnienie jego przesywających na wskrós siwych oczu. Dlatego dzień ten chciał przepędzić po za swem zwykłym domicilium. Zaledwo wszakże uszedł kilka kroków na ulicy, doleciał go głos z okna pierwszego piętra:

— A ty tu co Lisowski?

Zainterpelowany stanął jak wryty, potem milcząco zdjawszy kapelusz, nie ruszał się z miejsca.

— Cóżes się w słup soli przemienił? JChodź- żeż do mnie na górę, pogadamy.

Wyraz ten „pogadamy" zahuczał mu złowieszczo w uszach, lecz przywykły do posłuwowieści n lemorala •

szeństwa, zawrócił się machinalnie i wszedł na schody, przekonany, że wchodzi na nie po raz ostatni.

Zaraz od drzwi zagadnął go pan Liwicki:

— Jakto, jnż z Paryża?

— Broń Boże, proszę pana, tylko mieliśmy straszny wypadek...

— Zamordowali was?—rozśmiał się szyderczo.

— Gdzieżtam! — odrzekł mentor zapatrzony w kwadrat posadzki — zamordować nie zamordowali, ale ograbili do szczętu.

— Kto, jak i kiedy? opowiadaj.

Mentor nie spuszczaając oczu z posadzki, której deseń zajmował go w tej chwili niezmiernie, tak zaczął:

— W hotelu, w którym stanęliśmy w Wiedniu...

— Mówiłem, żeby jechać, nie zatrzymując się.

— Byliśmy ogromnie zmęczeni... Wiktorek nawet kaszłał...

— Gagatek! i cóż dalej...

— W hotelu więc tym położyliśmy się wcześniej spać, ażeby nazajutrz być gotowym do dalszej drogi... Kelner wziął rzeczy do trzepania, a Wiktorek zapomniał pugilaresu w tużurku... kiedy więc nazajutrz chcemy wyjechać, pieniędzy niema...

— A kelner?

— I kelner zniknął bez śladu, naturalnie z pieniędzmi.

Policja go dotąd szuka, ale cóż było robić, bez pieniędzy trudno jechać do Paryża...

— I dlatego się sam wrócił... po pieniądze, co?

— Naturalnie... Wiktorek bez pieniędzy...

— Panie Lisowski, odwróć-no trochę oczy od posadzki i zbliż Bię do mnie... tu, bliżej jeszcze!

Panu Lisowskiemu z trudnością przyszło po- tąpić naprzód kilka kroków. ,

— A teraz zdejm-no trochę okulary...

— Kiedy nie widzę...

— Zdejm, mówię ci... tak, i popatrz mi teraz w oczy!

— ...Oj stary, stary, dajesz się użyć za narzędzie temu nicponiowi i chcesz okłamać, kogo, mnie?

Nie wstyd-że ci!

Pan Lisowski otworzył już usta, ażeby się usprawiedliwić, ale w tejże samej sekundzie przypomniała mu się zapłakana twarz pani Li- wickiej, która była zawsze dla niego dobrą i słodką.

Zaciął więc wargi i lubo wstydem przybity, stał, milcząc jak żołoierz przed frontem.

Pan Liwicki zaś wybuchnąwszy trochę, wnet ochłonął i siadając przy swem biurze, rzekł już najspokojniej: , — A cóż matka?J

Stary mentor milczał.

— Cóż postanowiła matka?. — powtórzył z przyciskiem — boć przecie wyszedłeś od niej.

Ciągło milczenie.

— Przed nią chyba nie kłamałeś... gagatek zapewne obdarzył cię poufną missyą... Dobrze, kenspirujcie wszyscy razem przeciw mnie, ale wiedzcie, że tak jak przyrzekłem, będę dla niego nieubłagany... a bodaj ta matka nie płakała kiedy swój słabości, która jest tylko nowym występkiem.

...Idź z Bogiem panie Lisowski!

I nie patrząc jnż na niego, wziął książkę w rękę.

Pan Lisowski wyszedł zwolna, osłupiały trochę, ale szczęśliwy, że burza nie odbiera mu na starość tego ostatniego przytułku.

VI.

Wiktorek za pieniądze matki, wydobyte z trudem, którego się ani domyślał, zajechał do Paryża.

Nie olśniło go wielkie miasto, ale wzbudziło palącą żądzę używania jakim bądź kosztem. Kiedy ujrzał tyle pięknych kobiet, tyle zbytku, tyle sposobności do zabawy i szalu, młodość zagrała w nim kipiątkiem, wszystkie zmysły skupiły się w jednym palącym pragnieniu: za-kosztowania tego życia odraza i w [całej pełni, chociażby to przyszło mu opłacić zdrowiem, honorem i sumieniem. Skrupuł ten wreszcie nie przyszedł mu nawet na myśl, tak już był zorganizowany i do życia przysposobiony. O pracy, wytężeniu woli, poważnym trudem zdobytej jakiej bądź wiedzy, nie miał nigdy pojęcia. Marzenia sławy kołysały go czasami, bo uwierzył w swój talent sam z siebie — ale teraz wobec przepychu wielkiego miasta, rozwiały się one jak we mgle, a tylko i przedewszystkiem chciał

ożywać, bawić się, pławić we wszystkich rozkoszach, które raczej przeczuwał aniżeli znał.

Dwudziesto-ośmletni, żałował już gorzko, że dopiero teraz przyjeżdża do tej krynicy życia, do tego źródła wesołości i szczęścia, bo takim wydał ma się Paryż. I wielka gorycz chwyciła go za gardło.

Nie miał milionów, ażeby z ich pomocą mieć wszystko, czego wyobraźnia zażąda. Pomacał się po kieszeniach i obłany ramieńcem wstydu przed samym sobą, znalazł w nich tylko tysiąc kilkaset franków.

Na długoż to wystarczy? a gdy się skończą, znowu pisz, błagaj tego „papy,” okłamuj kochaną mamę, i znów przyślą... mizerną jaką sumkę.

Zaiskrzyły mu się oczy wściekle a w mózgu zaryła myśl: dlaczego inni mają miliony a ja nie? — ja, który mam takie zdrowie, taką chęć używania, taką żądzę poznania wszystkiego, co ten świat nastęrcza zdrowym, młodym i pragnącym!

I nie poszukawszy nikogo, — pomimo że miał listy polecające — wiedziony tylko instynktem użycia, hulał przez pięć dni z takim instynktem, z taką dziką energią, że po upływie tego czasu, gdy znużony na śmierć, położył się w łóżko, był już wprawdzie bez szeląga, ale i na tę chwilę bez żadnego pragnienia... Zdawało mu się, że od jednego haustu wychylił cały kielich

wszystkich ziemskich rozkoszy i że chyba tak wiele na tym świecie niema już dla niego tajemnic.

Z tą pocieszającą i filozoficzną refleksją, zasnął. Spał snem kamiennym i tak przespał trzydzieści godzin, ale kiedy wstał pokrzepiony, i spojrzął z okna hotelu na ten niezmierny ruch ulic Paryża, odezwały się w nim wszystkie żądze na nowo z tem większą jeszcze potęgą.

Dzień był prześliczny, jesienne słońce dogrzewało łagodnie, pełno kobiet eleganckich przesuwawało się lekko po makadamie, a tłum zgrabnych kabrioletów, krzyżował się z tłumem przechodniów.

Wiktorek ścigał kobiety namiętne okiem, oszołomiony tak jak gdy pierwszy raz ujrzał Paryż, z tą dziwnie pociągającą wrzawą, tętniącą pełnią życia.

Głód po tak długim wywczasie, obudził w nim apetyt spożycia Serdanapalowej choćby ucztę, ale ten apetyt obejmował zarazem wszelkie rozkosze, jaki mu podsuwała rozigrana zmysłowo wyobraźnia. Zdobyć pieniądze, ażeby posiadać wszystko, czego „dusza” zapagnie! Czemuz się nie urodził milionerem, tylko jedynakiem średniozamożnych rodziców, a jeszcze ten „papo,” który mu tak grosza skąpi!

Niechęć do ojea rosła w stosunku do oddalenia i podrażnienia wszystkich nieokiełznanych namiętności.

Zbiegł na dół na bulwary i z pewnością siebie, jak gdyby codzień mógł żyć po pańsku, wszedł do Maison dorée na śniadanie. Był jednak ostrożny, bo znalazł wszystkiego 23 tylko franków w kieszeni. Rzuciwszy kilka franków pourboiru, choć byłby zjadł jeszcze dwa razy tyle, posunął się elastycznym krokiem do Tortoniego na kawę. Tam wyda ostatniego centyma, a co będzie potem, za godzinę? Nie zatroszczył się bynajmniej o to.

Siadając przy małym stoliczku, spostrzegł polską gazetę w ręku jednego z czytających. Zamówił ją. Czytający, chudy, wysoki blondyn, spojrzał na niego bystro i odrzekł po polsku: „Proszę pana bardzo... i cieszy mnie, że widzę rodaka.”

Zawiązała się odrazn rozmowa ożywiona, a wkrótce serdeczna i poufała:

W pół godziny potem, poszli pod rękę przejść się po bulwarach.

Znalazł swój swego. Ów blondyn nazywał się hrabią Alfonsem, który w ciągu dwóch lat stracił w Paryżu ogromną fortunę, zdrowie i resztki honoru, którego nigdy nie miał" wiele, ale posiadał za to olbrzymie doświadczenie, znajomość Paryża i wszelkich jego tajemnic zakulisowych i zaułkowych, trochę stosunków w półświatku i w dwuznacznych kołach artystycznych i dziennikarskich, oraz tak zwany loupet, czyli niewzruszoną czelność zachowania się zimno

. i swobodnie w każdej, najdrażliwszej choćby sytuacji.

Wnet stał się mistrzem i wyrocznią Wiktorka, którego opanował jak niewolnika. Dwa miesiące żył Wiktorek jego kosztem, chociaż hr. Alfons widywał się bardzo rzadko z gotówką, a przez ten czas jakże się wyrobił i wykształcił!

Odzwyczał się od głośniego monotonnego chichotania, zastąpiwszy je stereotypowym sardonicznym wykrzywieniem, zapoznał się z słynną w małym teatrzyku Natalią, która przyczyniła się do jego rozgłosu, zaprzyjaźnił się z kółkiem dziennikarzy i muzyków, którzy odżywili w nim zdrzemniętą chętkę zdobycia sławy na polu artystycznym. Godzinami całymi rozmawiano w znanej kawiarni o sztuce, wszelkich znakomitościach europejskich i paryzkich, o szczegółach poufnych z ich życia i o wszelakich skandalach znanych i nieznanym. Nie pracując nic, nie dawszy najmniejszego dowoda talentu kompozytora lub wirtuoza, wyrobił sobie już Wiktorek sławę „znanego artysty,” z czego się pokazuje, że w wielkiej stolicy świata łatwiej jeszcze odgrywać komedią albo grać ją bezwiednie, aniżeli w naszym kraju, gdzie podejrzliwsi ściślejszy robią obrachunek.

Pani Liwicka oplakując łzami każdy list do ukochanego jedynaka, otrzymała nareszcie od niego tryumfującą wiadomość, że jest już zna-

r

nym „w pierwszych” salonach Paryża i w gronie artystycznym, że bywa z Gounodem na wieczorach, a Saint-Saens odgrywa przed nim swe kompozycje. Skarżył się tylko na życie drogie, zwłaszcza dla takiego, który potrzebnje sobie wyrabiać stosunki. Poczciwa matka przeczytawszy tylko początek listu mężowi, sprzedała trochę swych klejnotów, zamieniła je na franki i przesłała synowi. Pan Liwicki zwrócił jej uwagę, że „gagatek,” (nigdy go inaczej nie nazywał) miał się kształcić na inżyniera, a nie na blagiera i próżniaka, do czego już i tak miał wrodzone zdolności.

VII.

Dwa lata przeżył Wiktorek na bruku paryskim. Uczciwy człowiek nazwałby takie życie ze wstrętem: „życiem galernika.” Wiktorek pływał w niem, jak ryba w wodzie pod światłą opieką hr. Alfonsa, i byłby pływał długo jeszcze, gdyby nie kilka fatalnych epizodów.

Uroczej Natalii podobał się miody chłopiec, była więc wbrew zwyczajowi koleżanek, nietylko nie wy maga ją, ale nawet z niejakiem poświęceniem. On cieszył się wszystkimi przywilejami, nie obarczony żadnym ciężarem. Z pomocą starego muzyka, który zrezygnował już ze sławy, kontentując się lada zarobkiem, skomponował operetkę. Wygwizdano ją, ale wygwizdanie w Paryżu nadaje także rozgłos. W pół-swiatku rozgłos ten postawił go jeszcze wyżej, do czego przyczyniły się pochlebne wzmianki w kilku podrzędnych dziennikach. Wycinki z tych dzienników posłał Wiktorek matce, która nie wzruszyła niemi zatwardziałego

męża, ale napelniła całe miasteczko sławą jedynaka.

A tymczasem ambicya i niewygasła żądza zdobycia milionów, rosła w Wiktorca. W tym ostatnim celu, kierowany ciągle światłą radą br. Alfonsa, zapoznał się z bogatą średniego wieku wdową, której jako „hrabia” polski i przystojny młodzieniec, od razu się spodobał. Z obydwóch stron wymieniono plany na przyszłość... połączenia się dozgonnym węzłem, na rachunek zaś tego węzła, zdyskontował Wiktorca a zakon- chanej wdowy, kilkanaście tysięcy franków.

Przez trzy tygodnie rywalizował z baronem Rot8zydlem, zapomniawszy nawet dowiedzieć się o- zdrowie wdówki a swój przyszłej. To srodze zmartwiło jój brata, ex- szassera, który wolałby dziedziczyć sam po siostrze, a w każdym razie cokolwiekby się w przyszłości stało, widzieć spadek całym i nienaruszonym.

Rozmówił się więc z Wiktorciem, który mu odpowiedział z całą dumą przyszłego milionera. Powstała z tego sprzeczka i wyzwanie na pojedynek. Wiktorca wyzwanie przyjął, lecz hr. Alfons inny na sprawę miał pogląd. Nie przyszło do pojedynku. Rozwścieczony ex- szasser znieważył Wiktorca wobec bardzo wielu świadków. Trzeba się było strzelać. Szli. dwa razy do siebie, za drugim razem padł Wiktorca ugodzony w żebro.

Sześć tygodni przeleżał samotny, bo urocza Natalia wyjechała do Monte-Carlo z impresariem,

- 9-T-

a hrabia Alfons zmuszony był dla ważnych ope- racyj, przenieść się do Londynu.

Pozostał prawie sam, smutny jak nigdy jeszcze w życiu, rozbity moralnie i nie wiedzący co poczaie ze sobą. Młodość podratowała szybko jego zdrowie. Pierwszego dnia, gdy wstał z łóżka, nadszedł list od matki, obłany jej łzami błagający go na wszystkie świętości, ażeby wracał do domn. Zadrzało w nim pierwszy raz seree. Postanowił wracać i poddać się losowi, to jest dalszym surowym rozkazom „papy”.

Schowawszy sporą sumkę przeznaczoną na podróż, wyszedł odetchnąć ówieżem powietrzem, którem nie oddychał jużkUka tygodni. Wybladły, chwiejący się jeszcze na nogach, zdążał powolnym krokiem ku bulwarom, nastęrczającym zawsze najlepszą rozrywkę. Któż wyobrazi sobie jego radość, gdy zaledwo usiadłszy na wystawce przed kawiarnią de la-Paix, ujrzzał Alfonsa, któ • ry również przywitał go najserdeczniejszym uściskiem.

Alfons niezwykle wesoły i zadowolony, pokazał mu pugilares grubo nabity banknotami. Ująwszy go pod ramię, zaprowadził na śniadanie do Bignona; ztamtąd podreparowawszy się kilkoma butelkami wina, poszli do jednego z klubów, w których hrabia był jak u siebie.

Wiktorca zawahał się przez chwilę... ale tylko przez chwilę. Żal mu było matki, lecz gdy pomyślał, że powrót do domu okryje go tylko

śmiesznością, z podwojoną energią siadł do.... bakara. O godzinie drugiej w nocy, wracając z Alfonsem, nie potrzebował już jego ramienia. Czuł się lekkim jak sylfida, wygrał 30,000 franków.

I zaczęło się dlań nowe życie... życie gracza, ale tego, który wygrać musi, bo tu chodzi o byt, a bytu chce najświetniejszego. Fortuna z natury złośliwa, dopisuje zawsze zaczynającym korzystać z jej uśmiechów. Wiktorek w ciągu kilku tygodni wygrał kilkakroć-sto-tysięcy i teraz był już pewnym, że wygra marzone miliony. Wprawdzie hrabia radził mu korzystać z weny, ale przy pierwszej „dewenie” zapasować i czekać lepszych czasów. Wiktorek nie usłuchał. Zaczawszy przegrywać, grał coraz zawzięciej, uparciej, wścieklej, z całą furją na niestałość losu, z wytężoną do szalu energią odbicia tego, co już miał i zdobycia nowych kroków. Błady jak trup, z zaciniętymi zębami, milczący, siedział przy stole długie godziny, czekał natchnienia, łowił je i... przegrywał.

Po ośmiu dniach, kiedy wstał od stołu zataczając się jak pijany, krupjerzy mrugnęli na siebie znacząco, przekonani że wyszedłszy ztąd, palnie sobie w łeb odrazu, może już na schodach.

Nie — Wiktorek w łeb sobie nie strzelił, tylko siadł na ławce w sieni i gorzko zapłakał. Co teraz poczniesz ze sobą?

Być panem znacznej summy i znów zacząć — zacząć i od czego zacząć? Kto mu pożyczycy, gdyby nawet chciał pracować. „Pracować” rozśmiał się konwulsyjnie — alboważ ja umiem? — a głos wewnętrzny szepnął mn:

— Alboważ ja chcę?!

Od hrabiego nie wycisnie w tej chwili, wiedział o tem. Przypomniała mu się matka — ta matka, której nie wrócił pieniędzy, ażeby wykupiła zastawione najdroższe swe klejnoty, wtedy gdy rozrzucił garściami złoto na zbytki i na pokaz. Do niej napisze, poprosi po raz ostatni o zasiłek, a potem albo... spróbuje raz jeszcze szczęścia i... wygra, albo skończy z tem życiem, które mu w tej chwili wydawało się obrzydłem. Tymczasem zaś otrzymał trochę grosza od hrabiego, który go surowo skarcił za lekkomyślność i z tego grosza żył, chowając się po kątach, dopóki znów nie nadszedł list matki.

Matka donosiła mu w krótkich i surowych słowach, że się czuje bardzo słabą, że ojciec nie chce słyszeć o nim, że go więc zaklina, ażeby wracał do domu. W dopisku- zawiadomieniu, że summa którą mu przesyła, jest ostatnią na którą się zdobyć mogła.

Trzy dni pasował się ze sobą: czy wracać do domu, czy raz jeszcze zasiąść do zielonego stolika i poprobować losu? Było do przewidzenia, że wybierze drugie. Ponury, przelęknięty, zaczął grać ostrożnie — a fortuna karciarska

nie lubi ostrożnych i nieśmiałych — i we dwie godziny potem, wstał zgrany do nitki.

Kiedy zaszedł do domu, gdzie błędził przedtem, nie umiałby powiedzieć nigdy, dość że nazajutrz obudził się chory i przybity, nie mogąc poruszyć ani ręką, ani nogą, nie mogąc i nie chcąc wreszcie podnieść się z posłania. Na domiar niedoli, otrzymał nakaz sądowy zapłacenia owego długu, zniecierpliwionej i szukającej zemsty wdowie. Zapadł w gorączkę, służący z litości zawezwał lekarza... Kiedy po jakimś czasie przyszedł do przytomności, obudził się w szpitalu, a kiedy wyszedł z niego po kilku tygodniach, nie "byłaby go poznała rodzona matka. Wychudł, poźółkł, oczy zapadły mu głęboko, oddychał ciężko... Z młodzieńca pełnego siły niewyczerpanej i ochoty życia, zrobił się starzec schorzały, niedołężny, stargany fizycznie, moralnie i umysłowo.

A jednak gdy nareszcie zdołał wybrać się w podróż do domu,—z nieopisanym żalem i pożądlivością oglądał się jeszcze na to miasto, w którym chciał królować milionami i mocą swych namiętności, a które go odrzuciło tak, jak fala potężna odrzuca rozbitą łam wspaniałego niegdyś okrętu.

VIII.

Pewnego pięknego i jasnego, choć mroźnego dnia w Grudniu, zapanował rnych niezwykle w domku pana Liwickiego. Po długiej i ciężkiej chorobie, dźwignęła się z łoża pani domu i po raz pierwszy przyjmowała znajomych i przyjaciół, a raczej samych przyjaciół, bo w całym mieście lubiano ją bardzo za jej słodycz i uprzejmość. Znnżona przyjęciem, gdy się już drzwi zamknęły za ostatnim gościem, ułożyła się na wygodnym Bzezłagu i przymknęła oczy, zdając się zapominać, że ktoś siedzi przy niej milcząco, wpatrując się z najwyższą czułością w jej znękane lica.

Po chwilce ocknęła się i szepnęła:

— Boże, Boże, co się dzieje z moim dzieciąciem!

— Uspokój się... co do jego zdrowia jestem najzupełniej spokojny, niestety!...

Fowleioi niemoralne.

— O tak, niestety!... Bóg karze mnie sprawiedliwie, ale dlaczego nie mnie tylko samą! Te resztki życia oddałabym z uniesieniem w ofierze, gdybym o los jego mogła być spokojną! Mężczyzna milczał chwilę, nareszcie rzekł:

— Gdy raz tu wróci, zajmę się nim... śmielej niż mogłem dotąd... straszne położenie, całe życie kłamać i maskować się... odpokutowaliśmy srodze za krótką chwilę zapomnienia i... szczęścia.

— Ciszej na Boga! — obejrzała się z przestachem kobieta — dziś nie był jeszcze tutaj,... a czy sądzisz — dodała, podnosząc się raptownie — że on nie wie o wszystkim, a przynajmniej nie domyśla się oddawna?.., Od lat czternastu z najczulszego stał się dla mnie zimnym jak gład i gorzkim, a gdy wprzód ubóstwiał Wiktora, od owego czasu zaczął go nie-nawidzić... Jakże jest zacny, gdy pomimo wszystkiego żywi mnie w swym domu i dba o mnie, jak gdybym tego była godną!

Zakryła oczy rękoma.

— Tak — odezwał się posepnie mężczyzna — mnie dawnego przyjaciela i kolegę..

— Przyjaciela! — nie mogła nie wybuchnąć z goryczą.

— Zaledwo wita kilkoma słowy... a przecież pozwala mi tu bywać i... Ach! czyż nie było lepiej, gdym cię przed laty błagał tylkrotnie, ażeby wyznać mi wszystko i rozwieść się!..-
Dziś postarzelśmy się oboje i dźwigamy łańcuch, do którego oboje skuci jesteśmy na wieki, a nigdy promyka słońca, odetchnięcia wolnem powietrzem!

— Nie mów tak, nie mów! myślmymy raczej o nim, który nie powinien cierpieć za naszą winę...

— Czy można? — ozwał się nagle głos we drzwiach — i posunął się bliżej pan Liwicki.

Wzdrygnęli się oboje — mężczyzna wstał szybko i nie śmiejąc usiąść, milczał zakłopotany.

— Jakże się dziś czujesz? — zapytał spokojnie, choć z widoczną troskliwością pan Liwicki, podając, żonie rękę.

. I ^ Dziękuję ci dobry Adamie, lepiej daleko.

—Dzień dobry Stanisławie— rzekł teraz pan Liwicki, podając mu zlekka rękę i nie-ogładając się na niego.

— Czy wolno ci już będzie wyjechać na spacer? — pytał dalej zwrócony do żony.

— Zapewne—za dni kilka... a ty mężu, tyle nocy czuwałeś przy mnie, zdrów się czniesz?

— O ja mam żelazne zdrowie! mnie już chyba nigdy śmierć nie dosięgnie! — odrzekł tym samym spokojnym głosem — i dodał — chciałem zajrzeć na chwilę do ciebie, bo za dwie godziny wyjechać muszę na wieś.

— Cóż tak pilnego? — pytała z równą troskliwością żona —jechać w taki mróz! czy ce zaszło ważnego?

— Rządca mnie wzywa do zawarcia kilku kontraktów...) za dwa dni wróć... Bądź-że mi tymczasem zdrowa, Anno!

I uściskawszy ją za rękę, podszedł ku drzwiom, a jakby sobie nagle przypomniawszy obecność pana Stanisława, rzekł:

— Do widzenia Stanisławie!

Zamknęły się drzwi. Oboje spojrzeli po sobie z niemym wyrzutem.

— Od lat tyłu zawsze ten sam! — rzekł półgłosem Stanisław.

— Ileż biedny przeboleć musiał, zanim się przyzwyczaił do tej cierpliwości, bo ty go nie znasz, nie znasz jego żelaznej energii i odwagi, a jeżeli jest takim, to dla tego że ma litość nademną.

— Lub że cię jeszcze kocha! — dodał mężczyzna.

W chwili, gdy dwoje tych ludzi chcąc się wzajemnie pocieszyć, rozdrażniało tylko niedają- cą się zagoić ranę, stanął przed domem prosty chłopski wózek z narzuconem niezgrabnie ze słomy siedzeniem, na którym siedział jakiś człowiek, otalony w żołnierski płaszcz i przykryty grubą derą. Śnać skostniały z zimna, bo nie zaraz próbował zejść z wozu, aż po chwili powzięcia silnego postanowienia powstał, strząsnął z siebie derkę, służącą zwykle na siedzenie, i z wolna, z wielkim trudem przełożył nogę na orczyk, a ztamtąd zsunął się raczej, aniżeli zeskoczył na ziemię.

Podniesiony kołnierz od płaszcza zakrywał mu twarz, którą i tak trudno poznać było z zaciśniętej głęboko na oczy czapki.

Raz jednak będąc już na ziemi, nie rozglądał się wcale, ale jak świadomy miejscowości, szedł prosto do bramy, a przeszedłszy mały poa- worczyk, wstąpił na schody. Bardzo powoli, ciężko oddychając i odpoczywając na każdym schodzie, wstępował na górę, stanawszy zaś na piętrze, skierował się już wprost ku drzwiom prowadzącym do gabinetu pana Liwickiego.

Nagle i gwałtownem szarpnięciem roztworzywszy drzwi, wszedł do pokoju, w którym właśnie pan Liwicki pakował rzeczy do niewiel- kiej walizki.

Pan domu ujrzawszy obcego człowieka, ubranego lichy i dziwacznie, w czapce na głowie, zapytał: , /

— Do kogo to?

Przy by sz milczał, patrząc przed siebie — słyhać było tylko świszczący jego oddech.

Pan Liwicki postąpił krok ku niemu coraz bardziej zdziwiony, mówiąc:

— Kto pan jesteś?

— Przypatrz się! — odezwał się przybysz, zdejmując nagle czapkę z głowy.

Pan Liwicki krzyknął i cofnął się wzruszony.

— To ty! — wy szepnął, nie mogąc wierzyć oczom swoim.

— To ja—odrzekł tamten—zabijcie woła na powitanie jedynaka!—Poznajesz mnie „papo”?... dodał z gryzącym szyderstwem.

— Chorowałeś na Boga? — odezwał się z nie- tajoną litością pan Liwicki — człowieka cóż się stało z tobą?!

— Nawet „papo,” nie wiedziałeś o tern, że ja chorowałem! — więc i to matka tała przed tobą?! To dziwne, bałem się ciebie i nie "lubiłem, przeczuwając w tobie wyrodnego ojca, ale teraz nienawidzę cię, nienawidzę całą siłą utraconej mój młodości,, zdrowia i rozpierchniętych na zawsze marzeń! Pojmujesz mnie ty „papo!”

Pan Liwicki patrzył na niego smutny i zamyślony, ani śladu gniewu nie było znać na jego twarzy. Nagle jednak rzekł, biorąc go za rękę i sadzając na kanapie:

— Posłuchaj mnie. Matka twoja przeżyła ciężką chorobę, dziś pierwszy dzień czuje się lepiej. Chorowała przez ciebie, domyślałem się tego; jeżeli jej nie chcesz zabić, nie pokazuj się jej w tym stanie.

Wiktorek usiadł na kanapie, bo ma nogi odmówiły posłuszeństwa, ale syczącym z gniewu głosem rzekł: '

— Matka chorowała z niepokojem o mnie, a ty masz się jak najlepiej. Czemże więc byłem dla ciebie?

| — Nie chciałeś mnie nigdy słuchać, nie uczyłeś się, byłeś uparty i zuchwały, folgując wszystkim złym instynktom.

— Ale zawsze byłem twoim synem!

Pan Liwicki zamilkł, po chwili rzekł znowu:

—Nie pokazuj się dziś matce,, przyjdź do siebie, odpocznij, a gdy trochę wydobrzejesz, zajmę się twym losem i może odtąd pogodzimy się lepiej.

• 1 — Boisz się, ażeby mnie matka nie ujrzała w tym stanie, wstydzisz się swego postępowania!

—Masz tu—odrzekł pan Liwicki, nie zważając na to co mówi tamten — pieniądze, stań w hotelu, tam ci bęzie nieźle, tymczasem przygotuję matkę... no... posłuchaj mojej dobrej rady. Wiktorze... — dokończył łagodnym i miękkim głosem.

Wiktorek zerwał się z kanapy.

— Nie potrzebuję się ukrywać — to ty potrzebujesz ukryć mnie nędzarza przed matką! ale właśnie dlatego pójde natychmiast do niej!..

I zwrócił się ku drzwiom.

Panu Liwickiemu wystąpiła czerwona pręga na czoło, szybkim jednak krokiem stanął przed drzwiami i rzekł surowo:

— Nie pójdziesz tam? — rozkazuję ci usłuchać mnie, albo...

— Albo co? — przerwał mu szyderczo Wiktorek — dasz mi różgą?

Skończyły się czasy twego przewodzenia nademną, twojej tyranii... doknzczałeś mi całe życie, a gdym tam siedział na obczyźnie, dałeś choćby raz znak życia, dowiodłeś czemkolwiek że jesteś moim ojcem? Biedne matczysko zastawiało klejnoty, żeby tylko ciebie nie prosić o grosz dla swego własnego syna... a teraz dopiero, gdy powracam jak łazarz i żebrak, wstydzisz się mnie i boisz! Nic z tego, pość mnie!

Na twarzy pana Liwickiego malowała się straszna walka. Gniew łamał się z litością czy obawą. Nie odchodząc od drzwi, starał się poskromić dawną potęgą swego wzroku zuchwałość jedynaka, lecz ten nie spuszczał przed nim oczu, łyskających dziko, wściekle i gorączkowo.

—Puść mnie! — wołał zachrypty i dyszącą piersią — niech widzi matka, niech się dowie całe miasto, jakiego mam w tobie ojca!

— Milcz — szepnął przez zęby niemogący się już pohamować pan Liwicki — nie wymawiaj tego imienia!

— Dlaczego nie mam wymawiać, kto mi zabroni?

— Ja ci zakazuję! — mówił szybko, tłumionym, ale coraz bardziej gniewem nabrzmiałym głosem — ja, nie godzien jesteś nazywać J3ię moim synem!

— Tak, jak ty niegodzien nazywać się moim ojcem! — odparł wyzywająco.

— Bo też nim nie jestem nieszczęsny! — w najwyższym zawołał wzburzeniu.

— Nie jesteś! ha ha! więc głos natury nigdy się nie myli! — zasyczał z szyderskim cynizmem i korzystając z pomieszczenia pana Liwickiego, dorwał się do klamki, drzwi szybko otworzył i zniknął.

Pan Liwicki stał oniemiały i przykuty na miejscu. Okropny żal ścisnął mu serce na myśl, że wyrzekł słowa, które tań z taką boleścią lat tyle!... Bzucił się dp drzwi, chcąc przebłagać tego wyrodnego syna, ażeby nie dobijał matki, którą on, pokrzywdzony w najświętszym uczuciu, kochał jeszcze i chciał uszanować...

Już było zapóźno... posłyszał chrapliwy głos Wiktorka w jej pokoju...

Powrócił zwolna do swego pokojn, i padłszy całym ciężarem bezwładnego ciała na krzesło, jęknął: Stało się!

Tamten tymczasem wpadł, jak huragan do pokoja matki i nie spojrzawszy na jej twarz jEchorowaną i wybladłą, nie słysząc okropnego jej okrzyku, okrzyku radości i przerażenia na widok zbiedzonej jego postaci, stanął przed nią groźny i zapytał brutalnie:

— Tamten wyparł się że jest moim ojcem, powiedz więc matko, kto jest nim?

Matka złożyła ręce jak do prośby, i blada iak chusta, na pół-żywa, opuściła głowę na poduszki.

W tej chwili przyskoczył do niego pan Stanisław i ująwszy go silnie za ręce, przychylił do siebie, szepnąwszy mu słów kilka, poczem odstąpiwszy od niego, rzekł głęboko wzruszony:

— Przebacz!

— Przebaczyć? — wrzasnął podniecony do najwyższego stopnia — przebaczyć za moją nędzę i chorobę. Pan miałeś podwójny obowiązek... a tymczasem, gdy ja tam domierałem z biędzy i opuszczenia, czyś pan choć raz przysłał mi... pieniędzy?

* ,

* #

W dwa lata potem — słynnym był w głównej cukierni miasteczka X. jako wyrocznia w sprawach bilardowych, domina, écarté i pikiety nasz Wiktorek, który pokurczony, nawpół- zgięty, ledwo dyszący, cherłał wprawdzie, ale krzepił się na duchu powszechną konsyderycją i uwielbieniem licznego sztabu, który mu pomagał dojadać odziedziczonej schedy. Rodzice bowiem jego dawno już spoczęli na mogiłkach. Wiktorek chciał natychmiast po ich śmierci, nieutulony w żalu, pogonić do Paryża / gotówką, ale mu już zdrowie nie dopisało... Bywał też arbitrem w sądzeniu talentów muzycznych amatorskich, których się w miasteczku sporo wyklówało rokrocznie — pamiętano jego sławę jeszcze z Paryża... Jużto wogóle mieszkańcy miasta i okolicy, zachowali mu przyjaźń przez wzgląd na ś. p. rodziców; — jeden tylko pan Lisowski, który żył na dewocyi z przekazanego sobie przez pana Liwickiego legatu, potrzasał często głową, mówiąc sam do siebie: „Dziwna rzecz, jak syn takiej matki i takiego ojca, mógł zostać takim urwisem i nicponiem! I niechże mi tu gadają o teorii dziedziczności.^a Pan Lisowski wstręt czuł do najnowszych badań filozoficznych, fizyko i socjologicznych.

STARA ŽONA.

W jednym z pierwszorzędnych hotelów w Warszawie, rozlegał się z okazałego apartamentu pierwszego piętra, nieustannie dzwonek, pobudzający do groźnych przekleństw ociężałych i zaspanych kelnerów. Była to bowiem dopiero godzina dziewiąta, a w rzeczonym apartamencie uczta połączona z wesołymi libacyami, trwała do piątej rano. Wprawdzie kelnerzy niemogli się skarżyć, iżby na tej nocnej obsłudze nie zarobili, ani tóż, iżby mieszkaniac apartamentu pan Alfred B... nie obdzielał ich zawsze po pańsku, ale bądźco bądź, położyć się nad ranem i znowu wstać we dwie godziny potem, to ciężko nawet takiemu, któremu za to płać.

Kiedy wszedł skrzywiony i zaspany Antoni do pokoju pana Alfreda, ten zamykał właśnie ogromny kufer i nie odrywając się od roboty, rzekł:

- A cóż? jest mój rachunek?
- Rachunek?., rachunek, proszę wielmożnego pana, a jaki?

— Czyż ci nie mówiłem dziesięć razy wczoraj, że o 12 w południe wyjeżdżam kurjerką, żeby więc mój rachunek był przygotowany?

— To wielmożny pan od nas wyjeżdża? — zawołał oprzytomniały nagle Antoni, z widocznym żalem.

— A tak, mój kochanka, dobrze mi a was, ale interesa... no, spiesz się, spiesz i przynosź rachunek.

— A ta pani?... — rzekł półgłosem — eo tu była wczoraj dwa razy chcąc się widzić z panem?

— Nie tarbuj się o nią i wracaj pomódz mi w pakowaniu. Cóż u diabła dodzwonić się was nie mogłem.

— O szkoda, szkoda, wielmożnego pana! — rzekł znowu z ciężkiem westchnieniem nie wyspanego obywatela.

— A może znów kiedy do was przyjadę ale spiesz się, spiesz!

Antoni wyszedł powoli, obliczając straty swoje z tak nagłego wyjazdu hojnego pana, a przy- tem i żałując go trochę, bo p. Alfred dał się lubić.

Śliczny téż to był młodzieniec. Wysoki, smukły, owalnej twarzy, męzkich rysów, wyrazi- stem, pełnem ognia, dużem oku czarnem, swobodny w rnehacb, z uśmiechem serdecznym na twarzy, wesoły, choć niezbyt rozmowny z ludźmi, ujmował wszystkich grzecznością naturalną, pro- fitotą szlachetną obejścia i szczerością w każdym słowie i postępk.

Dziś wszakże twarz jego, zwykle blada, pobladła jeszcze bardziej, może z niewywczasu, a może z jakichś smutnych myśli, które wyrażały się melancholijnym obłokiem na czole, i krótkiem, często powtarzanem westchnieniem.

Z małej szkatułki wyjmuje pęk listów i szybko je przeglądając, odkłada na bok, potem za- paliwszy świecę, podchodzi do kominka i pali je bez litości. Gdy już spłonęły wszystkie, przeszedł się po pokoju, potem stanął przy oknie i zadumał się znowu posepnie. Nagle jednak siłą woli otrząsnął się, odrzuciwszy w tył długie, lśniące jak heban włosy i siadłszy przy stoliku, zaczął pisać list, często i długo namyślając się nad nim.

Daleko było mu jeszcze do końca, gdy ktoś dyskretnie zapukał do drzwi.

— Proszę wejść! — odrzekł trochę niecierpliwie, patrząc na zegarek.

Otwarły się drzwi i weszła . dama gęsto za- woalowana. Alfred poskoczył ku niej.

— To ty Matyldo!

— Trzeci raz.

— Wiem o tem, i przebac mi droga, ale gdybyś wiedziała...

— Ż^| niewdzięczny.

— Usiądź na chwilę, wypowiadam ci się szczerze.

Powlefcł niemoralne,

— Szczerze? — przerwała z goryczą.

— Najszczerzej, zareczam—odrzekł z pewną damą—byłem kilkakrotnie a was, nie zastałem nikogo, a listów zostawiać nie lubię.

— Szukaliśmy się więc nawzajem — mój Boże, jak trudno przychodzi ci teraz znaleźć mnie!

— Wyrzuty!

— Więc milczę i wolę słuchać obiecannej spowiedzi.

— Matyldo! Byłem i jestem do ciebie przywiązany i byłbym szczęśliwy, gdybym ci kiedy w życiu mógł tego dowieść.

— Możesz każdej chwili.

— Nie — bo byłbym kłamcą. Jestem przywiązany, ale nie kocham cię do tego stopnia, abym wytrwał w tej miłości życie całe, a tak tylko pojmnję prawdziwą miłość. Raz jeszcze przebac, że mówię prawdę...

— Czemuś mi jej nie powiedział wprzód?

Mimowoli uśmiechnął się Alfred, pokręcając tylko aksamitnego wąsika.

— Boś mnie się o nią nie pytała... Ale nie łudziłem się nigdy, nie przyrzekałem nigdy małżeństwa.

— Wierzę, Kazia M. lepszą jest partią odemnie, niemajątnój wdowy.

Alfred zarumieniwszy się lekko, odrzekł znów dumnie i tonem trochę ostrym:

— Panna Kazimiera jest istotnie bardzo bogatą, bo nawet jak na mnie, za bogatą...

{ '■. — Więc nie żenisz się z nią?

— Nigdy mi to w myśli nie powstało.

— Ale ją kochasz? <— zawołała dama namiętnie, przechylając mu się pod same oczy.

— Gdyby nawet tak było... cóż z tego, skoro dziś wyjeżdżam na zawsze.

— Na zawsze? — krzyknęła z prawdziwą boleścią dama.

— A przynajmniej na bardz długo, ji- — Dlaczego? '

Rozśmiał się wesoło Alfred, mówiąc:

— Rzecz bardzo prosta. Nahulałem i na- broiłem się tu więcej, niż należało młodemu adeptowi medycyny. Zamiast poważnie jać się swego zawodu, utonałem w wielbieniu pięknych kobifet i w zachwycaniu się ich przymiotami. Warszawa stała się dla mnie Kapną, a przecież dopiero mam do zdobycia nie już świat, ale jaką taką pozycją. Strwoniłem schedę, trochę się też czuję niezdrów, poznałem dużo świata i jego rozkoszy, ale z tem wszystkim, byłem tylko próżniakiem i gdyby się tak dalej pociągnęło, zostałbym czemś gorszem jeszcze... Chcę teraz pracować.

— Gdzie, na prowincyi? Czyż tu gdybyś chciał, nie możesz?

— Zapewne że mógłbym, i każdy inny na _ mojem miejscu takby uczynił, ale ja boję się was, prześliczne kobiety, waszego... twojego czaru.

—Oszczędź sobie spóźnionego komplementu.

—Wierzaj mi Matyldo, mówię prawdę... nawet to moje ciche i szczere przywiązanie do ciebie, czasami przemieniłoby się w boleść dla nas obojga...

—Albo zastygłoby zupełnie — dodała z goryczą.

—Więc choćby i dla uniknięcia tego... nie, nie droga, pocziwa kobiecino... wyście wszystkie psnęły mnie swoją dobrocią, a ja mięknałem jak wosk, -stając się bez woli i bez ochoty do pracy... Ojciec mój był zacnym człowiekiem, nie chcę, ażeby duch jego złorzeczył mi kiedy... chcę się dosłużyć innego poważania u ludzi i jakiejś takiej zasługi. Na prowincji dalekiej, gdzieś w jakiejś małej mieścinie, zakopię się w książkach, leczyć będę dalekich i blizkich sąsiadów, ubogich i nieubogich, a gdy mi będzie - bardzo samotnie i gorzko — o! bo będzie mi samotnie — odżywiać się będę wspomnieniami o Warszawie, o tobie droga Matyldo i powiem' sobie na pociechę: Byłeś kochany, bądź teraz zadowolony!

Głos jego drżał, gdy to wymówił z szczerem uczuciem, a w oczach błysnęły łzy.

Matylda głośnym wybuchnęła płaczem, chwytając go za obie ręce.

—Drogi mój — szepnęła — pisz przynaj- mniej do mnie i przyrzecz mi, że przyjedziesz mnie odwiedzić choć za rok... za dwa lata...

i— Za dwa lata — rozśmiał się wesoło — zapomnisz już o mnie i dobrze uczynisz!

— Niedobry!—zawołała, nie przestając łkać.

— Ja, niby mniej cię kochający, pamiętać cię będę długo, jestem tego pewny.

Kiedy w pół godziny potem, wyszła popłakując cicho piękna Matylda, Alfred zamiast dokończyć listu, rozdarł go na kawałki i smutniejszy niż był przed godziną, gotował się do drogi.

Wiedział, co porzuca. Zostawiał za sobą młodość, pierwsze jej uniesienia, marzenia i rozkosze — a przeczuwał, że tego już nie znajdzie tam, między zupełnie obcymi ludźmi, w małym- kiem jakimś miasteczku, gdzie nie wie, czy będzie miał z kim pogadać w posępnych godzinach życia żmudnego i trudnego.

n.

Miasteczko S... choć było powiatowem, było tak małe, że gdyś przeszedł daży kwadratowy rynek i mrugnął okiem na dwa gmachy rządowe i stary podupadły kościółek, a potem gdyś kichnął przypadkiem — co się łatwo zdarzyć mogło, z powodu grubej warstwy przedpotopowego błota, sterczącego niby pasma gór — słyhać było to kichnięcie w najdalszych domkach, czterech jeszcze pobocznych uliczek i kilku zaułków. Tu niedosyć, że się wszyscy znali, ale jeden spostrzegł natychmiast u drugiego brakujący guzik przy surducie, albo świeżo odprasowaną wstążkę u kapelusza. Cokolwiekby się stało, cokolwiekby ktobądź powiedział półgłosem, nie już całym głosem, wiedzieli wszyscy i zastanawiali się nad tem. Ztąd ponieważ ludzie lubią mówić — nie brakło nigdy przedmiotu do rozmowy, atoli gdy'kto chciał być tajemniczym, musiał szeptać — bezpieczniej zaś jeszcze uczynił — gdy się tylko spowiadał własnemu duchowi i w cieniach głębokiej nocy.

Zdawałoby się, że tam, gdzie wszystko dzieje się tak otwarcie i jawnie, ludzie chcąc niechcąc, muszą być cnotliwi, bogobojni i prawi... gdyż żaden występki, żaden nałóg nie ukryje się przed okiem czujnego bliźniego, tymczasem tradycja niesie, że i w tem miasteczku zdarzają się grubsze występki, czasami nawet zbrodnie, a co do małych-wad i występków, to jest ich tam więcej niż gdziekolwiek.

Jakim sposobem? tego jeszcze metodycznie nie rozpoznał żaden z nowszych przyrodników.

Otóż w tem miasteczku, pewnego posepnego dnia w Październiku, wielki się zrobił rumor i tak straszliwe zamieszanie, że p. pocztmajster pozwalał wymyślać dwom pasażerom, czekającym niecierpliwie na konie, a pan aptekarz zamiast gorzkich kropli, nalał panu sekretarzowi powiatowemu, gorzkiej Hunyady. I co boleśniejsza, Żę zamyślony p. Sekretarz wypił nie skrzywiwszy się. Tak, już Wszystkich nwaga zajęta była nadzwyczajnym ewenementem.

Młody lekarz bowiem, a nasz znajomy Alfred, przybywszy do miasteczka S. przed trzema miesiącami i zdolawszy zaledwo wyleczyć panią prezydentową i dwóch kupców zbożowych — nie licząc tych, którzy nie płacą, a których było więcej — leży, sam teraz dogorywając w skromnym swem mieszkanku, na tak zwanej ulicy

„pańskiej”, zapewne dla tego „pańskiej”, iż podczas jarmarka, tłumy chłopów dobijają ta targa z opartymi Joškami.

Stara jego i trochę twardo słysząca gospodyni, przypatrzwszy się swemu młodemu pana, do którego się już przyzwyczaiła, zwłaszcza że nigdy nie wglądał w rachunki — dotknąwszy ręką jego serca, oparła się na swein wypróbowanym doświadczenia i czempredzej jako.... nieboszczyka, obstawiła pobożnie dokoła wosko- wemi świecami. Sama zaś dopełniwszy tego chrześcijańskiego obowiązku, pobiegła o ile jej pozwalała dychawica, na miasteczko, zawodząc żałośnie i oplakując swego pana, który po kilku dniach choroby, przymknął oczy na wieki.

Wpadła do burmistrzowej. Ta szczerze zalała się łzami... przez wdzięczność dla lekarza, który ją uratował; i przez pamięć jego niezwy- kłej urody, poczem nie namyślając się długo, pobiegła do pani Wrzanieckiej, e^-obywatelki, 75 letniej staruszki, mieszkającej tu na dewo- cyi z owdowiałą a dietną córką swą, primo voto Boraczewską. Była z temi paniami w za- żytych stosunkach, jako z jedyną arystokracją w mieście, z którą dało się żyć przyzwoicie. Dwie te panie były tóż powierniczkami jej strapień i rozterek z mężem, labiącym grywać po nocach całych w preferansa. One również słyszały nieraz pochwały i uwielbienia z jej ust o doktorze Alfredzie, tak pięknym i miłym

mężczyźnie „który biedaczysko, nie wiedziąc po co, zagrzebał się na tym cmentarzu.”

Teraz niestety zagrzebał się na prawdę. Łzy szczerze lejąc — bo była to istotnie poczciwa i dobra kobiecina — opowiada o obstawieniu Alfreda świecami przez gorliwą gospodynię, i łkając, mówi:

— Chodźmy przypatrzeć mu się po raz ostatni!

Pani Wrzaniecka nie bardzo wiedząc o co chodzi, potakiwała siwą swą głową, ale pani Boraczewska, rzekła z pewnym ogniem:

— Chodźmy i to zaraz!

Ubrała się szybko, pozostawiwszy matkę w domu, i poszła z panią burmistrzową, wyraziwszy się po drodze, że ona istotnie dawno już zauważyła tego doktora, i litowała się nieraz nad samotnością biedaka.

— Ale cóż było robić moja pani!—dodała— sam nie przyszedł pićrwszy zaprezentować się nam, co może i lepiej, bo zaraz powstałyby plotki w mieście i okolicy — dodała, spuszczając wstydliwie oczy czterdziestoletnia pani Boraczewska.

— Trzeba było udać chorą i zaprosić go — wtrąciła sprytnie burmistrzowa.

— Chciałam właśnie — wyrwała się mimo- woli wdowa — ale stało się! co tu teraz mówić o tem. Żal mi tylko, że on tak bez wszelkiej

asystencji duchownej... bo że tu u nas prowadził życie przyzwoite, to wiemy, ale co robił przedtem, ile razy wprzód duszę swoje zmazał grzechem!...

— Nie wyglądał wcale na zatwardziałego grzesznika, a z oczu tak ma patrzyło pocziwie, że go trzeba było mimowoli polubić! — zaprotestowała gorąco p. burmistrzowa.

— Ja się trochę dowiadywałam o niego — wyrwała się znowu czterdziestoletnia pani Boraczewska — tak przypadkiem przez znajomych w Warszawie... jakoś tak coś wypadło — to to powiadam pani, strach co to był za Don- Żuan, toć za nim kobiety przywdziały żalobę! Kazia M. nawet, moja daleka knzynka, chciała iść za niego, a pani Matylda B. kompromitowała się jak... jaka tam... Panie Boże!

Ta przeżegnała się pobożna wdowa, zapewne ze zgrozy, a może dla tego, że stanęły obie na progu zmarłego doktora Alfreda.

Smielszej natury pani Boraczewska, weszła pierwsza.

Uderzył je smutny widok.

Doktor Alfred leżał na wznak na swym łożu, a naokoło niego, sześć świec jarzących rzucało żółtawe światło na twarz jego przymizer- niałą i bladą. Oczy miał przymknięte, ręce na piersiach.

Burmistrzowa płacząc rzewnie, szeptała modlitwę, pani Boraczewska zaś stanęła nierucho-

ma, wpatrując się w leżącego bystro. Nagle, trąciwszy towarzyszkę ramieniem, rzekła:

— Na Boga, toż on patrzy na nas.

— Co? — wrzasnęła burmistrzowa, cofając się ku drzwiom.

— A teraz nawet podniósł rękę.

— Żyje więc, żyje! — wykrzyknęła pocziwa kobieta z radością i teraz już bez strachu zbliżyła się do łóżka natychmiast cucić zaczęła chorego.

Chory roztworzył szeroko duże swe oczy, i po chwili zapytał słabym głosem:

— Kto tu?

— To ja — odezwała się szybko burmistrzowa, gasząc świece jeszcze szybciej jedna po drugiej — to ja i moja przyjaciółka p. Boraczewska, przyszliśmy dowiedzieć się, czy czego panu nie brakuje.

— Nie wiem — odrzekł słabym głosem — gdzieś gospodyni moja poszła, a ja trochę chory jestem od kilku dni...

— I nie było to przysłać do nas, bylibyśmy przecie co poradzili, no, ale od tej chwili zaraz urządzimy dyżur przy panu, dopóki pan nie wstaniesz zdrowiateczki.

Chory usiłował podnieść się na łożku.

— Możeś pan głodny? — kleiku, rosółku, co? Nic nie mówić tylko słuchać.

Chory ani przystawał, ani się opierał, zanadto czuł się jeszcze bez siły, ażeby móż rozporządzać sobą.

Pocziwa p. burmistrzowa tego jeszcze dnia zainstalowała się na noc całą wraz z mężem przy Alfredzie, który czając się lepiej, był jednak ciągle prawie senny, nie wiele wiedząc, co się naokoło niego dzieje.

Jakim sposobem we dwa dni potem, zlużowała burmistrzowstwo p. Boraczewska wraz z matką swą, ciągle drzemiącą, lub potakującą niemo głową, pozostanie na zawsze tajemnicą dyplomatyczną tej wielce sabelnój białogłowy.

Dosyć, że w tydzień potem, gdy Alfred czuł się jnż istotniej zdrowszy, i zdolny do rozejrzenia się w otoczenia, ujrzał z najwyższym zdziwieniem, siedzącą przy łóżku i czytającą książkę p. Boraczewska, a taż obok, w dażym skórzanym fotelu, lekko pochrapującą jój matkę.

Rozpoczęła się rozmowa ze strony chorego, od wyrażenia najgłębszej wdzięczności, ze strony wdowy od sentencyj, że bliźniego i opuszczonego ratować, pierwszym jest obowiązkiem dobrej chrześcijanki.

Dowiedział się z tego młodzieniec, że pani ta jest dobrą chrześcijanką, ale radby był wiedzieć więcej, i dlatego wpatrzył się w nią ciekawie.

Twarz pani Boraczewskiej' ściągną, chudą i kościstą, rozświecało dwoje oczu żarzących się dziwnym blaskiem, ilekroć patrzyły przed siebie, co się im zdarzało rzadko. Włosy ciemne ukryte były we wdowi czepeczek, ułożony nie bez pewnej kokieterji. Wogóle fizjonomia jej l.całe wzięcie, odpychały na pierwszy rzut oka. Czula to wdowa i dlatego miodowem słówkiem, które wyszeptywać się starała melodyjnie, zacierała niekorzystne wrażenie. ^Choremu wydała się ona teraz najzacniejszą kobietą, aniołem pocieszycielem, zwłaszcza gdy się dowiedział z ust jej słodkich o głupocie bru- talnej gospodyni. Mimowoli wzdrygnął się nad Bwojem opuszczeniem i'ucieszył powrotem do życia. Gdyby ta kobieta nie była przyszła go odwiedzić, możeby już nie żył! O burmistrzowej zapomniał zupełnie, tembardziej że jej nie przy pomniała „dobra chrześcijanka”.

Zwolna zawiązał się między rekonwalescentem a troskliwą opiekunką, stosunek serdeoznej zażyłości, który się przeciągnął może i nad potrzebę, gdyż Alfred chciał już kilkakrotnie wstać z łoża boleści. Ale pani Boraczewska nie pozwalała na to.

„Wydobrzej pan — mówiła — ażeby potem módz odpłacać dług cierpiącej ludzkości.”

.— Lecz czemże pani odwdzięczę za tyle truda dla mnie obcego?

— Pielęgnowaniem chorych i nieszczęśliwych, których tyle na świecie!

Zanim wstał z łóżka, dowiedział się jeszcze, że przy pani Boraczewskiej chowa się jej ośmioletnia córeczka, ulubione dziecko zmarłego przed siedmio laty ś. p. pana Boraczewskiego.

III.

Alfred przy pierwszej dziękczynnej wizycie, uczynionej wdowie, zapytał wdowy czy pozwoli mu odwiedzać ją czasami?

Wdowa zgadzając się z wielu zastrzeżeniami, rozwinęła przy tem cały swój system moralny i filozoficzny.

— Wiedz panie doktorze — rzekła pieszczotliwie — żyję z matką i z moją córeczką ta umyślnie na tej paszczy, bo niczego już nie pragnę od świata i niczego się nie spodziewam. Wychować to dziecię moje, pielęgnować moją matkę, oto całe moje zadanie. Świat pełen si-deł, dla mnie ich jaż nic ma — dodała, wstydliwie spuszczać oczy — a jednak wtedy, gdy a boku męża, na stosunkowo szerokiej widowni, miałam sposobność je poznać, nie zasmuciłam nigdy męża, wiedząc zawsze, że zacność kobiety, to najdroższy skarb jej i chwala... Po śmierci męża, mogłam wyjść za mąż świetnie, jeżeli świetnością nazywa się bogactwo — wolałam pozostać w szczuplejszym zakresie, który mi le- piej przypada do usposobienia. Pan tego nawet nie pojmuje, przyzwyczajony do ruchliwego życia w stolicy...

— Zamieszkałem tu umyślnie dla tego, ażeby znaleźć spokój, o który tam trudniej.

— Pan przy swojej młodości, długo tu nie wytrzymasz, dziwię się nawet, żeś pan się tu osiedlił. ... — Szukałem tego samego, co i pani — młody, poznałem jednak świat i na niego się nie skarzę, ale potrzeba mi było pracować i trochę pielęgnować swoje zdrowie. Widzi więc pani, że się w wielu punktach zgadzamy ze sobą.

— Nie znam pana tyle jeszcze, iżbym tego była pewną...

— Pozwól mi pani dać się poznać — zawołał z takim ogniem, jak niegdyś przy pani Matyldzie.

— Niewiem — odrzekła spuszczać oczy, najciszej jak mogła — ludzie w tej małej mieścinie są nielitościwi...

— Mieszkaś pani przecie przy matce, a ja lekarz z powołania...

— Ależ ja nie jestem chorą! — zaśmiała się figlarnie, błysnąwszy żarzącymi swemi oczkami — dobrze więc, zgadzam się, bo wiem, że się to pana prędko sprzykrzy... Odwiedza się kobietę starą — dodała nagle, bystro wlepiając wzrok w niego — z wdzięczności, lecz...

— Starą, starą! — powtórzył z oburzeniem Alfred — pani jesteś młodszą od wielu pań, które znałem, bo w pani dusza młoda — dodał z najgłębszym przekonaniem i pożegnał się, ścisnąwszy mocno jej rękę.

Po jego odejściu, chodziła długo po trzech swoich pokojach pani Boraczewska, zaglądając często do lustra i mrużąc: „dusza młoda, dusza!” zobaczymy czy tylko „dusza!”

IV.

fr Alfred odszedł zamyślony do domu.

Po przebytej chorobie i trziesięcym pobyciu w straszliwej samotności, odleciała go dawna wesołość, a zastąpiły ją poważne dumania. Widząc horyzont, który sobie sam wybrał, zacieśniony, ludzi otaczających niezmiernie prozaicznych, osądził że i życie to nie może mieć już wielu dlań powabów. Przytem istotnie czuł się na zdrowia niedobrze, kaszlał często i zapadał w stan nerwowy, nader podobny do hypo- chondryj.

— Nie wiele mi się już należy—mówił sam do siebie — niemam nawet prawa obejrzeć się za towarzyszką młodą i piękną, którąbym rychło osierocił, potrzeba mi wypoczywać przy umiar- kowanej pracy, pielęgnować nietęgą zdrowie i tak spokojnie dopłynąć do portu. Świat będzie szydził ze mnie, a przecież najlepszą moją ste- rowniczką i opiekunką, byłaby ta kobieta, o tak skromnych wymaganiach, cichych cnotach,

Ł. Powieści ntessoralaa.

i tak potężnym pojmowaniu obowiązków. Wreszcie za opiekę nademną cborym i dla niej obcym, należy się jej z mój strony wdzięczność... i nigdy chyba nie połączę tak trafnie cnoty z dobrym interesem. Będę miał w niej najczulszą opiekunkę i rozsądną towarzyszkę!

Umocowywał się w tem postanowieniu codzień prawie, po każdej wizycie u wdowy.. Zastawał ją zawsze czytającą dzieła pani Hoffmanowej, lub Tomasza & Kempis. Nigdy żadnego roman- BU, żadnej płochości, żadnej zuchwałości w słowie lub najmniejszym życzenia.

Jego, który się napatrzył tylu dziwnym kaprysom kobiet, zachwycała ta powściągliwość, skromność, ta dzikość pra wie względnie do świata... W jej obojętności dla wszystkiego, co się działo na wielkim świecie, widział najlepszą pewnoś swego przyszłego spokoju.

I teraz już, pod wpływem własnych rozpamiętywali, obawy o swe zdrowie, refleksyj co do przeszłości swej i znajomości kobiet, pod wpływem także trochę egoizmu, szukającego zabezpieczenia przyszłego spokoju, bywał coraz częściej, przebąkując nieśmiało jeszcze, ale dość wyraźnie o swych zamiarach.

Wdowa przebąkiwań niby nie rozumiała, allazyj nie domyślała się, patrząc zawsze w ziemię, a zasłaniając się tarczą starej swej matki i młodziutkiej córki. Kiedy jednak raz Alfred—pociągniony tembardziej, a nawet podrażniony

jej powściągliwością — rzekł jej wyraźnie, że pragnie ją poślubić, odezwała się półgłosem, jak Małgosia przy wyjściu z kościoła: | — Nigdy!

ji — Nigdy? dla czego, czyżbym pani był nie godzien?

I — O nie to! pan wie dobrze... ale pan, dwu- dziesięt-kilkoletni młodzieniec, ja wdowa i niemłoda... gdybym nawet odpowiedziała pana wzajemnością...

I Alfred mimowoli się skrzywił, bo oświadczać się, nic a nic nie mówił o miłości, której niegdyś nawet w obec pięknej Matyldy nie czuł...

st. —• Gdybym nawet—mizdrzyła się pani Bora- czewska—uwierzyć mogła w pańskie uczucie...

— Szacunku i tego przywiązania, które czas i wzajemna przyjaźń utrwalały jeszcze — wtracił.

— Jeszcze byłabym narażoną—mówiła, udając że nie słyszy tych słów — na tysiączne gorycze, tak jak zawsze narażane bywają kobiety starsze, poślubiające mężów młodszych...

— Nie znasz mnie jeszcze pani, ale ja kłamać nie umiem, od przyszłości wymagam tylko spokoju i możliwości pracy w moim zawodzie, a z zabawami i rozkoszami pożegnałem się, przyjechawszy tutaj.

— Gdyby i tak! — spojrzała na niego tak namiętnie, że aż mu się przykro zrobiło — czyż

nie mogłabym, odwiedzając się panu, przywiązać się do pana tak gorąco...

Alfred opuścił głowę zniechęcony. Przeląkł się po raz pierwszy i oprzytomniał, a za chwilę pożegnawszy się, wyszedł. Spojrzenie opanowane 40 letniej wdowy, oddziało na niego jak kilka kubłów zimnej wody. Ona też przelęła się srodze swojego zapomnienia. Zaczęła się przekonywać, że on nie jest takim mężczyzną jak inni. Z pewnym szyderskim cynizmem nazwała go dziwakiem, ale gdy go znów njrzała za kilka dni — bo przez 3 dni nie przyszedł wcale — była już całkiem inną, taką jak wprzódy. Zrobiła się nawet — o ile to być mogło — brzydszą.

Trzymając na kolanach swą córeczkę, przywitała go smutna bardzo i z drżeniem w głosie, tłumacząc smutek utratą kapitału, jaki miała ulokowany na dobrach ciotki!

— Nie o mnie tu chodzi, gdyż nie tylko nie cierpię zbytku, ale to życie skromne, które obecnie prowadzę, jeszcze wydaje mi się zbyt wygodne. Matka moja również umie się zastosować do wszystkiego, przyszłość tylko cioci przestrasza mnie trochę... Biedna ciotka pisze mi, że musi zamieszkać na bruku z bardzo szczupłym fundusikiem, poradziłam jej więc, ażeby się przeniosła do mnie.

— Po szlachetnym pani sercu, mogłem się tego spodziewać — odrzekł wzruszony Alfred,

patrzając znów na nią z mimowolnym uwielbieniem.

1 ■ — Tembardziej boli mnie los cioci, że u niej chowała się draga moja córeczka... starsza... — wyrzekła z pewną trudnością, patrząc przenikliwie w oczy doktora, który jednak, zajęty jej ciotką, zawołał żywo:

1 — W takim razie tu państwu będzie za tasezupło... N

— Urządźmy się jakoś, bo czem chata bogata tem rada, jakkolwiek mogłabym drugą córkę oddać mojemu wujowi, który ztąd mieszka o siedem mil. Człowiek to bardzo zamożny, magnat prawie i do tego bezdziejny... Gdyż — dodała z powabnym uśmiechem — doktor nie wie, że posiadam bardzo liczną familję, a co się rzadziej może zdarza, niezmiernie bogatą. Stryj mój Bonifacy jest właścicielem siedmiu wsi... brat mego ś. p. męża jest panem dwóch kamienic w Warszawie, także bezdziejny... Jeżeli tćz czasem lękam się o przyszłość dzieci swych, to miałam tu na myśli opiekę moralną, która nigdy nie może być tak energiczną jak mężka, bo co do przyszłości materyjalnej, mogą one być spokojne, będą aż nadto bogate... Wiem, że stryj i szwagier poczynili już testamenta na ich rzecz...

I ucieła, znów bardzo przenikliwie patrząc * oczy Alfredowi, który jednak z całej tej legendy o przyszłych bogactwach dwóch córek

pani Boraczewskiej, to tylko zrozumiał, że ci bogaci krewni mogliby już teraz ulżyć trochę ciężaru niezbyt zamożnej wdowie. Rzekł więc z pewnym uporem:

— Ciotce pani z córeczką będzie tu może za szczupło, czy by więc nie lepiej było, gdyby teraz zaraz wziął je jeden z krewnych do siebie?

Pani Boraczewska ugryzłszy się lekko w wargę, odrzekła szybko:

— O! niechże też i ja coś uczynię dla mojej drogiej cioci!

— Bardzo pięknie! — zawołał Alfrbd zupełnie przekonany, i pogodniejszy niż przyszedł, pożegnał się z panią Boraczewską, której czoło jednak powlekło się posępną chmurą.

— Nic już nie mówi o ślubie — rzekła do siebie z wielką trwogą— a wie dopiero o dtoóch córkach!

V.

Rozpoczęła się akcja.

Wdowa ustawiła wszystkie baterie, zastawiła wszystkie sidła, które jej dyktowało długoletnie doświadczenie i chęć schwywania młodego, przystojnego i mającego bardzo przyzwoite utrzymanie lekarza. Wpaść w nie musiał bez-

fbronny, nie myślący się opierać, owszem na tem małżeństwie opierający spokój swój młodzienc. Niepotrzebnie wysilała się pani Boraczewska na subtelności, które raczej prawego, i ufającego człowieka zrazić mogły, aniżeli przynęcić, ale ona miała tyle do zyskania!

Wyjść przedewszystkiem z obecnej biedy, z nieustannej troski o los swych dzieci, gdyż bogaci krewni nie chcieli o niej słyszcć, a ubodzy nie mogli jej dopomódz choćby i chcieli, a nareszcie zmienić dotychczasową atmosferę piekielnych nudów i straszliwego opuszczenia. Zakopała się tu na tej ledwo zamieszkałej puszczy z potrzeby, której zlorzeczyła, wstając

i kładąc się do soa, a na samą myśl, że ta długie jeszcze lata, aż do śmierci przemieszkać jej przyjdzie, uczuwała dreszcz zgrozy... Pani Boraczewska nie była bowiem tak bardzo ewangelicznie cierpliwą i słodką, o czym wiedział dokładnie mąż jej pierwszy... Życie nęciło ją stokroć więcej, aniżeli inne kobiety, mające łatwą sposobność zabawy... * Przy męża nieboszczyka, gospodarującym aa jednym folwarku, przepędziła młodość w ciągłej pracy i w nieustannej trosce o tysiączne codzienne potrzeby... Zabaw świata nie zakosztowała, ani nie znalazła z pocziwym ale ciężką pracą zajęтым mężem, urzeczywistnienia tych pragnień, którycb pożądała gorąca jej krew i w ciągiem oczekiwaniu zostająca wyobraźnia... O odwet po śmierci męża było bardzo trudno. Nikt z mężczyzn nie chciał zagłębiać swego wzroku w jej żarzących się jak węgle oczach, a więc i badać jej przymiotów, pomimo że je bardzo zżęcznie wystawiała na pokaz.

Na Alfreda przed jego jeszcze chorobą, zwróciła baczną uwagę. Widząc jego urodę, młodość, ludzić się nie mogła, że go skłoni ku sobie, a przecież jakiś niepokój, połączony z mglistą nadzieją, poradził jój wywiedzić się o jego przeszłości... Pierwsza jego wizyta po wyzdrowieniu, ustaliła jeszcze tę nadzieję, a bliższe poznanie ułatwiwszy zrozumienie jego otwartego charakteru, słodczy i łagodności, pozwalały wi dzieć w nim łup pewny. Właśnie jednak dla tego że była blizką celu, targała nią ta nieopisana trwoga, ażeby sprawa tak misternie i kunsztownie nawiązana, nie zerwała się nagle. Do burmistrzowej chodziła teraz bardzo rzadko, a gdy ta żartowała z częstych wizyt doktora, odpowiadała obojętnie, z wyrazem nieubłaganej surowości:

- Lekki to człowiek, o ile wnosić mogę z przeszłości.
- Az terażniejszości? — pytała przebiegle burmistrzowa.
- Znam go tylko jako lekarza, a jako człowieka poznać, nie mam ani sposobności ani ochoty.

Przerachowała się w zbytnej swój przebiegłości, bo burmistrzowej donosiła własna sługa pani Boraczewskiej o każdej u niej wizycie doktora, ze ścisłem obliczeniem czasu jej trwania, oraz z komentarzem, że przy tych wizytach niema nigdy ani zdrzemniętej matki, ani ośmioletniej córeczki...

Tymczasem Alfred lubo zdecydowany w zasadzie poślubić biedną wdowę, nie spieszył się jednak. Coś go jeszcze instynktem powstrzymywało, może dawne wspomnienia, a może jakaś iskierka niezagasłej zupełnie nadziei... Niedawno odebrawszy z Warszawy list, zamknął się u siebie, przez dwa dni nie wychodząc, ani nie wyjeżdżając z domu, aż trzeciego wysławszy odpowiedź, wygładził poorane smutkiem czoło

i choć głęboko jeszcze zadumany — zabrał się znova rezolutnie do codziennych zajęć.

Ani się domyślał, ile się wymęczyła wdowa przez te dwa dni jego nieobecności, a czego nie zgadłby nigdy, to tego, że p. Boraczewska przez poufnego swego przyjaciela, urzędnika na ^ poczcie, wiedziała adresy wszystkich osób, do których pisywał do Warszawy, i że po tej słabej niteczce jak po nitce Ariadny, trafiła do labiryntu najskrytszych jego tajemnic.

Na tak też zaczerpniętych wiadomościach, osnuła plan na prędcie i pod pierwszym lepszym pozorem, poprosiła do siebie Alfreda, który małomówny i roztargniony jak jeszcze nigdy, słuchał rozgadanej wdowy, nic nie odpowiadając.

Wdowa rozповідаła o drogiej „cioteczce,”
O ukochanej swój „mateczce” i o lubej „córeczce.” Wdowa lubiła pieśczoć przydomków.

— Gdy będziemy już wszyscy z ciotką tu razem, rozweseli się w tych ścianach, a może wtedy i doktor znajdziesz n nas jaką rozrywkę, gdy teraz biedny, musisz się zawsze nudzić ze mną.

— O bynajmniej! /

— Nie wypieraj się doktoruniu, zresztą cóż byłoby w tem dziwnego, zawsze mówiłam że nie wolno się jeszcze panu wyrzekać zabaw

I towarzystwa. Dla czego naprzykład nie bywasz pan w sąsiedztwach?

— Owszem, bywam... — odrzekł ciągle zamyślony.

— Naprzykład u Bebelnickich, trzy ładne panny i bogate...

Doktor skrzywił się niechętnie.

— Albo u WarzyckiCh, także jest panna bardzo rozsądna i miła... proszę się nie gniewać, radzę dobrze... a jeżeli jnż doktor nie chcesz bywać w domach familijnych, to dla czegoż nie bywasz np. u kawalerów, ot kuzynek mój Falecki, słynny z umiejętności bawienia swych gości... albo Kołaczewski...

Doktor się zarumienił, wdowa dostrzegła rumieniec i podchwyciła szybko:

— Ten co prawda, niedługo wytrwa w stanie kawalerskim, dziś właśnie otrzymałam list z Warszawy, donoszący mi, że Kazia M. moja krewniaczka, której on się już dwa razy oświadczył niedawno, przyjęła go nareszcie stanowczo i... cóż ci to doktorze?

— Nic a nic—odrzekł, pobladłszy widocznie.

— Kazia dobry dzieciak — ciągnęła dalej wdowa, nie spuszczać z oka delinkwenta — tylko kaprysiła nie wiedzieć czego,, w główce jej roił się widocznie jakiś ideał, ale jej rodzice wyperswadowali już zupełnie, a ona biedaczka, bojąc się zostać starą panną... zgodziła się wreszcie...

— Żegnam panią—przerwał Alfred wstając.

— Czy doktor nie słaby?

— Bynajmniej ale chorzy czekają.

— Do widzenia więc, tylko czy znowu będę musiała posyłać po doktora? Od jakiegoś czasu zmieniłeś się pan nie do poznania. Jak to dobrze, że mnie już nie tak łatwo uwierzyć w mirodowe słówka! — dodała z wyrzutem.

Ale już doktor był za dzwiami.

Czy się choć kiedy dowie, że pobożna pani Boraczewska zawiadomiła anonimem Kazię M., iż doktor Alfred u[^]ywa zasłużonej sławy Don- Żuana w miasteczku i okolicy, czem wiernie dotąd kochającą Alfreda pannę, zniewoliła do oddania ręki p. Kołaczewskiemu... po prostn par dćplt.

Ludzie wierzą jeszcze anonimom, a biedny Alfred, który wysłał niedawno ultimatum Kazi, że za dwa lata uderzy nareszcie o jej rękę, bo wtedy będzie miał już swój własny kapitał, który zrównoważy trochę sporą cyfrę jej posagu, — niedomyśla się w swój młodzieńczej do- broduszności, iż żyje obok niego ktoś, pragnący go daleko rychlej uszczęśliwić i swoim sercem i swoją ręką i wszelkimi swemi przymiotami tak fizycznymi jako i moralnemu

•i

VI.

Alfred wyjeżdżając z Warszawy, pożegnał się z myślą zaślubienia Kazi M., choć ją kochał prawdziwie i był nawzajem kochany. Posag jej ogromny przerażał go na samą myśl, że mu kiedyś wyrzucić będą iż się sprzedał. Wyperswadowawszy sobie możliwość pewnego szczęścia, uspokoił się i bez żadnych zastrzeżeń i zwrotów w przeszłość, chciał ożenić się z p. Boraczewska. Ale w trakcie postanowienia i na dwa tygodnie przed ostatnimi wypadkami, otrzymał list od Kazi M., która wbrew konwenansom, idąc tylko za niewygasłym swem uczuciem, prosiła go, ażeby przyjechał i oświadczył się rodzicom o jej rękę.

Alfred odżył na nowo, radość i nadzieja szczęścia, o którym już nie marzył, przygłuszyła odrazu wszystkie plany spokojnego zakończenia życia na prowincyi, przy wiekowej wdowie i jej zaletach. Odpisał po długim namyśle, że za lat dwa będzie mógł z godnością stanąć przed

jej rodzicami, bo wtedy uzbierany kapitał zasłoni go od zarzutu chciwości. Niepokojony trwogą i nadzieją, czekał na odpowiedź, której treści wreszcie, wierząc w miłość panny, był pewny. I mógł jej być pewny, lecz nie mógł przewidzieć anonimu, który na młode niedoświadczone serce, oddziałał piorunująco. Kazia za niedoświadczoną była jeszcze, ażeby nie uwierzyć anonimowi, że opór Alfreda i żądanie zwłoki, ztąd tylko pochodzą, iż tymczasem czas rozkosznie mu płynie na bałamucenia innych pań i panien. Oburzona do żywego, połknęła łzy i postanowiła się zemścić... oddaniem ręki człowiekowi, którego dotychczas znosić nie mogła. Tryumfowała jednak, że go upokorzy i do niepowetowanego żala doprowadzi. Jakże prędko sama żałować będzie i cierpieć straszliwie!

Niedługo Alfred przekonał się, że p. Bora- czewska miała dobre informacje. Wyczytał w jednym z dzienników warszawskich o ślubie panny Kazimieiy M. z panem Kołaczewskim, o licznej gromadzie gości weselnych, krewnych i przyjaciół, „błogosławiących młodej parze.”

Ból i gorycz dławiły go za gardło — nie mógł zwłaszcza Kazi przebaczyć, — że go nawet nie zawiadomiła listem o swym postanowieniu. Może byłby termin skrócił... ale żadnej odpowiedzi, żadnej na jego list tak gorący, szczery i uczciwy! Czy jej prośbą o zwłokę, tak wreszcie zaszczytną, ubliżył?

Naiwne chłopczysko — zapomniał na śmierć, że niedawno rzucił niebaczne obietnice przed wdową, która je chciwie pozbierała jak mannę niebieską, i odkarmiać się niemi zechce za długie lata głodu i opuszczenia!.. Nie przebąkuje się ani mruczy pod nosem, takich obietnic przed żadną kobietą bezkarnie, a tem też bardziej przed podżyłą wdową, mieszkającą na głębokiej prowincyi, i obarconą liczną rodziną...

Stało się. Życie domaga się codziennego wysiłku woli, dając różnorakie zatrudnienia, które jeżeli ran nie goją, to przynajmniej przysypują je gruzami powszednich trosk, kłopotów i celów, chociażby nie sięgających dalej nad kilka kroków. Kogo od razu ból nie powala na ziemię, a wiadomo, że on ne meurt pas de ses douleurs, ten zwolna, albo się odradza inną nadzieją, albo zaciera dawne najmilsze wrażenia i uczucia, nowemi, choćby niemilemi i pospolitemi. Sr Zdarzyło mi się już widzieć młodzieńca zakochanego i kochanego wzajemnie przez uroczą dziewczę, ożenionego potem z bardzo stateczną i dobrze wykarmioną matroną. „Wszystkie moje ideały — mawiał mi potem, tłumacząc się, pewien ex Don-Żuan — tyły w sposób nieludzki. A wiesz dlaczego nigdy się nie ożeniłem — powtarzał mi bez żalu — dlatego, że najpiękniejszą pannę widziałem w wyobraźni za lat dwadzieścia potem, stokroć brzydszą jeszcze i prozaiczniejszą od swej mamy, do której już wtedy była podobną.”

Antidotom tak morderczego nie polecamy bynajmniej kandydatom do stanu małżeńskiego. Alfred atoli w trzy miesiące potem, bywał codziennym gościem u pani Boraczewskiej, terroryzowany przez ciocię, huśtający na kolanach ośmioletnią córeczkę wdowy, i przynoszący piękne ^v sztychy starszej dwunastoletniej, rumianej córce.

VII.

Przyjechawszy nieraz zmęczony od chorego, do którego jeździć trzeba było w słońce, lub po wybojach pełnych zdradzieckich zasadzek i podstępnych fortelów, tak zwanych „dróg wiejskich, ^u zastawał dom swój nieogrzany, starą gospodynię wysypiającą się w swych betach, słowem taką pustką niegościnną i smutną, że wtedy ucuwał się nieszczęśliwszym niż kiedykolwiek. Szedł do wdowy, n której czekał go ogień; wesoło trzaskający na kominku, a potem obiad lub wieczerza, złożona z ulubionych jego przysmaków, o których zręcznie wywiedziała się wdowa.

Alfred po wyjściu za mąż Kazi — nie spodziewając się już żadnego szczęścia dla siebie— stał się cokolwiek bipobondrykiem, cóż więc dziwnego, że spokój i życie trochę animalne, wydawały mu się jedyną rzeczą, o którą jeszcze Btarac się warto.

rswieioi niMEoralne.

Słuchał przeto coraz uważniej seuteneyj fillo- zoficzno-moralnych wdowy, okraszanych przymi- ianiem się jej naiwnem, ale to tak naiwnem, że ktoś obcy nie wierzyłby, iż ma przed sobą 40-letnią kobietę.,

Naiwność tę umiała łączyć nadzwyczaj artystycznie z „wstydlivością dziewiczą," ilekroć mówiono o kobietach swobodniejszego życia, o wypadkach smutnego małżeńskiego \$ pożycia,

0 życiu domowem aktorek, lub głośnej sławy kobiet. Wdowa wtedy rumieniła się jak szesnastoletnia panienka, mięszała, krztusiła, oczu w górę nic podnosiła wcale, a gdy się z czem w tej chwili odezwała, to było to tak niewinnie gąskowate, tak nieświadomie-czyste, tak niedo- puszczające myśli nawet, iżby jakabądź na świecie kobieta inaczej żyć mogła, aniżeli żyje pani Boraczewska, że Alfred z początku zdziwiony

1 podejrzewający tę całkiem niezwykłą naiwność, zwolna jej zupełnie uwierzył. Ostatecznie zaś ciesząc się ze skarbu, jaki znalazł w tej kobiecie, byłby się rąbał lub strzelał za to, że wdowa mało co więcej wic od swój ośmioletniej córeczki.

Jestto nieprawdopodobne, a jednak najzupeł- ' niej prawdziwe. Wdowy w rodzaju pani Boraczewskiej, nietylko lubią się popisywać swą wstydlivą naiwnością i niepojmowaniem wszelki ej, po za pozwolone karby, wychodzącej namiętności, ale każdy upadek i pół-upadek, sądzą z nieubłaganą surowością, dla tej prostej wre szcie przyczyny... że same nie miały rfgdy sposobności upaść... choćby na chwileczkę.

Pobłażliwość dla grzechów bliźniego, właściwością t bywa istotnie tylko cnotliwych i dobrych kobiet—o tem zapomniał trochę Alfred, wżywszy się już w tę ciasną atmosferę małego miasteczka, wyrabiającego sobie, z konieczności rzeczy, małostkowe poglądy na wszystko.

Nie widząc żadnej innej kobiety, stracił wszelkie porównanie, dawszy się do reszty uko- łytać obrotnej wdowie, która zapuściła już głęboko szpony w jego przyzwyczajeniach. Choć nie ponawiał prośby o jej rękę, rozumiało się już samo przez się, że inaczej być nie może... Pewne lenistwo tylko wstrzymywało go od wyznaczenia terminu i przeniesienia kominka z mieszkania pani Boraczewskiej do swojego, odległego ztąd o kroków kilkaset. Wdowa jednak miała swoje powody przyspieszać... najprzód miesiąc liczył się w jej wieku jak rok, a potem, nigdy nie mogła być pewną, "czy jaki wypadek, jaka wizyta w sąsiedztwie, nie rozuci kandydata z letargu, wskrzeszając serce ku... cokolwiek młodziej. Pogrzebała wprawdzie Ka- zie, ale mogła się znaleźć inna. Dlatego po kilku jeszcze scenach obawy przed wielojęzycznym światem, który sądząc z częstych wizyt Alfreda, mógłby rzucić płamę na małeletnie jej córeczki, chciał już on sam, zniecierpliwiony trochę, sprawę zakończyć. Rzekł zatem raz stanowczo:

— Wszak już dawno wiesz pani o tem, że gotów jestem zostać twoim opiekunem dozgonnym? Naznacz pani termin sama, im prędzój, tem lepiej—ponieważ jednak nie chcę nic przyrzekać czego bym nie dotrzymał, postawię więc kilka warunków, co do których proszę o odpowiedź. Oto biorąc panią za towarzyszkę, nietylko nie chciałbym, ale nie mógłbym nieofiarować w domu moim wygodnego kąta dla pani matki... a nadto, pieściłem się tą nadzieją, że mi pani pozwolisz przyczynić się do wychowania i zaopatrzenia przyzwoitego, gdy dorośnie, najmłodszej córeczki.

— O zacy doktorze! — zawołała płacząco pani Boraczewska.

— Tak — mówił dalej ucieszony podzięką ' Alfred — będę szczęśliwym, gdy zdołam zapewnić byt temu dziecku, które już pokochałem jak własne i wdzięczny jestem pani, że się na to zgadzasz. Będę jednak szczerym i powiem otwarcie, że jeżeli nie podejmę się tego samego względem starszej córeczki, to nietylko z przyczyn materyalnych, — choć zapewne i te są dziś jeszcze dla mnie ważne — ile dla tego, że nie miałbym wtedy zabezpieczonego takiego spokoju, o jakim głównie marzę, a który dla mnie dzisiaj stał się synonimem szczęścia. Mogę otrzymać równie szczerą odpowiedź?

Wdowa zaczerwieniona mocno, milczała przez chwilę, nareszcie z widocznym wysileniem odezwała się:

— Szczerosc za szczerosc, a zarazem prosba, izbyś pan nie tłumaczył sobie mego wyznania inaczej, tylko według tych pobudek, które zaraz objaśnię. Doktorze — dowiedz się, że ja mam nie dwoje... ale czworo dzieci!

Alfred zerwał się z krzesła w najwyższym zdziwieniu, zarumieniony daleko silniej od wdowy. Wstydział się za nią, że mogła tyle czasu taić się z tem przed nim, a więc i kłamać; kłamstwem zaś brzydził się, jak najwstrętniejszą wadą ludzką. Rzekł nareszcie bardzo * ochłodzony:

— Przyznaję, że ukrywanie przedemną tego tak naturalnego faktu, sprawia mi rzeczywistą przykrość.

' — Nie powinna sprawiać przykrości rzecz tak prosta... gdy byłam dla pana obcą zupełnie, nie widziałam potrzeby zwierzeń, później zaś, to jest teraz... lękałam się — dodała tremolan- do — że pana ta okoliczność zrazi, a niestety— w tem miejscu wstydu jej żadne pióro nie opisze — zanadto uczucie prawdziwe zawładnęło mą duszą...

Na Alfreda jakby dusze zimnej wody były, nie dał jej skończyć, mówiąc:

— Lękam się, czyśmy się kiedykolwiek dobrze zrozumieli. Byłbym kłamcą i śmiesznym, gdybym pani przyrzekał uczucie, które we mnie wypaliło się już na zawsze, mogłem tylko ofiarować pani przyjaźń prawdziwą i opiekę do

zgonną, w zamian za taką przyjaźń... sądziłem, że ja, niemający już złndzeń, i pani, która jak sama mówiłaś, nie miałaś ich nigdy, zawrzemy ze sobą związek, oparty na wzajemnym szacunku i najgłębszej życzliwości... Niczego innego nie przyrzekałem, ani żądać nie mogłem i nie - chciałem...

— Tak — przerwała mn znów nader melo- dramatycznie wdowa — lecz czy temu szacunkowi i przyjaźni, przeszkadza głębsze trochę z mojej strony uczucie?...

I niby nie mogąc już oddychać, a zarazem łzy powstrzymując, zakryła twarz ręką.

Alfred pomyślał chwilę; żal mu się zrobiło tej kobiety, a może i wdzięczność za tę jej miłość — bo ktoś w tych razach nie bywa wdzięczny — złagodziły już pierwsze oburzenie, pomimoto rzekł:

— Przyznaję się, że moja surowość pod względem mówienia prawdy jest może zbyt purytańską, lecz tak się już urodziłem... a potem... muszę powiedzieć otwarcie, że nie jestem o tyle doświadczony i wyrozumiały, ażebym udźwignął ciężar wychowania tylu dzieci...

— O! — zawołała odrywając ręce od suchych, lekko tylko poczerwienionych oczu — o tem nie ma i mowy. Wszak mówiłam, że mam liczną i zamożną rodzinę. Najstarszy syn jest na praktyce gospodarskiej u stryja Michała, a idąca po nim Nastusia, bawi przy babce, tam mając przyszłość zapewnioną... wszystkie dzieci moje zabezpieczone i dla tego chęć^pana wzięcia na wychowanie najmłodszej, cieszy mnie jako matkę, bo przynajmniej jedno będę miała przy sobie, bynajmniej jednak nie ze względów materialnych, które tu wcale nie istnieją.

Była to ostatnia preliminaryjna dyskusya — po niej nastąpiły przygotowania do ślubu tak galopujące, tak nagłące pod różnemi pozorami ze strony wdowy, że biedny Alfred nie zdążył zaprosić na swój ślub stryja, jedynego krewniaka, którego jeszcze posiadał.

— Stryj mój dziś się już trochę zasiedział, trochę i stetryczał — opowiadał wdowie — ale kocha mnie jak syna, a byłto niegdyś człowiek światowy, wytrawny, znający tak ludzi, jak ja swoją gospodynię...

Ani wiedział, że temi słowami pisze wyrok na swego stryja, bo niczego więcej nie bała się pani Boraczewska, jak takiego człowieka wytrawnego, znającego ludzi i światowego. Toż gdyby tylko na, nią spojrział, trochę z nią pogadał, byłby schwytał natychmiast za guzik nieo-ględnego młodzieńca i wstrzymał choćby przed kościołem... Ale ponieważ nie przyjechał, przeto Alfred nie przytrzymany za guzik, połączył się .dozgonnemi węzły z szczęśliwą .panią Boraczewska.

VIII.

Zwyczaj- ustalili nazwą „miodowych miesięcy” pierwsze miesiące po ślubie dwojga małżonków. Zapewne słusznie, bo wówczas zakochani mają dla siebie słodczy tylko i miody, spojrzenia pełne miłości, uściśnienia rąk przeciągłe i gorące, wynurzenia dusz najszczerze, porywy szczęścia najprawdziwsze... I Alfred słyszał i powtarzał nieraz tę nazwę... jakkolwiek żeniąc się z panią Boraczewską, zapomniał o niej na śmierć.

Przenosiny odbywały się dosyć długo, bo pani Boraczewska oprócz matki, ciotki i dwóch córek, przenosiła jeszcze zszarżane graty, swoje i pozostałe po nieboszczyku. Z trudem zdołał ją przekonać małżonek, że nowe meble w które się zaopatrzył, posiadają mniej wspomnień, ale zato więcej wygody. Jakkolwiek ciocia z dragą córką zabawić miały w domu doktora czas niedłgi, potrzeba było jednak dla nich do- nająć dwa pokoiki... Opłaciło mu się to wre

szcie, bo miał teraz mały kongres kobiecy u siebie, radzący gorliwie po całych dniach, czasem i wieczorach, o czym się mógł przekonać, przyjechawszy nieraz z dalekiej wizyty od chorego.

Z powracającego zdejmowano z szybkością telegraficzną, palto lub futro, kalosze i czapkę i sadzano na dużym fotelu, przysuniętym do palącego Bie drzewa na kominku. Poczem karmiono go, pojono, informowano co do wszelkich wydarzeń arcyważnych, zaszłych w miasteczku, [jjt odprowadzono processyą na spoczynek.

Alfred, wyciągając się z rozkoszą w łóżku, zasypiał szybko snem twardym, pozbawionym wszelkich marzeń, ale też i wszelkich mar drę- czących. Postanowił teraz życie regulować jak zegarek, co mu się też udawało niezmiernie łatwym przy łagodnym, posłusznym i ustępującym usposobieniu żony.

Bano spotykali się przy śniadaniu. Mąż całował żonę w czoło i w rękę, potem w rękę matkę i ciotkę, potem gładził włosy dziewczynki. Przyłabiedzie dowiadywał się różnych szczegółów z sąsiedztwa, o których kobiety siedzące w miejscu lepiej wiedziały od niego, pomimo, że on tyle już lat był w tych sąsiedztwach.

Pijąc zrobioną na maszynie wyborną czarną kawę, dumiał trochę, nie nad przyszłością, ale nad przeszłością, dziwiąc się że w niej upodobanie znajdował, gdy przecież ta terazniejszość spokojna i wygodna, była najmędrszą prakty

czną filozofią, Serce nie było ma już teraz nigdy głośniejsze, czytywał dużo dzieł fachowych i książek z ogólnej literatury, wyjeżdżał coraz częściej, bo praktyka rosła z dniem każdym, a wracał zawsze do siebie z tą przyjemnością, którą daje pewność spokojnego i niczym niezamącanego życia.

Czasem, co prawda, nudziły go informacje o różnych wypadkach całkiem mało obojętnych, czasem znów dziwiła go ich wielomówność o niezmiernie drobnych przedmiotach; ale, rozejrzawszy się w schludnie utrzymanych pokojach, pomyślał, że i w małym mieście o czymś mówić trzeba... odchodził obojętny do siebie, zatapiając się w czytaniu.

Chcąc być historycznie wiernym, zaprzeczyć się nie da, że pani Boraczewska mając cokolwiek inne poglądy na „miodowe miesiące”, niezbyt rada była odstępować od tradycji; zrzekała się zawsze jednak swych poglądów, ilekroć spojrzała w oczy, mocno zawsze w takich razach osłupiałemu małżonkowi.

Zdarzyło się raz, że zawiezony do chorego w dalszą okolicę, zabawił tam wbrew swym przewidywaniom dni sześć. Chorą była młoda żona właściciela ziemskiego, a do tego tak niebezpiecznie, że nie mógł się oprzeć błaganiom całej rodziny i pozostał dla czuwania przy niej. Kiedy powrócił, trochę nawet stęskniony do pozostawionej żony, spotkał się po raz pierwszy

z zmarszczką na jej i tak już pomarszczonym czole i z ponurą iskrą w oku, a gdy zasiadłszy do obiadu, zaczął opisywać groźną chorobę swej paoyentki, dojrzał szyderczego uśmiechu na ustach żony, takiegoż na ustach tłustej i wygadanej, tym razem zaś milczącej ciotki, a nawet zdawało mu się, że matka zwykle milcząca, teraz niespokojnie poruszała ustami, i że obie dziewczynki patrzą na niego, jak na takiego, który nieproszony zasiadł do cudzego obiadu.

Zaniepokoił się mimowoli, ale opowiadał dalej z ubolewaniem, że taka młoda i piękna osoba jak jego pacjentka, tyle się nacierpiała.

Tu niemogła się powstrzymać małżonka od słów:

— Domyślałam się, że musi być ładna.

— Z czego? — zapytał naiwny Alfred.

gk — Z tego, żeś tam bawił z taką swobodą przez sześć dni.

— Sześć dni, to prawie tydzień! — wtrąciła ciotka, tonem lodowatym — przez sześć dni Bóg wie, co się zdarzyć może!

Siwa matka potrząsnęła głową, nakładając sobie powtórnie z półmiska, starsza zaś córeczka trącona przez młodszą, krzyknęła z gniewem:

— Nie szczyp mnie!

Dobroduszny Alfred uciął rozmowę i nie przemówił już do końca obiadu ani słowa. Dopiero gdy sięgnął ręką po filiżankę czarnej kawy, żona zatrzymała ją mówiąc:

- Możebyś lepiej nie pił?
 - A to dla czego? — zapytał ogromnie zdziwiony.
 - Bo zmizerniałeś bardzo od niejakiego cza. su, prawda ciociu?
 - Nie chciałam tego mówić — przywtórzyła ciotka — ale mnie zaniepokoiła żółtość na twarzy doktora.
 - Ja żółty? — żartujecie?
 - Ale żółty! zaręczam ci—zawołała żona— prawda, mam, że żółty?
 - Żółty! — odrzekła nalewając sobie kawy lakoniczna matka.
 - Żółty jak kanarek — wrzasnęła mała córeczka.
 - Ojciec musi być chory! — dorzuciła domyślna dwunastoletnia pupilka.
 - A choćbym i był chory, pić będę, a tem- bardziej, gdy się czuję wybornie!— zakonkludował z determinacją pan domu.
 - Mój drogi, powinieneś się jednak szanować — zauważyła surowo małżonka.
 - I może zaprzestać praktyki?
 - Tego nie mówię, ale nie wszędzie jeździć, zwłaszcza po złych drogach i w słońce.
 - Zdrowia nie opłaci się ani setką rubli— dodała sentencyonalnie ciotka.
 - Zkąd setka? — oburknęła się pogardliwie małżonka — dlatego też takie jeżdżenie na zawołanie pierwszego lepszego, uważam prawie za chciwość, która...
 - Przyznam się, że niczem się tak nie brzydzę jak chciwością — zawołała z oburzeniem ciotka.
 - Cóż znowu moje panie, ja chciwy?! —
 - Chciwość i skąpstwo zwykle w parze chodzą — mówiła dalej ciotka — brat mego męża posiadał dwie te piękne cnoty i zamęczył niebogę żonę na śmierć.
- Alfred z rumieńcem gniewu przysunął stół do stołu, popatrzał na uszeregowaną w około stołu płec piękną z takim zdziwieniem, jak gdyby ją po raz pierwszy widział u siebie, lecz pohamowawszy się, odszedł milcząco do swego gabinetu.
- Tam, przeszedłszy się kilka kroków, wysilał dowcip swój nad tem, co się dziś tym kobietom sta- ło, przypomniawszy sobie jednak uwagi tych pań, rozśmiał się serdecznie na cały głos i zasiadł najspokojniej do pracy. Ale kawy nie pił. ■pfjymczasem po jego odejściu, ciotka mrugnęła z uśmiechem na małżonkę Alfreda, ta zaś podniosła rękę do góry, mówiąc półgłosem:
- Zobaczmy!
 - Tylko nie zwalnij i na krok nie ustępuj, bo co dziś zrobisz to będzie zrobione na zawsze.
 - Niech się ciocia nie boi, dam ja sobie radę.
 - A gdybyś nie dała sobie rady, to przecież jestem przy tobie.

- Może ciocia zje konfiturek?
- A dobrze!
- A mama napije się pewnie kawy?
- Napiję!—odrzekła z głębokim przekonaniem matka.
- I my się napijemy — pisnęła najmłodsza córeczka—ale ze śmietanką.
- Iz biszkoptami—uzupełniła starsza.

Kawa w tem cichem rodzinnem gronie trwała bardzo długo, nie tak jednak długo, iżby gdy Alfred powrócił z wizyt u chorych w miasteczku w trzy godziny potem, nie zastał całego szeregu płci pięknej, ugarniowanego znowu około tego samego stołu, tylko tym razem... przy herbacie.

IX.

Zdarzyło się, że w kilka dni potem, znów ' go wezwano do tej samej pacjentki na wsi, przy której przesiedział dni kilka. Wybrawszy się szybko w drogę, wszedł do sali w której wszystkie kobiety według rangi starszeństwa siedziały przy śniadaniu— boć przecie jeść trzeba—i żegnając się, rzekł:

— Zapewne wrócę wieczorem, chyba by zaszło coś nadzwyczajnego.

— Zajdzie zapewne — odrzekła sucho i z pewnym zgrzytem patrząca w szyby małżonka.

— Nie spodziewam się — rzekł zawsze jeszcze dobroduszny Alfred—bo pani W. już jest re- konwalescentką. Zatem do widzenia!

Był już przy drzwiach, gdy małżonka ode- . zwała się nagle:

— Mój mężu! m.; —' Co takiego?

- — Wysłuchałbyś mnie, gdybym cię o co bardzo prosiła?

— Jeżeli to w mojej mocy...

— Jeżeli mi dobrze życzysz... pozostaniesz w domu i nie wyjedziesz do pani W.

— Co takiego? — zapytał najnaiwniej, zdziwiony mąż i pan domu.

— Jeżeli mnie kochasz—dodała z pewną trudnością—zostaniesz w domu.

— Co, co? dalibóg niedobrze chyba rozumiem. Jaki? chora którą leczyłem, wzywa mnie znowu i ja mam nie jechać? ale pytam się dla czego?

— Jeżeli mnie kochasz....

— Zbyt często odwołujesz się do uczucia, o którym tak mało mówiliśmy przed ślubem...

— Wreszcie gdyby to był nawet mój kaprys— zawołała, a oczy jej żarzyły się złowrogim blaskiem.

— Kaprysi ależ darujesz moja droga, że najpierw nie spodziewałem się u ciebie kaprysów jako u osoby rozeądnej i poważnej, a potem, lekarz ma obowiązki, których mu dla żadnych kaprysów zaniedbywać nie wolno.

— Wstydź się wiek mój ciągle mi wymawiać! — wybuchnęła głośnym płaczem. Alfred cofnął się, przelęknięty na prawdę.

— W pierwszych zaraz miesiącach tyranizować mnie i znieważać! Nieboszczyk mąż nigdy- by mi był tego nie powiedział.

— Boś była wtedy młodszą — niemógł powstrzymać uśmiechu.

Coraz głośniejszy płacz, któremu zawtórowały jeszcze głośniejszym jękiem obie dziewczynki; ciocia zaś ocierając chustką oczy, dorzuciła:

— Przecież prosi prawa małżonka, nie jakaś tam...

" — On przyzwyczaił się do takich właśnie— szlochała ex-wdowa—i dlatego jest dziś dla mnie bez litości.

Alfred zaczerwieniony, zmieszany, zgniewany, a szczególnie osłupiały, oprzytomniawszy trochę, krzyknął:

I '— Dzieci do swego pokoju!

Dziewczynki zabrały się do odejścia, ale będąc już przy drzwiach pokazały mu palcami figę, małżonka zaś ciągle płacząc zawodziła:

— Męcz mi dzieci, męcz, tak być musiało, najpierw, a potem te biędne sieroty...

— Nad sierotami pan Bóg czuwa! — k*syknęła żalonym głosem ciotka.

— Moja pani—odezwał się znowu, zbierając całą krew zimną — czy nie raczysz mi powiedzieć powodu, dla którego niemam jechać do chorej pani W.?

— Gdzie ona tam chora! — wtrąciła półgębkiem ciocia.

— Bo ona jest młoda i piękna, bo się w mej kochasz, i dla tego jesteś dla mnie zimny i obojętny....

I — A więc mamy i zazdrość!

• Powitiei nlamoralnc.

— Dlaczegożby nie? czyż mi jako twój żonie nie wolno być zazdrosną, czyż niemam prawa kochać cię i czuwać nad tem żebyś się nie bałamucił!

— Zastanów się żono co mówisz! Ta pani ma męża którego kocha i jest nawzajem kochaną. Obecnie po dłuższej chorobie, wzywa mnie jako lekarza, którego gdyby nie choroba, zapewne nigdyby w życiu swem nie widziała.

— Dla czegoż nie wezwała starego Kości- ckiego, tylko ciebie?

— Przecież stary powinien mieć większe doświadczenie!—wpuściła swój głosik cioeia.

— Po raz ostatni proszę was moje panie, ażeby się takie sceny nie powtarzały u mnie, gdyż byłyby one oburzające, gdyby nie były do najwyższego stopnia śmieszne.

To rzekłszy, wyszedł szybko, wsiadł na czekającą przed domem bryczkę i puścił się w drogę, mając jednak myśleć o czem, chociaż to były cztery tegie mile. Gdy już bryczka znikła z przed domu, ciocia klasnąwszy w ręce, zawołała z tryumfem:

— To nic, dziś pojechał ale drugi raz nio pojedzie.

— A jeżeli pojedzie? — zapytała trochę zadumana ex-wdowa.

— To mu tak uprzyjemnimy życie domowe, że coś ze swych kaprysów poświęci dla miłego spokoju, a w każdym razie ręczę ci, że dziś jeszcze będzie z powrotem w domu.

Siwa matka tymczasem zjadłszy najspokojniej trzy rogaliki z masłem, odezwała się, gdy ob. wilowe nastąpiło milczenie:

— Rogaliki dziś nie bardzo wypieczone!

X.

Alfreda w drodze napadł ogromny smutek. Stało się z nim tak, jak z owym, który sztucznym środkiem ból znieczuliwszy na chwilę, pó- żnij odczuwa go stokroć srożej.

Kochał prawdziwie jedną kobietę w życiu i tę postradał przez swe skrupuły—niebcaąc się poddawać daremnej rozpaczycy postanowił ją u- śpić, postanowił się znieczulić moralnie przez codzienną, ciągłą pracę, przez troskę o byt zwykły i o regularne wegetacyjne życie. Wiedział, że o prawdziwym szczęściu trudno mu już marzyć, ale nie chcąc kończyć jak romantyczny bohater, chciał żyć dopóki przeznaczenie każe, jak człowiek uczciwy i jako tako pożyteczny.

Małżeństwo z tą kobietą wydało ma się środkiem umożliwiającym życie filisterskie mo- że, ale jedyne w położeniu jakie dlań wytworzyły okoliczności.

Nagle całe rusztowanie obmyślane tak „rozsądnie” runęło mu pod nogami, a ten spokój ide- alny, który mu miał powetować tyle zawodów, rozwiął się jak w mgłę, bo nie łudził się, że ta zaimprovizowana scena (wierzył jeszcze w „im- prowizacją”) jest dopiero początkiem dalszych, zapewne wielce urozmaiconych.

Alfred nie miał w sobie nic z bohatera romansowego z wyjątkiem urody, energia jego za- tem była średniej miary. Czuł, że mu walczyć trzeba i postanowił walczyć, ale go już przera- żała sama myśl walki. Przedtem był straszliwie samotnym, ale przynajmniej panem swych myśli i czynów. Czy nim teraz będzie?

Dumającemu gorzko, stanęła przed oczyma twarz małżonki i teraz dopiero wydała mu się brzydką—gdy wprzódy wydawała mu się neutralną— i teraz dopiero zamiast słodczy, odkrył w niej złość i chytrość, a te oczki świecące tajemniczym żarem, przypomniały mu pewne sceny po ślubie, które w tej chwili wstrząsnęły nim wstrętnie...

Mógł od pacjentki wracać tego jeszcze dnia, ale zrozumiał że trzeba zostać naumyślnie, w czym się przerachowała domyślna ciocia, która jednak natychmiast wprowadziła w wykonanie inny plan batalii.

Kiedy nazajutrz o zwykłej godzinie wszedł do sali jadalnej na obiad, zastał stół jeszcze nie- nakryty.... Zdziwiony zapytał się żony o przyczynę spóźnienia, na co otrzymał zwięzłą odpowiedź, że piec się popsuł i obiadu wcale dziś

nie będzie. Poszedł więc do jedynej garku- chni w miasteczka, a powróciwszy poprosił o kawę. Zaczęto ją gotować tak diago, że zrzekł się i tego alabionego przysmaku.

Nazajutrz obiad podano o zwykłej godzinie, ale jedna potrawa była przesolona, druga przypalona, trzecia niedogotowana. Z westchnieniem, lubo niedomyślając się niczego, poszedł do swego pokoju, gdzie zastał łóżko nieposłane a pokój niezamieciony.

Nie aczynił żadnego wyrzutu, nie zasiadł tylko razem z kobietami, które teraz w dalszych pokojach odbywały zwykły swój kongres, półgębkiem wszakże, o ile mógł zaaważyć.

Zona zbywała go monosyllabami, obiady jadł coraz gorsze, a nieporządek we wszystkich pokojach widział coraz większy.

Ze wstydem masiał przyznać sam przed sobą, że się boi dopomnieć praw swych jako pana domu. Zaczynał jednak podejrywać, że mu umyślnie robią na złość, w czym głównie winił ciotkę.

Wyszędłszy na miasto, spotkał się z burmistrzem, u którego dawno już nie był. Ten przywitawszy się z nim poważnie, wziął go pod ramię i rzeki:

— Znam i lubię pana jako zacnego człowieka, boś pan na to zasłużył, żona moja także lubi pana bardzo, otóż chcę pana przestrzedz. I my i rejent i aptekarz,—a podobno i w sąsiedztwach,

otrzymaliśmy o< panu anonimy, przedstawiające pana jako lekarza, którego nie można przyjmować w domu, zamieszkanym przez młode mężatki i panny.

Alfred pobladł jak ściana, burmistrz zobaczywszy to, łagodził:

— Niema sobie znowu co tak wiele robić z tego, oczywiście jakiś kolega z mniejszą praktyką, rad się panu przysłużyć, ale przecież poczciwi ludzie anonimy w piec rzucają. Chciałem tylko dlatego przestrzedz doktora, żebyś tu i ów- dzie ludzi mniej cię znających, uprzedził... No, no doktorze, nie trzeba nigdy tracić fantazyi, plunąć na podłość i złość ludzką i kwita!

Alfred podziękował mu uściśnieniem ręki i chwiejąc się na nogach, zawlókł się do domu. Przeczucie wskazało ma od razu sprawcę we własnej żonie i jej rodzinie, prawość wszakże jego wrodzona odrzucała myśl tę z obrzydzeniem. A wreszcie zdawało mu się, że prosty interes musiałby żonę powstrzymać od takiego postępuku.

Nie pokazał się na oczy żonie tego dnia — nazajutrz zaś z wypogodzonym obliczem, choć znać było ślady cierpienia na twarzy, rozmawiał spokojnie i obojętnie, bacznie tylko obserwując ciotkę, zwłaszcza że na zwiędłych jej wargach, dostrzegł uśmiech tryumfu i szyder. stwa.

Nie miał innego sposobu przekonania się o wpływie anonimów, jak tylko z ciągłości praktyki

lekarskiej. Jeżeli go coraz mniej wzywać będą, znak oczywisty że ludzie wierzą obmierzłej potwarzy. Z trwogą przeto i najcięższym niepokojem, czekał zawezwania chorego. Nie chodzi* ło ma o byt, o godność głównie moralną. Młodość jego i przystojność niezwykła, miały być w tej podziemnej walce, nie sprzymierzeńcem ale wrogiem.

Jakże się ucieszył gdy został wezwany do pana Borzymowskiego, wielce poważanego obywatela w sąsiedztwie i ojca trzech uroczych córek! Zatem żądło anonimowe nie zdołało zatruć mu życia!

Zdziwił się trochę, gdy zastał wszystkich w domu tego obywatela zdrowiuteńkich, panny wesołe jak zawsze, dokuczające mu tylko filuternie, że ożeniwszy się stał się zbyt wielkim domatorem. Po wykwinnym obiedzie, gdy przeszedł z gospodarzem domu do jego gabinetu na cygaro, zapytał:

— A któż tu nareszcie chory?

— Gumienny i żona ekonoma, ale nie bardzo, i dlatego nie trudziłbym cię kochany panie Alfredzie, tylko widzisz, chciałem ci odkryć kabałę osnutą naokoło ciebie.

Alfred znów zbladł jak chusta i szepnął:

— Anonimy!

— Wiesz już'więc o tem, a tak—jakiś nikczemnik chce cię pozbawić praktyki, no i naturalnie któżby miał w tern interes, jeżeli nie kolega. Nigdy mi się nie podobał ten Kościcki, i lubo starzec to już sędziwy...

— Nie, nigdy, zaręczam że onby tego nie uczynił—zawołał Alfred z mocą.

— Tak, ale teraz wzywają go do tych domów, gdzie wprzódy ciebie zawsze wzywali. Naturalnie, nic ci to nie ubliża jako człowiekowi, że jaki taki boi się bałamuta...

— Nie jestem nim panie, wierzaj mi.

— Wiem mój drogi, choć mógłbyś nim być, nie każdy atoli zna cię tak jak ja...

v — Gzy niemógłbyś mi pan pokazać tego pisma?

— Owszem, schowałem go żeby ci pokazać, choć wątpię czy pismo poznasz... ot patrz, albo lewą ręką pisano albo przewrócone bardzo zręcznie.

Alfred przypatrzył się bacznie, lecz zasmucony opuścił rękę i rzekł:

— Niepoznam...

Kiedy późno w nocy powrócił do domu, w głowie huczało mu jak w młynie, w gardle mu zaschło i z gorączką układał się na spoczynek.

Noc przeszła mu bezsennie, nad ranem czuł się znacznie gorzej. Nie wstając z łóżka, ujrzał koło południa zaglądnącą przez drzwi o- strożnie, zaciekawioną twarz żony i tuż za nią pochylonej ciotki. Wstrząsnął się cały.

— Co to, słaby jesteś? — zapytała zbliżając się powoli, a ciotka za nią.

Milczał.

— Widzisz, widzisz, przepowiadałam, że tak się to skończy. Rozjazdy, rozjazdy a zdrowie masz wątle.

— Z takim zdrowiem trzeba się obchodzić jak ze szkłem—dorzuciła ciotka.

— Podać herbaty? —Boże mój, patrzno cio- teczka jaki mizerny!

— Może to tyfus, — dodała ciotka, chcąc go wziąć za puls.

— Być może moja pani że to tyfus — odezwał się szyderczo — będzie wam wtedy wygodniej gdy wam już przeszkadzać nie będę, tylko ozy moja choroba wam wystarczy!

— Wstydz się pan mówić nam takie rzeczy! —zaopinjowała ciotka.

— Mężu, mężu, cóżem ci uczyniła, że nam mówisz takie gorzkie słowa?

Alfred podparł się ręką na łóżku i patrząc bystro w twarz obydwóch kobiet, rzekł powoli:

— Niewiem, czyś to ty uczyniła czy twoja ciotka, ale bądźcobądź lichy miałyście pomysł, na którym najgorzej samo wyjdziecie.

— Jaki pomysł?— krzyknęła nagle zadyszana ciotka—majaczy, jak nieboszczyka kocham.

— Jeszcze nie majaczę moja dobra ciotko— mówił dalej—i zupełnie przy zdrowych zmysłach mogę wam zaręczyć, że wasze anonimy skutkują.

— Anonimy? — zawołała bardzo zmieszana żona.

— Anonimy? my?—powtórzyła bardziej jeszcze zadyszana ciotka —za kogoż to mnie pan bierzesz? Możesz mi pan drzwi pokazać, to panu wolno, ale nie wolno panu znieważać mnie na honorze.

• — Jak się pani podoba!—odezwał się szyderczo Alfred, szczęśliwy że przynajmniej pozbędzie się tej prezesowej kongressu.

— Jutro od rana kufry pakuję, bądź pan spokojny, tegom się tylko mogła spodziewać po człowieku takiej przeszłości! —dodała zasapana.

— Mężu, mężu, wypychasz mi ciotkę!—szlochała ex-wdowa, mając zawsze łzy na zawołanie. - — Nie wstrzymuj mnie— wrzasnęła ciotka— bo za żadne skarby świata, nie zostanę tu jak do jutra!

I wyszła tak gwałtownie, że przewróciła we drzwiach obie nadśłuchujące dziewczynki, które zaczęły nie już płakać, ale ryczeć. Alfred chwycił się za głowę, zdawało mu się że pęknie.

Kiedy się odwrócił, ażeby zażądać jakiego napoju, czulej żony nie było już przy nim. Z tęsknotą pomyślał o swej ex-gospodyni, która ma przynajmniej nie odmawiała zwykłej posługi.

Pokrzepiała go ta jedynie myśl, że nazajutrz nie ujrzy już ciotki.

Powstawszy po czterech dniach lekkiej gorączki, pierwszą twarzą jaką ujrzał siedzącą majestatycznie przy stole i czytającą „Kurjera" przez okulary, była... rodzona ciotka jego małżonki.

XI.

Alfred oblókł się w zimną powagę, odzywając się tyle tylko, ile było potrzeba. Nie okazując gniewu, nie czyniąc wyrzutów, próbował cierpliwością swą przyprowadzić do opamiętania i porządku zbuntowane kobiety. Nie śmiał wreszcie sam przyznać przed sobą, że unikał walki pod wszelaką postacią, chociażby dlatego, iż przewidywał wygraną nie po swojej stronie — a wreszcie walka znaczyła podstępny, ciągle swary i dokuczanie, na samą myśl których, chwytała go rozpacz.

Gdy dawniej najmilej było mu w domu, teraz z prawdziwą radością biegł lub wyjeżdżał do chorego, usiłując w ten sposób zapomnieć, że go w domu czeka małe piekielko, o które się sam tak gorliwie postarał.

A było dopiero początek. Niebawem zaczęły się inne sceny.

Na jego nieszczęście, przybyła truppa aktorów do miasteczka i tam rozłożyła swe penaty. Nie mogła jednak rozpocząć widowiska dla braku lokalu i z powodu choroby pierwszej artystki dramatycznej.

Młoda to była jeszcze kobieta i przystojna, ale zużycana trudami i przykrościami życia. Zapadła w ciężką nerwową chorobę, wymagającą długiego i starannego leczenia.

Alfred uczuł litość dla biędnej opuszczonej kobiety i przynosił jej sam lekarstwa, oraz zapłacił za nią ubożuchną stancyjkę. Chora po tygodniu miała się znacznie lepić, ale gdy pewnego dnia przyszedł jak zwykle do niej, zastał ją w stanie dziwnego rozdrażnienia i przelęknienia. Opowiedziała mu ze łzami, że była u niej jakaś pani, mieniąca się żoną doktora, która jej pogroziła wypędzeniem z miasta, jeżeli nadal wizyty jego przyjmować będzie.

Alfred zacisnął zęby, uspokoił jak mógł chorą, a sam powróciwszy natychmiast do domu, postanowił raz nareszcie rozprawić się ze swą żoną.

Poprosił ją do swego pokoju. Małżonka z twarzą nieporuszoną i obojętną, stanęła przed nim, pytając sucho dla czego ją od zajęć odrywa?

— Odpowiem krótko — rzekł, tłumiąc długo powstrzymywany gniew — jeżeli raz jeszcze poważysz się postąpić w podobny sposób, jak z tą chorą aktorką, jeżeli raz jeszcze popełnisz jaki- bądź nietakt ubliżający mi w podobny sposób,

natenczas wiedz pani—że mnie więcej póki życia nie ujrysz...

— Nie mogę pozwolić, ażeby jakaś awanturnica, aktorka...

— Skończyłem, oszczędźmy sobie dalszych wyjaśnień!

— Przez burmistrza każe ją wypędzić!

Alfred odwrócił się do okna, postanowiwszy

nie odezwać się więcej ani słowa, atoli „prawa” małżonka nie ruszając się z miejsca, mówiła dalej:

— W całym mieście o niczym innym nie mówią, tylko o tym romansie i śmieją się ze mnie, że żona nijaka... wolno ci robić, co ci się podoba tam gdzie wyjeżdżasz, bo tam skontrolować cię nie mogę, ale tu pod moim nosem, nie pozwolę... nie pozwolę... albo jestem twoją żoną, albo nie...

Alfred gryzł wargi, żeby nie wybuchnąć.

— Cóżto? wzięłaś mnie tylko za kucharkę! Kucharką nie byłam nigdy i nie będę... jestem tu żoną i panią domu i wiem co mi się należy. Trzeba się było wprzód namyślić, teraz już zapóźno...

Alfred z cicha westchnął, ale zasiadł do pisania, nie odwracając się wcale.

To właśnie rozjątrzyło małżonkę. Podnosząc głos coraz bardziej, jak gdyby w nadziei sukcesu, mówiła niepowstrzymanym jednym potokiem:

. — Przyzwyczyłaś się do romansów przed ślubem, to ci trudno od nich odwyknąć i teraz, chociaż lepiej byłoby zdrowia pilnować, bo masz bardzo liche i jeszcze dawniej słyszałam, jak doktor Kościcki mówił, że ci grozi kalectwo... ale ty wolisz bawić się i hulać...

Alfred odwrócił się twarzą ku niej i ze zgrozą spojrział na tę kobietę, recytującą mu jednym tchem najprzykrzejsze rzeczy, jakie kiedykolwiek w życiu słyszał.

i W to jej graj — odwrócenie się było dowodem że słucha pomimo milczenia, mówiła więc dalej z prawdziwą rozkoszą:

— Może myślisz, że nie wiem, jak się rozrzuciłaś po Warszawie? naturalnie eżem skorupka za młoda nasiąknęła... i chciałbyś, żebym oczy na wszystko zamknęła, a może jeszcze cieszyła się z tego, że się ty bawisz... O, nic z tego, cała moja rodzina płacze nad moim losem, bo wszy- Bcy wiedzą teraz, że jestem twoją ofiarą... Nie wykrzywiaj się, ja się twojej miny nie zleknię, nie bałam się nieboszczyka, choć był z niego mężczyzna z energią, a miałabym bać się ciebie?... i czego, pytam się państwa, czy nie jestem uczciwą kobietą, wzorową żoną?.. Na mnie z pewnością najmniejsza nie pokaże się plamka, bo życie moje czyste było, jak łąka i moralne...

Na te słowa, skoczył Alfred z krzesła, chwycił za czapkę i wybiegł pędem na ulicę. Bał się, że gdy dłużej posłucha, może na tę kobietę

podnieść rękę... on, który dotąd nie uderzył natrętnego psa.

Teraz dopięro zrozumiał cały ogrom swej niedoli, ocenił jak należy kobietę, z którą go skulał przeznaczenie. Czemżo był dla niej? Narzędziem wytwarzającym dla niej i dla jej licznej rodziny byt dobry; gdyby cbciał być czem innym jeszcze dla niej... zapewne okupiłby sobie spokój. Żadnego w niej z kobiecych uczuć, żadnej delikatności, nawet tej koniecznej czasem hipokryzyi, która choć na chwilę ratuje pozory!

I on ma być razem z tą kobietą do końca życia?.,

Mimowoli jednak ustępował przed zimną groźbą swój żony. Zaopatrzywszy sownie aktorkę, która na szczęście miała się już dobrze, nie zaszedł do niej ani razu więcej.

Praktyka tymczasem istotnie się zmniejszyła, a wydatki rosły zastrasżając. Budżet domowy pożerał daleko więcej, aniżeli obliczał przed ślubem i nic dziwnego, wszystkie te panie i panienki miały wielki apetyt, a żona, która w pierwszych tygodniach wzdragała się przyjmować tyle ile jej dawał, oddając mu jeszcze zawsze ja-, kąż resztę, teraz brała nietylko wszystko co jej dawał, ale domagała się zawsze coraz więcej. Alfred dopóki miał, dawał bez zrobienia naj- niniejszej uwagi, choć wiedział, że nie zdoła teraz oszczędzić ani grosza. W kwestyi pieniężnej gotów był zawsze zostać złupioną ofiarą; ale teraz, gdy mu się nagle dochody zmniejszyły, musiałby chyba naruszyć kapitałik już zaoszczędzony, czyli całą nadzieję przyszłej swój niepodległości.

Zaczął się przeto delikatnie opierać, tłóma- cząc poprostu brakiem pieniędzy, na co małżonka obrzucając go pogardliwym spojrzeniem, rzekła:

— Czy niedługo i jeść mi już nie dasz?

Wśród tak różnorodnych scen, nie dających mu żadnego moralnego wytchnienia, upłynął rok przeszło. Alfred stracił na humorze, pożółkł, wymizerniał i choć miał dopięro lat dwadzieścia csm, siwy włos przezierał już zdradziecko z gęstwiny czarnych.

I Zwolna i nieznacznie, ani wiedział jak i kiedy, uległ nielitościwemu jarzmu i pomimo że się wewnętrznie jątrzył i burzył, że postanowił uciec na kraj świata lub rozwodzić się, zawsze jednak stanowczy krok odkładał. Po ka- żdej scenie czuł się chory i nieszczęśliwy, a jednak bał się, iżby świat nie dowiedział się o tej wojnie domowej. Obawę tę przed gadaniem ludzkim posuwał do tego stopnia, że wobec ludzi udawał męża zadowolonego, a nawet wśród życzliwych przyjaciół, żartujących sobie czasem z jego usatkwowania się przy „poważnej żonie” milczał, nigdy nie wydając się z cichą rozpaczą, która go żarła.

Sceny tóż te, których miewał w domu zawsze kilka na tydzień, były tak umiejętnie pro-

Fowtelcl niemoralne.

wadzone, tak systematycznie wysuwane naprzód, że go zastawały zawsze nieprzygotowanego i bezbronego. Czuł, jak mu obrożę zaciskają na szyi, a nie mógł jej zerwać jednym gwałtownym ruchem. Wreszcie, gdyby miał do czynienia z samą tylko żoną! lecz jej assistowała zawsze groźna i pomimo danego przyrzeczenia, nieruszająca się z miejsca ciotka, oraz dwie coraz bardziej rozwijające się dziewczynki. Siwa zaś matka, niby landsturm, stała w odwodzie na ostateczny wypadek.

Wojna z tyloma kobietami naraz! Nie dałby jej rady energiczniejszy od niego. Uginał więc karku coraz bardziej; wprawdzie w słowach był zawsze dumny i pewny siebie, ale w czynach powolny i ustępujący coraz więcej gruntu z pod swych nóg.

Teraz już nie śmiał wchodzić do sali, ile razy dostrzegł lub domyślił się, że kongres zasiada w pełnym komplecie i po cichu radzi — bo te panie zawsze coś radziły gorąco i namiętnie, a równie skutecznie jak konsulowie rzymscy nad zagładą Kartaginy.

Nagle i najniespodziewaniej dla znekanego - i przybitego Alfonsa, zajaśniała nad nim jutrznia różowa, wschód słońca złocisty, niebo wypogodzone i takie lazurowe, jak gdyby go nie plamiła nigdy żadna chmurka. Horyzont małżeński rozjaśnił się — małżonka dotychczas ponura, małomówna lub zaczepna, stała się nagle słodką, miłą, łagodną, uważającą na każde jego skinienie, uprzedzającą wszystkie jego przyzwyczajenia, zupełnie tak jak w pierwszych dniach po ślubie. Ciocia również uśmiechała się do niego, podając mu własnoręcznie kawę, a dziewczynki przestały mu mówić: „panie,” zacząwszy mówić „ojcze.”

Alfred dobroduszny jak zawsze, pomyślał o lasce opatrności nad sobą i już zapomniawszy o planach emigracji lub rozwodu, sądził, że jakoś łatwiej dobieje do końca tego żywota.

Pokoje teraz lśniły się czystością i porządkiem; obiady zjadał lukullusowe, a cichość gdy szedł czytać do swego gabinetu, panowała taka, iż mógł posłyszeć brzęczenie muchy w najdalszym pokoju.

Tych pamiętnych dni niebiańskiego spokoju, było tak ze sześć tygodni.

Pewnego dnia, gdy właśnie wychodził z domu, zatoczył się przed domek jego powóz mocno sfatygowany i w tejże chwili wyskoczyło z niego dwoje młodych ludzi, panienka 15 letnia i młodzian 18 letni.

Ujrzawszy go, zapytali razem: „Czy tu mieszkanie doktora?”

— Tak jest.

Nie podziękowawszy mu wcale, weszli żywo do domku. Zaciekawiony Alfred w też tropy za nimi.

Nagle radosne okrzyki, całusy i wpadania sobie w ramiona, oświeciły go całkowicie.

— Mameczko, cioteczko, babciuniu!

— Józieńko, Jasięńku! niechże was uściskam!

Alfred teraz już nie w ciemię bity, wyniósł

się cichaczem, spnściwszy głowę bardzo nisko. Rodzinie jego przybywał świeży i zdrowy sukurs a jemu nowy zastęp wrogów. Lecz chyba przyjechali tylko na dni kilka i wyniosą się!

— Tak, nie może być inaczej—dumał pocieszając się, młody mąż starej żony — przyjechali naturalnie odwiedzić matkę i wyjadą. A cóżby tu oni u mnie robili? Przecież żona wie... że ni- gdybym się na to nie zgodził, a to miałbym raj! A wreszcie, cała ta kupa ogłodziłaby mi dom i mnie zjadła z kośćcami!

— Ba! — nagle uderzył się w czoło tak potężnie, że mu aż czapka zleciała — to ztąd płynęła ich dla mnie czułość i umizgi! Oj głupiż ja jeszcze, głupi!

Dalibóg, że tym ostatnim słowem niktby i zaprzeczyć nie śmiał.

XII.

W pierwszych dniach przyjazdu dalszej se- ryi dzieci pani ex-Boraczewskiej, szło wszystko patryarchalnie. Tęgi wyrostek całował swego ojczyma w rękę z wielkim uszanowaniem, a i podłotek 15 letni rwał mu Bię do ramienia, ale ojczym cofał zawsze rękę przestraszony.

Czułość rodziny dla pana domu, zdwoiła się. Do najmniejszej posługi około niego, rwało się naraz Czwooro młodych i dwoje starszych. Cza- Bami czuł się pan domu w najwyższym stopniu skutkiem tego zażenowany. Po dwóch atoli tygodniach, młodzież w uszanowaniu osłabła, a pan domu rósł w swoim niepokoju. Wydatki coraz większe, dochody coraz mniejsze. Zaczął się ograniczać w osobistych wydatkach. Wmówił w siebie, że mu cygara szkodzą i zaprzestał ich palić. Ofiara dla niego wielka, a dla budżetu przyrost nietęgi. Później przekonał sam siebie, że jeden garnitur wystarczy mu na sezon cały, tembardziej, że żonie i matce trzeba było kupić

cieple futerka, a nadto opłacić jakiś diuzek żony z czasów jej wdowieckich. Tak mu przy- najmniej tłumaczyła jego małżonka, odbierając pieniądze.

Zauważył też, że dwie potrawy równie pomagają zdrowiu jak cztery i w tym celu prosił żony o ograniczenie się w tej mierze. Ale tu znalazł nieubłagany opór. Zona odrzekła krótko:

— Alboż ja mam jakie przyjemności, niechże przynajmniej zjem po ludzku, chyba, że mi i tej łyżki stawy żałujesz?

Po dalszych kilku tygodniach, ośmielił się zwrócić uwagę małżonki, że chłopiec dosyć już wypoczął i czas byłby, ażeby do swych zajęć powrócił, a szkoda też że i piętnastoletnia Józia bąki tylko zbija, a co gorzej, romanse czyta po kątach.

Małżonka odrzekła, że chwilowo nie mogą dzieci wracać do swych wujów i stryjów. Dla czego?—nie dowiedział się nigdy.

Po kilku miesiącach widział się w potrzebie naruszenia swego kapitału na wydatki codzienne. Zdobył się jednak tym razem na kategoryczną rozmowę z małżonką.

— Nie żałowałbym nigdy gościnności i nie żałuję — rzekł—wszystkim dzieciom twoim, ale ani ja ich utrzymać nie zdołam, ani one tutaj do niczego nie dojdą, rozpróżniaczą się tylko i niezdatne zrobią do wszelkiego zawodu w przyszłości.

Małżonka zamiast się gniewać, złożyła ręce błagalnie jak do modlitwy, czem ogromnie zdzi

wiła przygotowanego na awanturę męża i zawołała:

— Ty masz serce Bzlachetne i wspaniałomyślne, ratuj te biędne sieroty!

— Jakto? nie rozumiem.

— Nie mają się gdzie podziąć, bo z wujostwem i stryjostwem nie jestem dobrze, gdyż wyobraź sobie, stryj chciał zrobić z Jasia ekonoma, a wuj z Józi szwaczkę... czyż mogłam na to pozwolić, ja, matka ?!

— W każdym razie byliby się tam czegoś nauczyli, gdy tu...

— To też chciałam cię błagać na kolanach, ażebyś odwiózł Jasia do Warszawy do szkół, a Józię na pensję. Te kilka złotych na ich wychowanie, toż cię jeszcze nie zubożęją.

— Ale kobieto zastanów się, zkad wezmę na to? Praktyka mi się zmniejszyła, kapitałik naruszyłem do połowy, a wychowanie i utrzymanie ich dwojga, przenosi moją możność.

— O ja nieszczęśliwa!—zaczęłałać fontannę!

— Ulituj się—zawołał niecierpliwie Alfred— tylko bez szlochów i jęków! Masz przecie bogatą rodzinę, odwież dzieci do niej, nie weźmie jeden, weźmie drugi, ja dalibóg nie mam za co, choćbym chciał.

— A tembardziej, że nie chcesz! — szlochała dalej.

— Proszę cię, bei jęków! Gdybym nawet oddał tych kilka tysięcy, co mi się jeszcze zo

stały, to wystarczy za ledwo na rok lub dwa, a co zrobię wtedy, gdy niedługo na życie nie wystarczy?..

— Bóg cię nie opuści za ten czyn szlachetny, zobaczysz!

— Wierzę i ja w Boga, ale muszę się też rządzić rozumem. Przypomnij sobie, że miało nas być tylko czworo razem, a dziś jest nas ośmioro, jestto ciężar nad moje siły, nad moje zdrowie..! potrzebowałbym wyjechać do wód, poratować się trochę, a nie mogę o tem i marzyć. Miejże i ty trochę litości nademną!

— O ja nieszczęśliwa!—zaczęła zawodzić na nowo.

Skończyło się na tem, że gdy wesoły Jasio zaczął broić po mieście, a Józia stroić się przed lustrem po kilka godzin na dzień, Alfred wybrał z dwojga złego, mniej przykre dla siebie. Odwiózł Jasia i Józję do Warszawy, zapłacił za jednego utrzymanie i wpisy na cały rok, a za Józję tak samo na pensy i.

Zostało mu się kilkaset złotych, z którymi wracał do domu, pocieszając się tem przynajmniej, że żona przez wdzięczność będzie dla niego czwartą częścią anioła, bo na całego anioła nie miała dosyć rozwiniętej organizacji.

Istotnie, za przyjazdem, żona chciała mu się rzucić w objęcia, a ciotka odezwała się senten. cyonalnie:

— Jesteś pan daleko lepszy, aniżeli myślałam.

W kilka tygodni potem, kiedy Alfred siedział u siebie zagłębiony w ponurych myślach, w których życzenie śmierci odgrywało główną rolę, weszła na palcach małżonka i cichutkim głosem zapytała:

— Czy śpisz Alfredzie?

— Nie.

— Bo chciałam... kilka tylko słów... tylko wysłuchaj mnie cierpliwie...

— Słucham, słucham.

— Widzisz, od pp. Kopczyckich odeszła teraz właśnie bona francuzka i nie wiesz co z sobą począć... Biędne to jakieś dziewczynisko... bardzo mało żąda pensji.., Otóż, gdybyś pozwolił wziąć ją do Maniusi, jadłaby z nami, a tych parę złotych...

— Dobrze już dobrze, rób jak chcesz.

— Dziękuję ci Alfredzie.

Nowoprzybyła francuzka, miała lat dwadzieścia. Nie była ani ładną, ani brzydką, ale była chorowitą, znękaną i jakby ciągle przestraszoną. Żaliła się z płaczem na państwa Kopczyckich, że ją głodzili, ziębili w nieopalanym pokoju i używali do wszelakich najpospolitszych posług. UkształceDnia nie miała żadnego, lecz akcent, jako rodowita paryżanka, dobry.

Maninsia dochodziła już lat czternastu, a pomimo że się nie urodziła księżniczką, miała kaprysy księżniczki i rodzinną snac niechęć do jakiejbądź pracy. Na przydaną sobie bonę, pa

trzała odraza jak na pannę służącą, która jój pomagać będzie w obieraniu się, w przepędzaniu czasu na niczem i na plotkach, w których, przy wzorowym przykładzie, znakomite już uczy* niła postępy.

Nie inaczej tóż tylko, jak na służącą, patrzyły i starsze panie, tak, że biędna dziewczyna jeżeli nie wpadła z deszczu pod rynnę, to przy- naj mniej z deszczu nie na suszę. Czasami kazano jej i tu prasować, w kuchni dopilnować, zejść do piwnicy, tyle tylko, że jej było ciepło, bo dzieci pani ex-BOraczewskiej nie znosiły zimna i że przy wspólnym stole, trudno jej było odmówić naleźnej porcyi.

Francuzka cierpliwie i łagodnie spełniała wszystkie rozkazy, gorliwie przytem ucząc po francuzku obie dziewczynki. Niedomagała jednak często, kaszłała i skarżyła się na ból głowy. Alfred starał się jój ulżyć i rzeczywiście po jakimś czasie była znacznie zdrowszą.

Zachowując się zawsze bardzo nieśmiało, milczała podczas obiadu, pomagając tylko, gdy trzeba było, w usłudze. Mimowoli więc zauważyła wybladłą twarz pana domu, jego zawsze smutne wejrzenie, jego małowówność i westchnienia głębokie, które mu się często bezwiednie wyrwały z piersi. Patrząc na jego piękną i szlachetną twarz, powleczoną głęboką melancholią i na twarz zdrową, brzydką i nieprzyjemną obok siedzącej małżonki, czyniła mimo

wolne porównania, a jako sprytna franeuzka wnet odgadła przyczynę tego rażącego kontrastu. Sama obca i opuszczona, mimowoli współ- czała z cierpieniem tego pięknego i zawsze dla niej serdecznie uprzejmego mężczyzny, a to współczucie, ani wiedziała jak i kiedy, wyrażało się długiem wpatrywaniem się w niego i szczęśliwym uśmícchem, ilekroć się przypadkiem odezwał do niej.

i Powtarzamy „przypadkiem,” bo w ogóle bywał prawie zawsze małowówny, odpowiadając tylko na uczynione sobie zapytania.

Być może, że przy tem wpatrywaniu, oczy jej wyraziste, nabićrały szczególnego blasku, dosyć że pewnego razu została najniespodzie- waniej zagabuięta przez panią domu temi słowy:

— O czymże to panna tak myślisz?

— Ja?., bynajmniej...

— Nie myślisz panna wcale?—przerwała szyderczo—takby się zdawało, sądząc z jej mądrości.

Francuzkę oblał rumieniec ognisty. Alfred tknięty niemile szorstką napaścią, rzekł po polsku, chociaż i franeuzka nauczyła się już tego języka:

— Czy jej nie wolno myśleć o ozem się jej podoba?

— Nie wolno się jej gapić, tylko patrzeć skromnie przed siebie.

— W czymże był wzrok jej nieskromny?—• rozśmiał się równie szyderczo.

— To już moja rzecz — odparła małżonka, wstając natychmiast od stoła i kończąc szybciej niż zwykle obiad.

Francuzka odchodząc, rzuciła błyskawicznym spojrzeniem wdzięczności na swego obrońcę.

Odtąd zaczęły się drobne prześladowania biednej cudzoziemki, nieraz już budzące tęsknotę za domem pp, Kopczyckich, w których pokoju nie opalano i jeść nie dawano, ale nie zadawano tortur moralnych.

Cokolwiek teraz zrobiła, było źle zrobione, cokolwiek powiedziała, było „głupie,” a za nie- dozór nad panienkami, była ciągle surowo karconą, jak gdyby wolno jój było dozorować lub upominać infantki, pieśczone przez mamę i ciocię. Francuzka często zalewała się łzami, a w bezsennych nocach marzyła o powrocie do swej ojczyzny, gdzie jej było źle, ale gdzie przynaj- mniej byłaby u swoich. Zacerwienionych jej oczu dostrzegł niebawem Alfred, i z widocznym zajęciem obserwował teraz stosunek żony swej do biednej dziewczyny. Zdawało ma się, że dosyć jaż ofiar w tym domu i że nie można straszliwej pani oddawać wszystkich na pożarcie.

Alfred wychodził zwykle o dziesiątej rano do chorych i nie wracał aż na obiad. Pewnego dnia, bardziej smutny i znękany niż kiedykolwiek, może pod wpływem pochmurnego i słotnego powietrza, opóźnił się z wyjściem. W tem otwarły się szybko drzwi i weszła francuzka. Ujrzawszy go, zarumieniona i zawstydzona, chciała się cofnąć. Alfred spytał jej łagodnie, czego sobie życzy?

Zmieszana rzekła po niejakiem wahaniu:

■— Sądziłam że pan doktor już wyszedł i o- śmieliłam się przyjść tutaj po kolońską wódkę, gdyż teraz znowu doznaję częstych bólów głowy. ' — Nie sypiasz pani?—badał troskliwie.

— Nie dobrze sypiam — ale Boże, tyle lat już jak wyjechałam z rodzinnego domu, cóż więc dziwnego że tęsknię za starą matką i siostrzyczkami—w nocy ciągle myślę o nich i sen mnie odlatuje, a potem naturalnie gdy wstanę, głowa mnie boli.

Alfred wpatrzył się bystro w jej twarz wychudłą i w jej zagasłe oczy, podbite czarną pręgą.

Francuzka coraz bardziej zmieszana i rozczulona zarazem tem spojrzeniem życzliwym, chciała wyjść przeprosiwszy raz jeszcze, lecz Alfred zatrzymał ją, mówiąc:

— Proszę mi powiedzieć szczerze, źle tu pani?

Francuzka milczała.

— Rozumiem panią—rzekł smutny — i przy- najmniej przepraszam za siebie...

— O! pan jesteś dobry! — zawołała z niepo- wstrzymanem uczuciem.

— Postaram się, gdy nie będzie można ina- czej, ażeby paui dopomódz do powrotu.

Francuzka chwyciła go za rękę i zanim się mógł obronić, pocałowała ją, poczem szybko,

rozpromieniona, wybiegła. Lecz niestety o dwa kroki za drzwiami, natknęła się na panią domu, której oczki pałały wściekle. Pociągnawszy ją za Bobą do dalszych pokoi, wbiła palce swe w jój ramię, krzycząc:

— ■ Goś panna tam robiła w pokoju mego męża?

— Myślałam że pana nióma i poszłam po wodę kolońską, bo...

— Kłamiesz panna! To ja pannę na to przyjąłam, żebyś mi w własnym moim domu bawiła się w romanse, skandale, zgorszenia!

— Przysięgam pani!..

— Ty awanturnico jakaś, przywłoko, dam ja ci tu zaraz!...

— Zaklinam panią!..—błagała przerażona do najwyższego stopnia.

Zanim jednak wymówiła te słowa, uczuła na swój twarzy palący policzek... Z głośnym płaczem wyrwała się z kościstej ręki pani domu, ale w tójże chwili ktoś stanął przy niej i zasłaniając ją sobą, rzekł:

— Przebacz pani, że cię to spotkało w moim domu. Dziś jeszcze odwiozę cię do granicy, a ztamtąd zaopatrzona na drogę, będziesz mogła wracać do Francji. Przebacz mi pani, że mnie los obdarzył taką żoną.

Poczem zwracając się do osłupiałej tą niespodzianą interwencją żony, rzekł drżącym od gniewu głosem:

— Przebrała się miarka, moja jójmość—cierpiałem jak potępieniec, dzisiejszy twój postępek wypędza mnie ztąd na zawsze. Zabierz sobie wszystko, meble, srebra, zabierz to jeszcze co posiadam—tu wydobył z pugilaesu pęk papierów i rzucił jej pod nogi— zostawiam tyle tylko, ile potrzeba dla tej pokrzywdzonej. Żyj ze swoją rodziną i bądź szczęśliwą—mnie już nie ujrzysz więcej.

I I nim skamieniała, strętwiała z trwogi przed 'jego mężką grozą, a trochę i z żalu nad następstwami swego uniesienia, opamiętać się mogła i wyadwokatować wytrawnym swym językiem—już go nie było.

Alfred, w maleńki tłumoczek upakowawszy najniezbędniejsze swe rzeczy, resztę, czyli wszystko na co zapracował przez lat tyle, zostawił żonie.

Uboższy niż był wtedy, gdy tu przybył dorabiać się kawałka chleba, puszczał się w świat, niepewny co zrobi ze sobą, a co gorzej, nie chcący już myśleć o swej doli.

Czuł się tak rozbity, złamany, bez wszelkiego celu, że jutro wydawało mu się o tyle po- nętnem, o ile było obietnicą zakończenia tej męki, nazwanej życiem.

Pożegnawszy się z poczciwym burmistrzem i jego żoną, powrócił do domu, ażeby przyspieszyć swój wyjazd. Ponieważ miał odwieźć fran- cuzkę do granicy, szedł więc do jej pokoiku*

nie oglądając się na skonsternowaną ciotkę i nagle uciszone dziewczyny.

Kiedy otworzył pokój, prowadzący do izby francuzki, ujrzał swą żonę klęczącą przed krzyżem Chrystusa i bijącą się w piersi. Nie mógł nie wykrzywić ust pogardą, bo w tej modlitwie widział tylko komedię, obliczoną na jego nerwy—a gdyby nawet modlitwa ta płynęła z duszy, czyż zdolna okupić tyle lat męki, zawód całego życia; rozbity spokój jego i ostatnie złudzenia?

Szedł dalej, ale w tej chwili ona objęła jego nogi, korząc się, całując jego ręce i krzycząc żałośliwie:

— Przebacz, przebacz, inną będę!

— Inną nie będziesz nigdy — a gdybyś nią nawet być mogła, ja już odmiany doświadczać nie chcę.

— Zlituj się, cóż ja pocznę... z dziećmi?... bez majątku?

— Ha! ha!—rozśmiał się gorzko — teraz nareszcie śpiewasz z duszy... Biorąc mnie zamężnia, dbałaś tylko o siebie i o swe dzieci, a ja miałem być twym wołem roboczym!.. Gdybyś przy- najmniej, zaprząwszy w jarzmo moją młodość, zatruwszy mi ją bezpowrotnie, zabiwszy gwoździami przyszłość, odpłacała choć prostą wdzięcznością! Idźże sobie teraz z Bogiem, jeżeli z Bogiem możesz! i żyj bez wyrzutów sumienia, jeżeli tak żyć możesz!

To były ostatnie jego słowa do żony—w godzinę potem wyjeżdżał kurjerką razem z francuzką, która zaledwo radość swą ukryć mogła.

Burmistrz ścisnął ręce jego mocno wzruszony, burmistrzowa łzy ocierała, nie wstydząc się ich wcale—a w opuszczonym domku doktora, krótkotrwale łzy zastąpiła wdowa wybuchami bezsilnej już 'teraz złości. Nieugięta tylko ciocia mówiła dobitnym tonem:

— Powiadam ci, mów co chcesz, ale ja nie wierzę. Musiał on ukryć pieniądze, skoro wyjeżdża razem z francuzką. Nie oprą się, aż w Paryżu, zobaczysz!

Siwa matka zaś ogromnie zdziwiona, że dziś nie nakryto wcale do obiadu, szeptała półgłosem:

— Miała być nadziana kaczka,., czy się przypaliła?

Powitśl niemoralne.

XIII.

Dzień był piękny, wiosenny. Ogród saski, nie będąc jeszcze ochrzczone „salonem letnim,” zgromadzał wszakże w dni pogodne strojne kobiety, chciwą wrażeń młodzież, starych emerytów i niańki z dziećmi. Wszystkie aleje roily się od tak wesoło gwarzącego ludku, jak gdyby pierwsze promienie wschodzącego słońca, spełniły zarazem wszystkie jego marzenia o szczęściu, tu, na ziemi.

Jedną z bocznych i samotniejszych alei, szedł powolnie wysoki mężczyzna z pochyloną głową, z rękoma w tył założonemi. Szedł zwolna, obojętny na cały ten wrzawliwy ruch i na nrodę hożych warszawianek, z których niejedna z zajęciem odwróciła się ku przystojnemu mężczyźnie.

Był bowiem przystojny, pomimo żółtawej cery i białych gdzieniegdzie włosów, odbijających tem jaskrawiej od młodej jeszcze twarzy. Nagle przystanął, popatrzał na zegarek i zawrócił się

ku głównemu wyjściu od Saskiego placu. Wychodząc, w da mej bramie, potracił zlekka o dwie damy, które natychmiast, uchylając grzecznie kapelusza, przeprosiły...

Wykrzyk: „pan Alfred, to pan!” przykuł go zdziwionego na miejsca. | — Pani Matylda! — zawołał z radością, wyciągając obie ręce.

1 — Jakże się pan masz, co pan tu robisz? Zabieram pana z sobą, musisz mi opowiedzieć wszystko i szczerze — dodała z uroczym nsmiechem, który ma przypomniał młodzieńcze lata— ale oto przedstawię pana: moja siostrzenica, a później spodziewam się, że mi wolno będzie przedstawić pana mężowi... . — Mężowi!—zawołał zdziwiony i z pewnem rozczarowaniem.

— A tak panie Alfredzie, miałamże zostać całe życie samą! I pan podobno żonaty?

— Byłem nim...

— Jakto? czyżby żona pańska?..

— Żona moja żyje, tylko nie żyjemy już z sobą.

— Biedny panie Alfredzie! — rzekła z prawdzwym smutkiem—i zmieniłeś się pan trochę...

— Bardzo wierzę!—odrzekł gorzko.

— Nie na dezawantaż, owszem... ale Boże, cóżbyśmy z sobą mieli do pogadania! Chodź pan, osiądź przy mnie na pierwszej ławce, Aniel

ka tymczasem pójdzie do swój przyjaciółki, czekającej na nią w cukierni.

W kilka minut potem, usiadł Alfred przy Matyldzie, wpatrując się ciekawie w twarz jój świeżą jeszcze i rumianą, jaśniejącą zdrowiem i zadowoleniem.

Nie mógł się powstrzymać od uwagi:

— A co pani Matyldo? — nie przepowiedziałem pani, że pierwsza zapomnisz.

— Niedobry! — zawołała na pół seijo, na pół ze śmiecbem — miałamże się zestarzyć sama i opuszczona, tembardziej że pan obiecałeś przyjechać, obiecałeś pisać, a nawet nie dałeś znać o swoim ślubie.

— Musiałem zamknąć rachunki przeszłości, ażeby...

— Ażeby zacząć przyszłość nieszczęśliwą!

— Tego nie mogłem przewidzieć, choć powinienem był, żeniąc się... ze starą...

— Fan, ze starą, pan? Nie, to niepodobna. Cóż za rozpacz!..

— Może i rozpacz, może i jedno z tych ludzkich wyrachowań, które jako ludzkie, najfatalniej zawodzą.

— Nie byłabym nigdy panu pozwoliła na to, nigdy, daję panu słowo... ob! czemuż nic nie wiedziałam!.. A ta pańska Kazia!..

— Moja? — rozśmiał się z ironją.

p^ — Możesz pan jój pożałować, jest najnieszczęśliwszą z tym hreczkosiejem, który nie umie jój nawet odwdziżyć za jej rękę i posag. A przytem jest podobno bardzo chorą... t Alfred zamyślił się ponuro. £ — Lecz po co mówić o tem, co się już stało — rzekła, chcąc go rozweselić pani Matylda — jesteś pan jeszcze młody, przystojny, jak za- Srsze — mnie jako starej przyjaciółce tak mówić ■ panem wolno — możesz pan jeszcze być szczęśliwy i uszczęśliwić inną. t — Nie myślę już powtarzać tego expy- mentu.

— Dlaczego? alboż pan wybrał odpowiednio? Starsza od pana kobiéta — bo zapewne Smacznie starsza? — choćby była aniołem dobroci, nie mogła panu dać szczęścia...

?> — A tembardziej, gdy'aniołem nie była! — wtrącił szyderczo.

Jakto? więc stara, ale jeszcze piękna? I¹; —; Bynajmniej. W' — ■ Bogata?

— Bez szeląga.

| — I niedobra? — a więc zazdrosna, dokuczliwa, szykanująca w drobiazgach?

— Jakbyś ją pani znała od stu lat.

Ł — Od stu? a przepraszam, czy i mnie pan uważasz za starą?

— Panią—proszę mi wierzyć — uważam za najpiękniejszą i najmiłą kobietę, jaką kiedykolwiek znałem w życiu.

— Za późno poznałeś się pan na mnie! — szepnęła z pewną chmurką na czole.

— Powiedz pani Matyldo, a ty trafiłaś dobrze?

— Mąż mój nie bardzo młody—ale to wielka różnica, gdy mąż starszy i dużo starszy od żony, owszem, powiedziałabym że taki jest naj- pocziwszy dla niej—otóż mój, nie bardzo młody, ale miły, zacny, ubóstwia mnie i stara się uprzyjemnić każdą chwilę życia. Musicie być ze sobą w przyjaźni.

— Jakże mnie to cieszy!—rzekł ściskając ją serdecznie za rękę — zasłużyłaś pani na to, za swe złote serce, ale nie będę miał czasu zaprzyjaźnić się z mężem, bo wkrótce wyjeżdżam.

— Gdzie, po co i na co?

— Sam nie wiem i jadę bez celu... może dla rozrywki, może dla otrząśnięcia się ze zbyt przykrych wzruszeń. Nadto żona moja przybyła za mną tutaj, robi mi sceny listowne, bo inaczej nie może, obgaduje mnie i spotwarza...

— Cóżto panu szkodzi?

— Szkodzi i nie szkodzi, ale mnie nudzi i męczy. Miałem dosyć jej osoby przez tyle lat, mamże teraz znosić jej widmo?

— Dla czegoż się nie rozwieść?

— Rozwód nie tak łatwy, a potem po co? Chcę już pozostać sam do śmierci. Powtarzam: boję się eksperymentów, drgną żona możeby mi znów wyrzucała, żem się już raz rozwodził. Nie droga pani, trzeba pokutować za swą winę.

— Winę czy omyłkę?

— Omyłka jest często winą.

— Ale powiedz mi pan, jak to być mogło, więc ona nie kochała pana?

— O miłości nie mówiłem z nią nigdy i nigdy jej nie przyrzekałem. Chciałem tylko dać byt, jej i dzieciom...

r, — Więc są i dzieci?—Pani Matylda załamała rękę.

— Czwororo, a w zamian za to chciałem spokoju i trochę tej kobiecej opieki, która nam, zawsze za czemś tęskniącym mężczyznom, miała zastąpić rodzinę.

. — Więc jeśli pana nie kochała, dlaczegoż poszła za pana?

— Dla bytu i dla... odświeżenia swych wspomnień młodości, na o sobie ja jednak zgodzić nie chciałem.

— Ah!—dobrze wam tak bałamuci! — rzekła p. Matylda, powstając z miejsca i patrząc się czule na swego dawnego wielbiciela—nie chcecie żenić się z młodemi, a bierzecie stare, które wam odpłacają za wszystkie popełnione grzechy...

— Ja ich miałem tak mało!—szepnął z żalem.

- Mało, ale ciężkie!
- I to Bie, wierz mi dobra pani Matyldo.
- Nie wierzę i choć mi pana żal wyjątkowo, powtarzam dobrze wam tak i obyście się wszyscy poženili ze starami wdowami... za karę!
- Tak, za karę — ani słowa przeciw temn.

i

TAKIE WSZYSTKIE.

I.

— Patrzysz pas na mnie ze zdziwieniem i nie wierzysz, że ja oto pocięty, połamany, z wytartą i bezmyślną twarzą, z przygasłymi oczami, że ja, dziś mina i łazarz, szukający gdzie kąta, żeby zarzucić spokojnie, byłem dwadzieścia lat temu pięknym, pełnym ognia chłopcem, kochającym ludzi jak braci, a marzącym z egzaltacją o szn- ee, jako o jedynym moim ideale?... Dziwisz się pan, co się z ludźmi robi, ba, ha, ha! wycierają się jak ścierka, z tą różnicą, że z nich plamy nie schodzą, a ogień zapał, energia, ulatują gdzieś precz bez śladu!... Cóż robić? Kiedy mnie matka pieściła, całując długie, lśniące moje włosy i przepowiadając że będę szczęśliwy, że mnie kobiety kochać będą, nie wiedziała biedna, jakim mnie obarczyła przekleństwem... Tak, panie, kochałem i kobieta mnie zgubiła... aktorka!

— Chcesz pan, to opowiem... Przy opowiadaniu tej mojej młodości, grzeję się jeszcze jak
zmarznięty przy ogniu, cucę na chwilę, ażeby
y

potem marzyje już tylko o spokojnej śmierci. A } o tę jak trudno! Ośm godzin dziennie wysługuję się w drukarni, introligatorni i za ledwie mam za to czóm opłacić izdebkę na poddaszu i łyżkę zupy!...

Miałem lat 18 i byłem na pierwszym roku uniwersytetu, kiedy mnie nagle odumarała matka, moja ubóstwiana matka, której śliczna twarz kiedy mi się zaśni w nocy, wstaję lżejszy i rzeź- wiejszy i zdaje mi się na cbwilę, że żyć warto... Z jej śmiercią poznałem pierwsze nieszczęście, rozpacz, ale krzepiąc się jeszcze nadzieją, że ajrzę kiedyś matkę moję w innym świecie... z jej śmiercią pozostałem sam, bez krewnych, bez poparcia i bez majątku... Lecz miałem dobrych kolegów i przyjaciół, nie znałem pracy, ale się jej nie bałem, nie straszyla mnie więc przyszłość, a przytem ośmnaście lat, drogi paniel... Wtedy inaczej słońce świeci, ptaki śpiewają jak rajska muzyka; wesołość ciśnie się gwałtem, pomimo troski, biedy i bolesnego wspomnienia, a jakaś nadzieja cudownego życia kołysze serce, nadzieja w postaci kochającej kobiety!...

Byłem pewny że taką spotkam, że ją pokocham całą duszą, wszystkimi siłami gorącej mój młodości i że ona otworzy mi nowe światy, zachęci do zdobycia wszystkiego czego zapagnę...

Teatr lubilem namiętnie... Codziennie stałem na parterze z kolegami płacząc wraz z uściśnio- nym bohaterem, tryumfując z cnotliwym... a pod- dawałem się tak silnie wrażeniom, że pamiętam, po ujrzeniu „Oskara, czyli 30 lat z życia szulera”, zrywałem się w nocy, uważając się za mordercę i przysięgłem sobie wtedy, póki życia karty w rękę nie wzięs. Niechże mi tu mówią, że sztuka dramatyczna nie działa na świeże lub prostacze umysły...

Zjawiła się w owym czasie młodziutka aktorka, która miała debiutować w „Mazepie”. Jak zwykle w niewielkiej mieścinie, poprzedzała ją legenda, że jest sierotą z zacnej pochodząca rodziny, że pozostawszy nagle samą, próbuje spożytkować swe niepospolito ukształcenie w teatrze... Dziennik miejscowy zapowiedział nawet, że zaliczyć ją można do „gwiazd samodzielnie świecących”. Z wielkiem oczekiwaniem staliśmy w licznym gronie kolegów, postanowiwszy przyjąć oklaskami biedną sierotę, jakkolwiek nie bardzo wierzyliśmy w zapowiedź jej talentu. Nadspodziewanie jednak Amelia pierwszym już ukazaniem się na scenie, wywarła wrażenie. Szlachetna postawa, dziewiczość i nieśmiałość, bijące z całej postaci, a nadeWszystko blask wielkich, czarnych oczu, przy jasnych, w grube warkocze splecionych włosach, ujęły wszystkich. Głos jej dźwięczny, metaliczny a rzewny, przenikał, zanim jeszcze sędzić przyszło o. umiejętnem jego użyciu. Szmer pochlebny urósł w antraktach do głośnej wrzawy. Młodzież gotową już była do owacy i. W scenie zamurowania, wrażenie

doszło do najwyższej potęgi. Amelia płakała rzeczywiście, serca nas młodych porwijąc za sobą. Do samego już końca patrzano na nią jak na wielką artystkę, która cudem zabłąkała się na małą scenę, ale której miejsce w pierwszo-rzędnej stolicy. Postanowiliśmy czekać jej wyjścia z garderoby i odprowadzić ją tryumfalnie do domu.

Co do mnie, nie wiem, co się zemną działo, ale krzychałem, płakałem, klaskałem, całowałem moich kolegów, a gdym ją ujrzał wychodzącą z teatru, wrzasnąłem z całego gardła, przygłuszywszy wszystkich: Niech żyje Amelia! Spojrzała się na mnie z uśmiechem, skinęła głową i rzekła: dziękuję.

O! ten jej uśmiech zgubił moje!...

Nie poszliśmy spać z kolegami, całą noc przepędziwszy > na recytowaniu z pamięci „Ma-zepy,” na przypominaniu sobie gry młodej de- biutantki i zachwycaniu się jej talentem i urodą. Bo wszystkich oczarowała swą pięknnością. Te wielkie jej, głębokie, a na wskroś przenikające oczy, nie wychodziły nam z pamięci i tak, jak nas było dwunastu, przysięgliśmy, że czuwać będziemy nad tem, iżby jej nikt tutaj krzywdy nie wyrządził. Debatowaliśmy już nad tem; czyby nie udać się w deputacyi do dyrektora Kiefera, wielkiego oryginała i żądać dla niej podwyższenia pensyi, oraz różnych prerogatyw. Nad ranem pożegnaliśmy się, koledzy poszli spać na spoczynek dobrze zasłużony, ja wybrałem się pod jej okna. Zasunięte były firanką. Stałem długo, wlepiwszy w nie oczy, a potem jakby uspokojony, poszedłem na spacer za miasto.

Nie potrzebuję mówić, że ją widywałem co- dzień kilka razy — w teatrze, na ulicy i w ko- ściele — bo i tam chodziła, co dla niej zniewo- ■ liło cały świat arystokratyczny — ale nigdy nie

f^łusiłowałem zbliżyć się do niej i zapoznać. Lę- nM. Jakałem się tego poznania i cieszyłem, że kiedyś to nastąpi. Kiedy?—zostawiałem to natchnieniu. Ona znała mnie już, witała zawsze czarownym uśmiechem i skłonieniem uroczej główki... To mi wystarczyło. Widzieć ją, uwielbiać w teatrze, przypominać sobie każdy jej ruch, brzmienie głosu, uśmiech, stało się koniecznością mego życia, ale żadnych innych planów nie układałem wcale. Wierzyłem w jej zacność, pracę, chęć zdobycia sobie sławy i niezależności, tak, jak i ja pragnąłem zdobyć sobie niezależność i sławę. Bo uczyłem się zawzięcie, teatr i chodzenie za nią zdaleka, były jedyną moją rozrywką. | Trwało to trzy miesiące. Koledzy wiedzieli o moim szale, ale się z niego nie śmieli, owszem każdy, gdy ją spotkał przypadkiem na ulicy, dawał mi o tem znać natychmiast. To także przywilej młodości. Życzliwość bez ironi⁵, pomoc nie wyżebrana, serce współczujące... Wszyscy domyślili się mojej tajemnicy, nikt z niej nie

sztydził, owszem mnie i ją ochraniał, ją tak da- eee, jakgdyby była wspólną naszą wychowanką.

Pewnego dnia, nad samym wieczorem stanąłem na chwilę przed jej oknami. Zbaczalem zawsze tamtędy, mając nadzieję, że ją znów njrzę w oknie lub wychodzącą z domn. Zdawało mi się, że cień jej mignął się za spuszczoną do połowy zasłoną. Jeszcze miał oczy w górę wlepione, gdy nagle posłyszałem głośną rozmowę i śmiech. Wychodziła z sieni z młodym, bardzo eleganckim i przystojnym młodzieńcem, któremu towarzyszył siarszy, poważny mężczyzna. Czołem, że blednę... W tym młodym poznałem księcia C., który uczęszczał na uniwersytet w towarzystwie, a raczej pod dozorem owego poważnego wiocha, pana Cafiori. Śmieliśmy się między sobą z papinkowatości panicza, któremu niedowierzająca rodzina dodała nieodstępного mentora. A teraz ten mentor nim razem wychodzi... od aktorki. Gniew jakiś i żal ścisnął mnie za serce. Pierwszy raz poznałem, co to zazdrość, a miałem być zazdrosny o kogo! Księżę, bardzo przystojny, [elegancki i bogaty! Ona zaś dotąd nie przyjmująca nikogo u siebie — bo o tem wiedziałem — zaczyna przyjmować, a zaczyna od tego wielkiego pana.

Podszedłem jej umyślnie pod same oczy i zdjąłem kapelusz z uśmiechem ironii. Zaramieniała się i na rogu ulicy odprawiła tych panów. Trochę ułagodzony, poszedłem za nią. Jakże dobrze że jej nie znałem osobiście, byłbym wybuchnął temi młodzieńczym oburzeniem, które nie liczy się ani z konwenansem, ani z formami przyjętem w świecie.

W chwili, gdy skrócić miała na drngą stronę ulicy i przejść do teatrn, odwróciła się i skłoniła mi lekko głową, tak jak gdyby mnie przyzywała do siebie. Nie myślę się — znak ten powtarza. A więc mnie kocha i wytłumaczyć się przedemną pragnie! Z bijącym do rozsadzenia piersi sercem, zbliżam się niezgrabny i onieśmielony.

— Czy pani życzyła sobie?...

— Pomówić z panem? tak. Dziwisz się pan zapewne mojej śmiałości, ale nie myślę się chyba, przeczuwając w panu prawdziwego przyjaciela...

— Przysięgam...

— Chodźmy trochę na spacer, do teatru czas jeszcze.

Czerwony jak rak, szedłem obok niej, niemniej ąc jej zajrzeć w oczy.

— Znam pana już kilka miesięcy, widuję codziennie, bo często i z okna... wtedy, gdy się pan tego nawet nie domyśla i pragnęłam daw- no pomówić z panem, jak z przyjacielem, jak... z bratem.

Fowlalei nteoralao

Podala mi rękę, której w gorączce nie zdołałem uchwycić.

— Jestem samą na świecie — brat mój w Ameryce, matka odumarła mnie niedawno, ojciec od lat trzećb. Stryj, który mnie trochę uczyć kazał, sam obarczony rodziną, pomagać mi więcej nie mógł. Cóż miałam czynić—spróbowałam teatru, zachęcona poprzedniemi studia- mi i występami na amatorskich teatrach. Życ trzeba i pracować, prawda?

—Pracować, tobie zwłaszcza, pani, która masz olbrzymi talent!

—Talent, mój Boże! gdybym w to uwierzyć mogła! Ale kto mi tu udzieli rady, kto czego nauczy, kto zachęci? Publiczność na mnie ła- skawa, to prawda, ale koledzy i koleżanki i sam dyrektor, przypisują moje powodzenie klacie młodzieży, tak, że już sama nieufam sobie i nie- wiem, czy talent zdobywa mi te oklaski, czy wasza łaska.

— Pani! ty nas porywasz grą swoją, a my sądzymy szczerze, nie jesteśmy interesowani...

—O! to wiem! — przerwała z uśmiechem — pan zwłaszcza, który dotąd niechciałeś nawet zbliżyć się do mnie...

— Nieśmiałem...

— A teraz ośmieliłeś się pan już? będziesz n mnie?

Po małej pauzie rzekłem z przyciskiem:

— Jeżeli nikomu nie przeszkodzę!

Przeląknęłam się własnych słów.

Spojrzała na mnie bystro.

— Jesteś pan i złośliwy! — wyrokujesz z dzisiejszych odwiedzin księcia C. Prawda, ale czyż mogłam nieprzyjąć wizyty tych panów... ja, aktorka! Przedstawił mi ich dyrektor w loży, oni złożyli wizytę, nie przyjmą ich byłoby nie- grzecznością, zresztą, dlaczego nie miałabym ich przyjąć?

— Dla tego — zawołałem drżącym z wzruszenia głosem — że nikt nie uwierzy w bezinteresowność wizyt księcia u... aktorki. Daruj pani, ale mnie chodzi o twoją dobrą sławę.

— Proszę przyjść do mnie jutro — może mnie pan przekonasz, mole ja pana.

Podala mi swą maleńką rączkę w długiej eleganckiej rękawiczce.

Schyliłem się i tym razem chwyciłem ją tak silnie, że lekko krzyknęła, mówiąc:

— Uścisk szczerzy, wierzę że będzie taką i przyjaźń pańska.

n.

W dwa tygodnie potem bywałem a niej co- dzień .Przysięgliśmy sobie wieczną miłość — ona podniosła nroczyłość tej przysięgi, zaklinając się na grób swych rodziców. Chciałem ją powstrzymać... nie pozwoliła, z większą jeszcze siłą ponowiła przysięgę wierności... Niewiem, czy był wtedy kto na świecie szczęśliwszy odemnie i dumniejszy! Ona z pokorą kochającej kobiety, wyrzekła się znajomości księcia, postanowiwszy zrazić go nmyślnie zimnem obejściem.

Wzięła się do nauki tem sawzięęiej. Chciałem wywalczyć jak najryehlej stanowisko, aże- by poślubić ją i wydobyć z teatru, który wielbiłem jak przybytek sztuki, ale którego instyn- ktownie bałem się dla niej i dla siebie. Zawód jej wydawał mi się według ówczesnych pojęć młodzieńczych „kapłaństwem," ale zazdrość radziła mi wydobyć ją czempredzej z tego miej- sca, w którym co wieczór ogląda ją tysiące oczu z pożądliwością znawcy... Wszak była tak piękna!

Zaczęliśmy żyć tylko dla siebie. Ona codzień po skończonej próbie, wracała z radością do do- ma, wiedząc, że mnie już zastanie liczącego minuty. Upojeni marzeniami przyszłości, terażniejszość uważaliśmy za stan przejściowy i tak krótki, że o niej i mówić nie było warto. Wprawdzie czasami jakieś wydarzenie przypominało nam ją gwałtem i dosyć przykro, ale młode du- " sze nasze otrząsały się z wrażenia, szybując tem jnamiętniej po przestworzach niedalekiego szczęścia. Czytywałem jej na głos Słowackiego i Bajrona, Krasiński nie przypadał nam do serca. Nieraz płacząc, powtarzaliśmy słowa poety, lecz płacz nasz był tylko hołdem etycznym, bo o naszą miłość nie obawialiśmy się bynajmniej. Kiedy ona uczyła się swej roli, ja w drogim pokoju zatapiałem się w księgach mojego zawodu. Wieczorem odprowadzałem ją do teatru i z teatru, po którym skromna kolacja, spożyta wspólnie, ^zastępowała nam uczyty Heliogabala. p Młodość, szczera miłość i pierwsza nadzieja połączenia się na wieki, trzymały nas w zachwycie, w odrębnym jakby świecie, nie mającym nic wspólnego z rzeczywistością.

Raz zastałem ją całą we łzach.

— Co oi jest, najdroższa? — padłem jej do nóg przerażony.

— Nie, nic, wierzaj mi że nie — odrzekła

słabym głosem i nie patrząc mi w oczy—jestem dziś trochę zdenerwowaną... gram pierwszy raz w tym trudnym dramacie...

— Taisz się przedemną? — zawołałem z wyrzutem.

— Nic mi nie jest, a raczej już minęło... wiesz, jak czasem drażni mnie lada słówko... a przytem czy sądzisz, że wszyscy ludzie są tak dobrzy jak ty?

— I jak ty droga Kamillo, ale zaklinam cię, powiedz szczerze... ja przed tobą nic nie taję, chcę więc, ażebyś i ty wypowiedziała się ze wszystkiego.

Wahała się jeszcze chwilę, nareszcie zarumieniona, rzekła urywauemi słowy:

— Ach, ten dyrektor nieznośny!... w dramacie, który mam grać, potrzeba kilka toalet... mówiłam mu o tem, a on odrzekł mi szorstko, że sama powinnam się o nie wystarać. Sama? zkaąd? wszak on wie najlepiej, że z tej pensyi niepodobna!...

Zerwałem się na równe nogi.

— Pójdę do niego i nauczę go....

— Nie, proszę cię, ani słowa! O, bo ty nie wiesz... między innemi, wyrzucał mi że cię kocham, że tą drogą nie znajdę daleko wsceniczej karyerze...

— Podły!

— Pogroziłam mu, że go pożegnam, i widać że mu potrzebna, bo wtedy dopiero przeląkł się i obiecał toaletę, a nawet prosił, ażeby ci nic o tem nie wspominać.

Długiego czasu potrzebowała, ażeby mnie nspokoić, uciszyłem się nareszcie, wymógłszy na niej przyrzeczenie, że za powtórzeniem się czegoś podobnego, porzuci natychmiast teatr. Miałem zamiar zawieść ją do mojej ciotki na wieś, u której mieszkałaby tak długo, dopóki byśmy się nie pobrali.

Przez kilka dni jednak czułem ciężar na piersiach, sny okropne trapiły mnie po nocach. Ten nieludzki dyrektor dręczył mnie jak zmora, zniecierwidziłem go, niemogąc pojąć, w czem mu zawadza nasza miłość.

Raz znowu zastałem u niej starą aktorkę, Pinikowską. Trudno sobie wyobrazić twarz wstrętniejszą. Skóra zwieszała się w ogromnych fałdach, oczy zielone latały niespokojnie, a z bezzębnych ust nie schodził uśmiech sylenowy. Kiedym wszedł nagle, baba ta umilkła zmięsza- na, a na licach Kamilli dostrzegłem dwa wypieczone rumieńce. Nieznałem jeszcze świata ani ludzi, ale instynkt był mi wskazówką. Ze wstrętem spojrziałem na niemilego gościa. Ona też wybąknąwszy kilka słów, pożegnała się i wyszła.

Kamilla odprowadziła ją do drzwi, a wróciwszy, zarzuciła mi ręce na szyję, zawołałszy:

— Chcą mi cię odebrać, lecz im się to nie

oda. Im więcej przeszkód, tym bardziej Kocham cię mój drogi!

— Nie rozumiem cię, najdroższa, jakąż ta stara megiera stanowić ma przeszkodę?

— Ona nie... labo... widzisz mój chłopaka, ty nie znasz naszego teatralnego, cygańskiego życia. Chociaż jestem najosłobniejszą i naj- zyczliwszą dla moich kolegów i Koleżanek, pomimo to zawsze oni umięją mi dokuczyć. Na próbach umyślnie myślę, nawet podczas spektakl a kiedyś nie podali mi potrzebnego lista, a już co do szyderstw, drwinek, tych, choć uszy zatykam, mimowoli nasłuchać się muszę!

— Za co szyderstw? — pytałem osłupiały.

— Za nic i za wszystko. Dowiedzieli się, że się Kochamy i nazywają nas „gołąbkami.” A te starsze lub brzydsze, najgorsze ze wszystkich.

— Ja się z nimi rozmówię, wskaż mi tylko jednego mężczyznę!

— Nicch Bóg broni! pogorszyłyś tylko sprawę. Znużą się w końcu moją cierpliwością i łagodnością... albo... jest jeszcze jeden sposób...

— Jaki, mów droga?

— Tylko niewiem czy ty zechcesz, bo i dla mnie on wstrętny. Musielibyśmy przyjmować n siebie...

— Kogo? tych wszystkich?

— Nie—tylko tę Piaikowską i...

— Nigdy! przeczawam, że ona będzie złym twoim dachem.

Kamilla mocno się zarumieniła.

— To przynajmniej starego Chłopaczka. On ma głos między aktorami, szanują go i boją się. Zaprosimy go raz na obiad, dragi raz na kola- cyę, ja mu co wyhaftuję, ty dasz jaki prezent i on już będzie mnie bronił.

— Ależ to okropne u was obyczaje!

| — Cóż chcesz? jestem młodą i samą. Wiedzą wszyscy, że niemam takiego protektora... : — Jakto, a mnie, którybym za ciebie krew ■wylał?

— Ty nie możesz się kompromitować, zresztą niemówmy już o tem. Przecierpię wszystko, wszak potem, gdy się połączymy...

Westchnąłem ciężko, mimowoli zawstydzony. Zrozumiałem z tego wszystkiego, że jestem za ubogi, że jej potrzeba protektora, któryby rozrzucał pieniądze, sprawiał jej toalety i brylanty!... Zacząłem Cię wstydzić mego ucziwego "ubóstwa. Wnet jednak uległem jej słodkim pieszczotom i przekonywającym słowom... Niechciałem pamiętać i zamknąłem oczy, pewny, że w ten sposób nie dojrzą coraz bardziej gotują- cej się, coraz groźniejszej burzy.

III.

Chłupaczek rozgościł się na dobre u nas. Karmiliśmy go a zwłaszcza poiliśmy, ona wyhaftowała mn pantofle, ja knpiłem fajkę, fant tytonia i spioki do koszuli. Był on za kosztownym gościem na nasze fandsze, ale Kamilla ręczyła mi> że ją ochrania jak parasol od opalenia się i deszczu. Mniejsza jednak byłoby o koszt, gdyby nie jego maniery, do których trudno było mi się przyzwyczaić. Zazwyczaj układał się na kanapie roznegliżowany, kazał siąść przy sobie Kamilli i śpiewać wesołe piosneczki, przyczem towarzyszył jej grubym swoim basem. Znosiłem to zacinając zęby, ale sześćdziesiąt lat Chłopaczka i jego poważna łysina, kazały mi go uważać jak ojca, trochę źle wychowanego, ale koniec końców ojca. Czasami przysuwał ją do siebie i całował wcale nie po ojcowsku... Raz odsunąłem ją zlekka od niego i rzekłem dosyć kwaśno, że jeśli chce całować, to niech całuje Finikowską. Oburzył się srodze i rzekł surowo:

— Jesteś jeszcze za młody, mój panie, żeby rozumieć życie i jeżeli już zagradzasz karyerę Kamilce, to przynajmniej nie zapominaj, że w teatrze są pewne koleżeńskie obyczaje.

— Bardzo dziwne!

— Dziwne czy nie dziwne, ale są, a w Otella się pan nie baw, bo i dziewczynę pan znudzi i narobisz jej pan nieprzyjaciół, a ma ich już dosyć z łaski pańskiej.

J — Tylko bez tych uwag, mój panie Chłupaczek!

— A ktoż wam je zrobi jeśli nie ja? Ja jeden was tylko chronię, bo dyrektor kręci nosem i skarży się, że Kamilka nie gra tak jakby mogła, gdyby miała więcej swobody.

— Pański dyrektor jest starym i niegodnym spekulantem!

— Wszystko jedno, ale jak Kamilce (a ciągle ta „Kamilka!”) da dymisję, to co będzie? Majątku niebożątka niema, a pan jej swoją mądrością nie wyżywi.

Byłbym już wybuchnął, gdyby nie błagalne spojrzenie Kamilli.

Pohamowałem się i znosiłem go dalej, a by- ło to prawdziwą męką. Żaden inkwizytor nie stałby się tak dokuczliwy, jak ten wiecznie głodny, wiecznie ciekawy i wiecznie bawić się po swojemu lubiący opiekun. Ręczyła mi jednak Kamilla, że teraz ma spokój za kulisami, bo powaga Chłupaczka dostatecznie ją ochrania, więc

i mnie zapewnienie to wystarczyło. Kiedy jednak chcieliśmy po dawnemu czytać poetów i zachwycać się nimi, Chłnypaczek (było to jego nom de guerre) przerywał nam bez ceremonii, mówiąc:

— Na dyabła wam ta poezja! Ja nie czytałem jak żyję tych banialuk, a jestem przecie 30 lat już aktorem i niech mi kto lepiej zagra starych, poczciwych ojców. Lepiej zagrajcie ze mną kalabraka.

I wyjmował zatłuszczoną talię kart, którą zawsze nosił przy sobie i zaczął ją rozkładać, zachęcając do gry. Kamilla z uśmiechem zawsze — bo widocznie bała się tego opiekuna — grała z nim tak długo, dopóki się jemu podobało, a ja zgrzytnąwszy zębami wychodziłem na miasto. Rozpacz mnie brała gdym pomyślał, że jeszcze kilka lat pracować muszę, ażeby po-kończyć kursą. Lat kilka, co się przez ten czas stanie z Kamillą?... Ona była dotąd zawsze ko-chającą mnie czule, gotową do wszelakiego poświęcenia, nawet do opuszczenia natychmiast soeny, a przytem spoważniała, nie obznajmiając mnie tak często jak przedtem, z różnemi biedami, które przeobodzić' musiała za kulisami. Dowiedziałem się o nich później dopiero. Dyrektor Kiefer między innemi, nie był gorszy ani lepszy od zwykłych dyrektorów prowincjonal-nych i dla tego rządził się maksymami, które mu się nie wydawały bynajmniej zdrożne. Mo-

ratność — mawiał — moich pań, nie należy do mnie, ale za to „elegancya toalet" na scenie. Ponieważ zaś płacił tak, jak się płaci na pro- wincyi, przeto rad był, gdy jaki „kuzyn" lub „waj" dostarczał bohaterkom kosztownych i świeżych toalet. Kamilla oplakała każdy nowy swój występ, bo tylko z wielkim trudem i przemyślem udawało się jój „złatać" odpowiedni ko- styum, a jeszcze za to napadał ją szorstko dyrektor, mówiąc:

i — Wyglądałaś pani jak żebraczka w pożyczanej sukui!

i- Kamilla zalewała się łzami w obrażonej... miłości własnej; niestety, duch zakulisowy, który ją ogarnął, nie pozwolił jej już rozróżnić jasno, że to „żebractwo" było właśnie zaszczytem. Baz nawet oświadczył jej wręcz obrotny dyrektor, że pomimo rzeczywistego jój talentu, powierzać będzie nadal pierwsze role innej artystce, której „kuzyn" dba o „przyzwoity" wygląd jój na scenie. I gróźbę spełnił. Kamilla zaczęła grywać drugorzędne role, a ja przez długi czas nie -wiedziałem o niczem.

IV.

Z nadejściem letniej pory trupa pana Kiefe- ra puściła się na objazd po prowincji, ja musiałem zostać dla zdawania pierwszych egzaminów. Rozłączenie nasze wycisnęło nam krwawe łzy. Ona zanosila się od płaczu, ja, tając złowieszcze przeczucia, obiecałem odwiedzić ją skoro się tylko załatwię. Po jej odejździe, czułem się opuszczony przez świat cały i nad wyraz nieszczęśliwy. Gdyby nie obowiązek zdania egzaminów, ' byłbym się poddał tej cichej a nurtującej melancholii, na którą nawet młodość nie znajduje lekarstwa. W ciągu sześciu tygodni otrzymywałem od niej listy „częste i tak szczegółowo , opisujące jej życie, żem prawie o każdym kroku jej wiedział. Pisała mi, że w pierwszych dniach tęsknota przyprawiła ją o chorobę, teraz jednak zdrowa już, pociesza się nadzieją zobaczenia mnie jak najrychlej. W dopisku dodała, że Chłupaczek dobrym jest dla niej i serdecznie wypytuje się o mnie. Poczciwy Chłupaczek! Na-

. tychmiast poszedłem kupić mu biały parasol i cygarniczkę bursztynową. Na dziesięć dni przed postanowionym moim wyjazdem, otrzymałem od Kamilli list jakiś mglisty, pełen nieokre- ślonej wyraźnie rozpacz i zwątpienia, a potem już przez dni ośm ani słowa. | — Zachorowała, może umarła!—krzyczałem, załamując ręce i chodząc jak lew zraniony po pswym pokoju.

; Męczyłem się tak jeszcze przez dwa dni, lecz fedym po dwóch dniach nie otrzymał żadnej wianom ości od niej, porzuciłem wszystko, przerwa- I łem egzamina i puściłem się w drogę, w duszy modląc się, ażebym choć trafił jeszcze na jej pogrzeb.

Niemając dosyć pieniędzy na ekstrapocztę, pojechałem tak zwanym Eikoagenem, który od tego nazywał się JEile (pośpiech), że się włókł jak arka Noego na spienionych falach, to jest krok naprzód a dwa w tył. Miasto R., w któ- rem trupa Kiefiera dawała przedstawienia, odległe było tylko o 23 mil, ale jechałem tam dwa dni i jedną noc. Po drodze śledziłem wszystkie twarze badawczo, bojąc się z nich wyczytać wieści o pogrzebie Kamilli. Na staeyach bliższych miasta B., wypytywałem kogo się zdarzyło, co tam słyhać w mieście?—a gdy mi opowiadali obojętne sprawy, zdawało mi się, że przez delikatność tają przedemną prawdziwy stan rzeczy. Każdy młodzik zakochany sądzi, że wszyscy ma

ją na myśli jego ukochaną i jego tęskne lub ezarne projekta. Dojechałem nareszcie. Wy-
siadłszy w oberży tuż przy poczcie, nie przebieram się nawet, ale pytam drżącym głosem
szwajcara, gdzie jest teatr?

"Wskazuje mi dom niezbyt ztamań odległy, dodając:

— I wszyscy kumedyanty mieszkają razem w tyjatrze.

— A... drogi mój przyjacielu — rzekłem bez tchu prawie—czy tu nie zaszło nic u was
złego?

— Ano wyżeł młodego pana zdechł, a kosz- tował 30 ryńskich srybła.

— Lecz czy nikt w mieście nie umarł?

— Tego ja ta niewiem, ale tu u nas rzadko umierają.

Pobiegłem galopem do teatru.

Przed tak zwanym teatrem, stało dwóch młodych ludzi w wyszarzanych tużurkach.
Długie włosy spadały im w nieładzie na potłuszczone kołnierze. Byli to zapewne „statyści”,
których nie znałem tak dobrze, jak resztę członków towarzystwa.

— Prosię panów, czy tu trupa pana Kiefera?

— A tu — i właśnie skończyła się próba z „Dwóch epok Napoleona.”

Była to godzina pierwsza w południe.

— Czy — odezwałem się cicho i nieśmiało z trwogą patrząc im w oczy — czy tu
mieszka panna Kamilla?

— A tu, na drugim piętrze, ale jój już niema.

- — Jakto, wielki Boże! czyżby umarła?

Bożmieli się obydwu w głos, a jeden rzekł:

— Ani się jój śni o tóm.

. — Ale była chorą, bardzo chorą? —pytałem ciągle niespokojny.

Popatrzyli po sobie, aż znowu jeden z nich rzekł, patrząc na mnie i uśmiechając się złośliwie:

: — To dla nas za wielka paui i my z nią nie żyjemy, jeśli jednak chce ją pan widzióc, to ją
pan teraz zastanie w licznym towarzystwie pod Złotym, baranem na śniadaniu.

— Na śniadaniu!?!—ryknąłem z żalem.

— A tak, razem z Chłupaczkiem, Pinikow- ską, Żanetką i panem Biernaglem.

— Biernaglem? co to jest?—Oczy wyszły mi na wierzch.

— Pan Biernagiel, to najbogatszy fabrykant tu w okolicy.

I chichocząc się złośliwie, zostawili mnie ogłupiałego, skamieniałego, przykutego na
miejscu. Po chwili dopiero popędziłem jak strzała, roz- pytawszy się po drodze, gdzie jest
restauracja pod Złotym baranem.

f Jednym susem byłem na pierw szem piętrze. Kipiało we mnie;—wściekły i rozżalony,
zazdrosny do szaleństwa i zgnębiony, gotów byłem do popełnienia czynu

najgwałtowniejszego. Boz- twarłem drzwi z trzaskiem, przebiegłem pierwszą salę, wpadłem
do jakiegoś gabinetu, był pu-

Powleśei niemoralne

sty, a uszu moich doszła głośna wrzawa, szarpnąłem klamkę przy drogim i oczy moje uderzył następny widok: Przy dożym, suto zastawionym stole siedziało kilka osób, na samym środku na kanapie, ona... trzymając właśnie kieliszek wina przy ostach. Zjawiłem się jak cień Banka, wszyscy zamilkli, nareszcie Chłopaczek pierwszy, ściskając mnie za szyję, rzekł:

— Panie Biernagiel, narzeczony naszój panny Kamilli.

Kamilla wyciągnęła do mnie rękę, twarz jej pałała. Odepchnąłem jój rękę i nie patrząc na pana Biernagla, który zaraz wstawił mi w rękę kieliszek, rzekłem półgłosem do Kamilli:

— Proszę cię, chodź natychmiast ze mną!

— Ależ mój drogi...— bąknęła zawstydzona.

— Natychmiast!—zawołałem rozkazująco.

Chłopaczek zaoponował, przełęknioma Kamilla, skłoniwszy się lekko biesiadnikom, posunęła się ko drzwiom, ja za nią, a kiedym drzwi zamykał, dosłyszałem głosem Chłopaczka wymówiony dobitnie wyraz: smarkacz!

V.

Zamknąłem pokój jój na klacz. Usiadła milcząca i zadasana. Ja także milczałem zaciśnięwszy zęby, bo czołem, że pierwsza kłótnia oddali serca nasze, zerwie to najświętsze zaufanie, bez którego niema miłości. Chodząc po pokoju, patrzyłem na nią z Loka, czekałem wyjaśnienia, próśby, przeproszenia. Odezwała się nareszcie:

— Czy dla tego, ażeby nic do mnie nie mówić, zrobiłeś tam taką śmieszna scenę?

— Śmieszna?

— Co sobie ci ladzie pomyśla?

— Pan Biernagiel, bogaty fabrykant i twój protektor?

—:A gdyby i tak — zawołała z gniewem, którego dotąd w niej- nie znałem —czy sądzisz, że życie moje jest możliwe wśród tyła nieprzyjaciół, samej, bez opieki! Bierzmy świat i życie takimi jakie są.

— Inaczej mówiłaś przed wyjazdem, inaczej przysięgałaś!

— I nie kłamałam, ale ty nie wiesz co ta wycierpić maszę. Zepchnęli mnie na drugorzędne stanowisko, na każdym kroku szykany! — o! — przycisnęła chustkę do oczu — to nie do wytrzymania!

— Dobrze więc — rzekłem po chwili — stoję ci na drodze do zrobienia kariery, rozłączmy się. Bóg widzi — mówiłem hamując łzy — że gdyby trzeba życia mojego dla twego szczęścia, oddałbym, lecz poniżać się nie mogę. Rozłączmy się, bądź szczęśliwą... bezemnie!

Wyciągnąłem do niej rękę na pożegnanie. Ona milczała, nie patrząc na mnie, nagle rzuciła mi się na szyję, łkając.

— Nie opuszczaj mnie! ja ciebie tylko kocham!

Głęboko wzruszony, zebrałem się jednak na energię i rzekłem:

— Nie, moja droga — myśmy nie dla siebie. Bez majątku, bez stosunków, muszę ci tylko być przeszkodą, a wyrwać cię z teatru niemożę, dopóki sam stanowiska nie zdobędę. Będziemy się męczyć oboje, a w końcu... ty może ulegniesz i tem mnie zabijesz! Dziś jeszcze, Kamillo, mogę odejść z błogiem wspomnieniem o tobie, za miesiąc przeklinałbym cię!

— Jesteśmy tak młodzi, świat przed nami otworem, wytrwajmy!

— Ty nie wytrwasz, moja droga!

— Przebacz mi chwilę zniechęcenia, wpływ złego otoczenia, ale nie pokusy, przysięgam ci. Miłość własna artystki poradziła mi nieodrzucać | stosunków tego bogacza, lecz serce moje było tylko dla ciebie.

— A dlaczegożesz zaprzestała pisać do mnie? H— Przeczuwałam, że nieodebrałszy listu,

. przyjedziesz, i tak się stało! — dodała, klaszcząc | rączkami jak swywolne dziecię i śmiejąc się melodyjnym swym głosikiem. { W godzinę potem niebo rozpogodzone świeciło nad nami, jak w pierwszych dniach poznania. pWierzyłem jój, ona przysięgła na nowo, a tyle było szczerości w jój słowach, tyle prawdy w łzach i zaklęciach, że nie miałbym chyba dwudziestu lat, ażeby wątpić. l Wieczorem byliśmy razem w teatrze. Postanowiliśmy otwarcie zaprezentować się jako para narzeczonych panu Kieferowi, zwłaszcza chciałem raz na zawsze wyjaśnić mój stosunek. Chłnpaczek ujrzawszy mnie, przybiegł z otwartymi rękami.

Odwróciłem się ze wstrętem. h — Gniewasz się — wołał mi nad uszami — '.« niemasz za co, Bo powiedziałem Biernagłowi, że ś ciebie zuch...

— Żem smarkacz! — wtrąciłem, powtarzając jego słowa.

— Żeś smarkacz dzielny. Smarkacz ci nie

ubliza, eózbym dał za to, żeby mnie kto powiedział że smarkacz. A pan Biernagiel jak cię chwalili

— Idź pan do licha ze swoim Biernaglem i z całą tą waszą kliką!

— Patrzaj Kamilciu jaki on pasjonat! Ale taką krew ja właśnie Inbie, wrzący i gorący, bo kocha ogniście. Niech wam Pan Bóg błogosławi!

Przysiadł się i zaczął przylizy waó tak zręcznie, tak potulnie, tem za powrotem dał mu ów biały parasol i cygarniozkę.

Omało mnie nie zadusił w uściskach, zaklinając się, że dla mnie gotów do każdego poświęcenia, nawet do zerwania stosunków z panem Biernaglem, co znaczyło: do niezjadania jego śniadania.

Nazajutrz o 10 rano poszedłem do kancelaryi pana Kiefera.

Pan Kiefer otworzył także szeroko ramiona.

Cofnąłem się, mówiąc chłodno:

— Pana dyrektora razi to, że jestem narzeczonym panny Kamilli...

— Mnie, mnie, kochany- panie? ja szanuję te święte węzły, wszak ja sam mam żonę (z żoną nie żył od lat 20) i dwoje dzieci. A któżby śmiał poniewierać piękniemi uczuciami, czyż i ja nie byłem młody!?

— Jednak wiem na pewno, że pan czyniłeś wyrzuty pannie Kamilii, że jej przeszkadzam w karierze, że powinna mieć bogate toalety i nawet dajesz jej obecnie drugorzędne role.

— Drugorzędne/ czy dla takiej artystki są drugorzędne role? To talent olbrzymi, europejski, ona gdyby grała subretki, pewao byłaby pierwszą kochany panie!

— Faktem jest wszakże, iż pierwszorzędne role, które grywała dawniej, gra teraz panna X., nie mająca narzeczonego, ale za to bogatego wuja.

jT- — Umyślnie zrobiłem tak dla panny Kamilli, bo co to jej szkodzi, że panna X. się kompromituje!

— Dobrze więc—rzekłem, widząc że prawdy nie powić — niech i tak będzie. Proszę tylko pana nie dokuczać więcej mojej narzeczonej, bo się potrafię za nią upomnieć i krzywdy jej wyrządzić nie pozwolę.

— Ależ kochany panie, ja ją lubię jak własną córkę. Tożto przy lipka, anioł, a trupa moja bez niej zeszlaby do zera. Zobaczysz pan w sezonie zimowym, jakie znowu zajmie stanowisko! Kochany panie, nas dyrektorów prowincjonal- nych nie trzeba sądzić z pozoru. My nieraz musimy z publicznością kokietować, dawać jej różne przysmaki i rozmaicie przyrządzone, ale my czcimy wielką sztukę, tylko brak funduszków niestety nie pozwala nam na taki kult, jakiego ona wymaga. Ot co pan chcesz, ta panna X. żaden talent, ale pokaźna, na scenie pięknie się

wydaje w tych właśnie marayeh strojach, które koniec końców kobiecie „dodaj ą” a przy tem i zaśpiewać umie i jak trzeba zatańczyć. Niedawno temu, tańczyła „pas des deux” z Budelskim.

— Bo była dawniej w Corps de balecie.

— To jej nie nbliża, kochany panie!

— Bynajmniej, ale też i nie daje ty talu do pierwszych ról w dramacie. Żegnam pana!

— Lecz rozchodzimy się jak przyjaciele, co kochany panie?

— Zależć to będzie od pana.

— I od kochanego paa. Widzi kochany pan, póki panna Kamilla jest w teatrze, patrz pan trochę przez szpary...

— Co, co?

— Niby na to, że ona się tam temu i owemu podoba. Rzecz nieunikniona, dobra jej sława nic na tem nie ucierpi, a oklasków jej przybędzie, teatrowi zaś...

— Zysku—dokończyłem szyderczo.

— I reputaoyi. Bez tego, proszę pana kochanego, trudno wyżyć teatrowi na prowincyi.

Byłem już przy drzwiach, nagle zatrzymał mnie głos dyrektora:

— Kochany panie, jeszcze słówko!

— Słucham pana.

— Wie kochany pan—jakem się tak dobrze przypatrzył panu, przyszło mi coś na myśl...

— Bardzo winszuję!

— Jak kochanego pana szanuję—głos pański, ruchy, mimika—bo pan masz mimikę—ruchy—patrzałem na pana z tyłu—wszystko każe mi wróżyć panu świetną przyszłość.

Stałem osłupiały.

— A tak, z pana byłby aktor, tęg aktor, dzielny aktor, wielki aktor, kochany panie. Ja się na tem znam, jestem dyrektorem od lat 40-stu, setki przesunęły się przedemą i zawsze tak odgadywałem z jednego ruchu, z przemówienia, ze skrzywienia się nawet, tak kochany panie, ze skrzywienia... I wiesz co, kochany panie, rozmyśl się nad tó, co ci powiem, a kiedyś mi podziękujesz. Rzuć nauki, z których tak prędko chleba nie wyciśniesz i zostań z nami, od razu, zrobimy próbę i...

— Pan chyba ze mnie żartuje!

— Niech mnie Bóg broni! Co mi po żarcie! W teatrze masz pan przyszłość, a w tych tam naukach... a tymczasem pomyśl (już mi nie mówił „kochany panie”) i Kamilka zwiędnać może, lub...

— Lub co?—krzyknąłem groźnie.

— Lub... zanadto rozkwitnąć, nie gniewaj się młody panie.

Wyszedłem, trzasnąwszy głośniej drzwiami — ale przyznaję ze wstydem, że propozycya

jego utkwiała mi głęboko w mózgu, a gdym powrócił do Kamilli, długi czas byłem roz-
targniony i zadumany. Kamilli jednak nie wspomniałem ani słowa o tej dziwnej propo-
zycji.

VL

Odjeżdżałem z zupełnym zaufaniem w miłość Kamilli.

Była dla mnie czułą i wylaną, a zarazem odkryła mi najtajniejsze swe myśli, przyznała się
do wszystkich złych instynktów, jakie ją czasem nagabują, dodając naiwnie:

. — Wierzaj mi, gdyby jakakolwiek zmiana nastąpić miała w mych uczuciach dla
ciebie—co jest niepodobieństwem—wyznam ci ją otwarcie natychmiast. Nie—zdrada nie
leży w moim charakterze, a ciebie zwieść, byłoby nikczemnością, o którą mnie chyba nie
posądzisz.

Uspokojony, odżyłem na nowo i powróciłem do moich zajęć.

Sześć tygodni, które nas jeszcze dzieliły, przeleciały szybko. Listy, które mi pisywała
codziennie, zaznajamiały mnie ze wszystkimi szczegółami jej życia. Czasami tylko
narzekała, że panna X. zabrała jej wszystkie role, dodawała jednak, że ją Kiefer zapewnia, iż
z sezonem

jesiennym powróci do swych ról i swego stanowiska.

Kiedym spojrział w jój oczy przy pierwszym widzenia się, byłem pewny, że się dla mnie nie zmieniła. Radość jój wreszcie nie była komedią. Kochała mnie jak dawniój, może więcój jeszcze, dla tego, że była zadowolona ze swój stałości i oparcia się pokosom. Bo pokas tych miała niemało. Dowiedziałem się o nich od Chłopaczka, który nie mógł się odchwalić jój charakteru.

— Czy pan uwierzysz—wołał z uniesieniem najwyższego podziwu — że nietylko nigdy nie przyjęła żadnego zaproszenia na obiad, ale nawet na pożegnalną ucztę, którą nam dali lubo-

wnicy teatru, przyjść nie chciała, mówiąc, że + bez narzeczonego nigdzie jej bywać nie wolno. A wiedziała przecie, że będą tam niewidziane przysmaki i frykasy, i że przy toaście na cześć naszych artystek, każda miała dostać złotą bran- zoletkę. Nie, panie—takiej kobiety nie znajdziesz pan na całym szerokim świecie. Zamykała się u siebie i czytała książki, któreś jej pan zostawił.

Uściskałem Chłupaczka i podarowałem mu sztukę materyi jedwabnej na kamizelkę.

— A trza panu wiedzieć—dodał rozgrzany wdzięcznością — że Biernagiel obiecywał, iż się z nią ożeni i z góry zapis dla niej zrobi. Nic nie pomogło, nawet się patrzeć na niego nie chciała.

Tych kilka tygodni za jój powrotem liczę da najszczeńliwszych mego życia. Patrzała mi w oczy, żeby uprzedzić moje życzenia, układała wraz zemną plany przyszłości, a słuchając poetów, których jej czytywałem po dawnemu, odkrywała mi wszystkie porywy swój duszy, szlachetne, czyste i wzniosłe. Tak więc, zakochawszy się w jej urodzie, pewny byłem że znalazłem równie piękoą duszę. Wtedy to oburzałem się na przesady, nie chcące uczcić w aktorce kobiety..

Tu następuje epizod mego życia najważniejszy i najstraszniejszy—opowiadał dalej— a którego psychologicznie dotąd wytłumaczyć sobie nie umiem.

W czasie tych najśłodszych dni, które przepędzaliśmy ze sobą, zastaję raz znowu Pinikow-- ską u Kamilli. Skradała się zawsze jak kot cichaczem, uciekając, skoro mnie tylko zobaczyła. Rzekłem jej wprost, że rad jej i wskazówek nie potrzebuje Kamilla, i że proszę ją, ażeby więcój nie nachodziła jój progów. Powstawszy milcząco z krzesła, odrzekła na odcbodnem:

— Pan zabijesz tę dziewczynę, ale róbcie jak chcecie. Chciałam dziewczynę ratować; skoro zaślepiona, niech robi co się jej podoba.

Głęboko po jój odejściu zamyślona Kamilla, milczała, podczas gdy ja chodząc zachmurzony po pokoju, nareszcie zerwawszy się nagle z miejsca, zarzuciła mi ręce na szyję i zawołała z egzaltaeyą:

— O, ty niewiedzić będziesz nigdy, ile dla eiebie poświęcam!...

— Kamillo, czy nie za często wyrzucasz mi te poświęcenia?

— Ab! be gdybyś wiedział!... ci ludzie, ludzie, jak dla nich nic niema świętego!... Nie, nie!—zawoła znowu z najwyższym zapalem—pokażę świata, czem może być kobieta,, która kooha!

Mimowoli wtedy spojrzała w naprzeciw Wiszące lustro, w którym i ja ujrzałem ją piękniejszą niż kiedykolwiek.

— Zobaczysz droga moja, gdy zostaniesz żoną moją, że istnieje na świecie szczęście pewniejsze i czystsze, aniżeli te wasze tryumfy na deskach, które wprawiając was w gorączkę i podrażnienie miłości własnej do szała, zmuszają do patrzenia na życie z fałszywego punkta widzenia. Tryumfy! a choćbyś je miała największe pięć lat, dziesięć jeszcze, co potem? czy zdołasz żyć wspomnieniami tych tryumfów? Nie, one cię tylko drażnić będą i męczyć, bo kto raz za- kosztował sławy, ten bez niej już, istnienia nie rozumieć. Zobacz, jak mało artystów sławnych doczekało się spokojnej, a zwłaszcza szczęśliwej starości. Pałają ich wspomnienia, nęka niemożność odzycia dawnym blaskiem; zniechęceni, zazdroszczący sławy nowym gwiazdom, wyglądają osamotnieni śmierci, jako jedyne go wybawienia. Nie, ja dla ciebie nie chcę takiego życia i takiej przyszłości. Kamillo! zaufaj mi, zawierz raz, że ciebie jedną mam na świecie, a wtedy te marne przykrości codzienne nie zdołają lekką nawet chmurką powlec ci czoła!

Wyrzekłem te słowa ze łzami prawdziwego wzruszenia. I ona—prawdziwa artystka—wzruszona moim zapalem, opadła mi na piersi, szepcząc gorące słowa niewygasłej miłości.

Nie dalej jak na drugi dzień, powróciła z próby z opuchniętymi od łez oczami i rozdrażniona do najwyższego stopnia. Zaledwom wszedł, zawołała, płacząc głośno:

— Zabierz mnie ztąd natychmiast, nie zostanę ani godziny dłużej!.. Poniewierają mną, ubliżają mi, wszystkie role przeszłoroczne odebrali mi, a dziś, wićsz, słuchaj tylko, czy wićsz, co mi grać kazali? Boję, w której są trzy wiersze! Rzuciłam im ją pod nogi, zapowiedziawszy, że mnie więcej w teatrze nie ujrzą... O, to straszne . takie poniżenie!—mówiła dalej, przechadzając się nerwowo po pokoju i drąc chustkę, którą dopiero co otarła oczy.

Milczałem, dziwiąc się trochę tej rozpaczycy po wczorajszym uspokojeniu i rezygnacyi, a mimowoli cieszyło mnie jej postanowienie opuszczenia teat/u na zawsze.

Ona, nie przestając słuchać, rzuciła się nareszcie na krzesło i zakryła twarz rękami. Wtedy zbliżywszy się do niej, rzekłem zwołna:

— Kamilciu, jest na to sposób!

— Jaki?—zawołała niezmiernie żywo.

— Opuść teatr. Jedź do mojej ciotki u której na mnie spokojnie czekać będziesz.

— Opuścić teatr, teraz?! — zawołała z gniewem, jakim u niej dotąd nie widział— teraz, po takim upokorzeniu, nigdy! Czyż nie rozumiesz mojego położenia?

— Owszem, rozumiem je lepiej, bo spokoj- niej od ciebie, a ponieważ walczyć bronią aktorek nie potrafisz, na przebój iść nie możesz, dla tego proszę cię, ażebyś zamieszkała spokojnie u mojej ciotki, dopóki cię ztamtąd nie wywiodę jako żonę moją.

— Nie—ty mnie nie kochasz!—zawołała namiętnie — ty mnie nie kochałeś nigdy! Jakto? poniżają mnie, dokuczają mi, obrażają we mnie artystkę i kobietę, a ty najspokojniej każesz mi się usunąć?

— Wszak twoją przyszłością, Kamillo, nie będzie teatr, ale życie rodzinne!

— Ah! niewiem nic, wiem tylko tyle, że tak pozostać nie może, i że gdybyś był energicznym mężczyzną, potrafiłbyś się za mną ująć. Wszystkie mają kogoś, który imponuje dyrektorowi i ochrania je troskliwie, ty jeden prawisz mi tylko morały!

Z oczu jej sypały się iskry, twarz przekrzywiła wyrazem złości, który mnie dotknął boleśnie.

— Kamillo, zlituj się nad samą sobą!., nad...

— Nademną nikt się nie zlituje—zapominasz zupełnie o tem, że byłam tu primadonną, a dziś robią ze mnie popychadło! Acb, ja tego nie-przeżyję!

Zrzuciła gwałtownym ruchem zwierciadło stojące na toalecie, co ją doprowadziło do większej jeszcze desperacji.

— Ty nie wiesz, ile dla ciebie cierpię i znoszę, boś ty zimny jak gład i egoista! Co ciebie obchodzić mogą zmartwienia, których nie pojmujesz, niech się dzieje ze mną co chce, byleś ty miał spokój!

W najwyższej niecierpliwości zawołałam: - — Powiedz co mam czynić a uczynię, tylko już bez tych wyrzutów. Myślałam że mnie kochasz prawdziwie, a widzę, że więcej dbasz o te mizerne tryumfy małego miasteczka!

Zakryła znów twarz rękami i już nie odezwała się ani słówkiem, pomimo moich próśb, za- klinań i przeproszeń.

Wzburzony i rozdrażniony do szału, pobiegłem wprost do dyrektora. Zdecydowany by- łem zmusić go przemocą, gwałtem czy groźbą, do oddania pierwszych ról Kamilli.

Wpadłem jak furja, niezważając na obecnego tam jegomości, który był, jak się wnet po- kazało, protektorem panny X., rywalki Kamilli.

Dyrektor przełknięty, zaczął się tłumaczyć. Nie słuchałem nic, nazywając go niegodnym spekulantem, wyzyskującym wdzięki swych aktorek. Wmieszał się w to protektor panny X.

i nazajutrz... strzelaliśmy się. Lekko ranny, przeleżałem dwa tygodnie, a po dwn tygodniach, sądzisz pan, że zerwałem z Kamillą? Nie. Po dwn tygodniach, pierwszą osobą, którą spotkałem na nliey, był książę O., ale już bez guwenera. Zwrócił swe kroki kn mieszkania Kamilli. W szalonej " zazdrości wpadłem za nim. Kamilla, widząc mnie bladego i pomieszanego, pożegnała księcia zimno. Ulitowała się nademną, a ja przez wdzięczność zostałem... aktorem. Ona nklęła przedemną w najwyższym uwielbienia za moje poświęcenie — ja chciałem jej tylko dowieść, że nie jestem egoistą!

Naukę, marzenia o spokojnej przyszłości, odrzuciłem precz i wprzagnałem się w to jarzmo, z którego dopieroco ją samą wyzwolić chciałem. Kiefer przepowiadał mi świetną przyszłość, dlaczego? nie wiem, bo nie czułem w sobie żadnego powołania, ale widziałem Kamillę szczęśliwą jak nigdy, a przede wszystkim, roznamiętniony teraz gorączką zazdrości, wiedziałem, że będę czuwał nad nią, bronił jej, właściwie zaś, ie... będę jej pilnował. Tak panie! przyznaję, że miłość moja weszła już w inne stadyum, kochałem ją teraz inaczej, silniej może, ale podejrzliwiej, zazdrośniej i z tą obawą, że mi ją każdej chwili wydrzcć mogą.

VII.

Niemiałem żadnego talentu aktorskiego, za- ledwo owo ukształcenie dające refleksyą, przy- tem piękną postawę, przystojność i zgrabne, elastyczne ruchy. Kiefer na początek kazał mi być „drugim kochankiem". Zdawało się temu dyrektorowi, uprawiającemu swe rzemiosło przez lat 30 czy 40, że do ról kochanków potrzeba tylko przystojności, szerokich bark i wysokiego wzrostu. Kamilla jednak czuła się zaniepokojoną i dla tego przygotowywała mnie do debiutu... Nieraz wśród nauki śmiała się serdecznie z mojego akcentu i sposobu mówienia miłosnych frazesów, głęboko przytem zdziwiona, że gdy do niej osobiście są zwrócone, mają taką siłę przekonywającą, a w roli, tak wypadają sucho i prawie śmiesznie. Drżała o mój występ, ja lekceważyłem go sobie.

— Dla ciebie tylko zostałem aktorem — perswadowałem jej — cóż mnie więc może obchodzić, ozy zyskam sławę lub nie ?

— Lecz gdy się okryjesz śmiesznością? — mówiła blednąc.

— Będę śmieszny, byłem nim nie był w twoich oczach.

— Drogi mój! — przecie tu chodzi o twój byt.

— O mój byt? Teraz wszystko mi już jedno, wiem, że na tój drodze nie zdobędę kariery, zostałem aktorem byle być zawsze przy tobie!

Zamyśliła się i pocbmurzyła posepnie, mnie żal ścisnął za serce, żal za innymi marzeniami przyszłego życia, które, czolem, że pierzchną już bezpowrotnie.

Wtem wpada Chlnpaczek.

— Dobrze, że was widzę — wpadłem na trop intrygi. Chcą pana przy debiucie wygwizdać.

— Kto? —• spytałem obojętnie.

— Któżby, jeżeli nie panna X., z pomocą swego protektora...

Kamilla z zaiskrzonymi dziwną wściekłością oczami, tupnęła nogą i zawołała:

— Maszę raz zgnieść tę nędznicę!

— Ależ Kamillo, co się z tobą dzieje? — krzyknąłem osłupiały.

— Póki jej nie było, byłem ta pierwszą i szczęśliwą, byłem dobrą, nieznałam nienawiści, ona to wywołuje we mnie jakąś złość szatańską. Zobaczymy, ona cię każe wygwizdać raz, a ja ją za każdym razem, gdy będzie występować.

— Kamilciu, przez Boga, wstydz się, to nie- pięknie!

— Proszę cię, nie wtrącaj się do tego!

I zabrała ze sobą Chlupaczka na dłagą kon- ferenoyę.

Mnie cieszyła nawet nadzieja, że będę wygwizdany, sądziłem bowiem, że w ten sposób zniewolę prędzej Kamillę do porzucenia sceny, sam zmuszony będąc powrócić do nauki.

Nieznałem jeszcze mojej wybranej. Nadszedł dzień debiutu. Skorom wyszedł na scenę, przywitano mnie oklaskami, ale zaraz po pierwszej scenie posłyszałem śmiechy, a wnet i dyskretne gwizdania. Zniosłem je najobojętniej, z uśmiechem nawet, co tak dziwiło Kiefera, iż rzekł do mnie silnie zadowolony:

— Pan masz temperament, zajdziesz daleko! Tak, tak, drwij sobie z gwizdania, dziś gwizd, jutro wieńce.

Tymczasem w drugiej zaraz sztuce, w której występowała panna X., dały się słyszeć, skoro tylko wyszła na Bcenę, takie świstania, wrzaski, taka jednym słowem kocia muzyka, iż musiano spuścić zaBłonę.

Panna X., przechodząc obok mnie, który stałem, rozmawiając w kulisach, spojrziała zjadliwie i pomruczała coś pod nosem, a była czerwona jak piwonija ze złości i wstydu. W tej samej jednak chwili zjawia się Kamilla i z głośną radością zaczyna mi wieszować.

Panna X., słysząc to, zawróciła się i w najwyższej pasy zawołała: — Bezwstydna!

Nim się spostrzegłem, moja słodka dotąd Kamilla, poskoczyła do niój i wymierzyła jój wachlarzem policzek.

Panna X., w płacz i w' wymyślanie, Kamilla patrząc na nią z pogardą, milczała długo, rzekłszy to tylko w końca:

— Idź poskarżyć się tema, który ci płaci za twoją podłość!

Dyrektor wpadł między obie i surowo gromić je zaczął.

Chłopaczek, niechcąc się narazić pannie X., trzymał się ostrożnie w kulisach, ale stara Pini- kowska mężnie stanęła za panną X., dogadując głośno.

Co do mnie, stałem apatyczny i zgnębiony. Pierwszy raz byłem świadkiem tak bratalnej i ordynaryjnej sceny, ale co mnie najwięcej zgnębiło, to zuchwałość, cyniczna prawie, mojej nbóstwianej Kamilli. Gdzie się tego wszystkiego wyuczyła ta „sierota,” ta wychowana dotąd na łonie cichej rodziny dziewica?

VEL

Nastąpiła rzecz całkiem przezemnie nieprzewidziana. Uderzenie wachlarzem i moja obojętność na wygwizdanie, Bpowały najsilniejszą re- akcyę. Zaczęto nas szanować. Przed Kamillą wszystkie koleżanki ustępowały się odtąd z respektem; dyrektor, pomimo spazmów panny X., i poważnój interwencji jój protektora, powrócił wszystkie role Kamilli. Była znowu primadonną, a tym razem nabrałem przekonania, że się zde- tronizować nie da.

Pinikowska, widząc że się głupio znalazła, ; przychodziła przez, kachnię do Kamilli, chcąc ją prosić o przebaczenie, ale jej nie wpuszczano. Wyszła, podobna do pieska który spłoszony, chowa ogon pod siebie. Dla mnie stała się Kamilla tak czułą, tak we mnie rozszalałą, jak gdybym w owym debiucie odniósł najwyższy tryumf, a nie naj zwyczaj niej sze flasco.

Zacząłem ją coraz mniej rozumieć.

Chodziła teraz dumnie wsparta o moje ramię,

a w teatrze była jakby królową, ja zaś jak prin- ce—contorł.

Trzeba było jednak znown grać coś. Kiefer widział, że na amanta zdolności niemam, chciał mnie przeto przerzucić na role charakterystyczne. Mnie było wszystko jedno, raz jednak, przeglądając sztukę: -Kobiety z kamieniazajęłem się niezmiernie rolą Desgenais'go, który tyle goryczy sieje naokoło, a przy tem tyle okazuje serca. Sarkazm jego szlachetny zachwyił mnie. Nagle całe moje położenie, w które wszedłem fatalnie, okazało mi się jasno, i rad byłbym wylać go* rycz serca i żal przez nsta Desgenaisgo. Pełen zapału, wyjawilem moje życzenie Kieferowi.

Kiefer poskrobał się w głowę, mówiąc:

— Ho, ho, kochanie (teraz mówił mi ty, dawniej, kochany panie), coś z grubego zaczynasz!

— Daleko trndniejszą była rola kochanka, tę wiem, że odegram nieźle.

— Hm, hm, nie zdaje mi się, ale co to szkodzi, spróbujmy!

Co mogło szkodzić, skoro płacił mi lft guldenów na miesiąc.

Spróbowaliśmy. Na próbach grałem nieśmiało, aktorzy uśmiechali się złośliwie, Kamilla patrzyła z przestachem; tymczasem na przedstawieniu zagrałem z taką werwą, z takim ogniem i siłą przekonania, zem publiczność porwał za sobą i wywołał burzę oklasków.

Stałem się niemal sławny tego wieczora.

Kiefer przyleciał do mnie rozpromieniony krzycząc:

— A co, kto cię odgadł? Nie mówiłem że masz temperament? Podwyższam ci pensyę o 10 guldenów.

Pocziwy Kiefer zapomniał, że chciał ze mnie zrobić amanta, a odradzał Desgenais'go. Zawsze przez 40 lat mylił się biedaczysko.

Co mnie wszakże zdziwiło, że Kamilla prawie chłodno winszowała mi sukcesu. Co w tem ; było? Czyżby mi zazdrościła oklasków? Nie, niepodobna!

Tak więc trzeba było dalej dźwigać taczkę, zaciągawszy się raz na aktora. Dotychczas obojętny na powodzenie, teraz zlekka zaczynała się budzić we mnie ambibya, lubo do zamilowania tego zawodu było jeszcze daleko.

Zacząłem grać role charakterystyczne z lekkim odcieniem dramatycznym. Sukces mój coraz większy, dawał mi zachętę; zacząłem pewni ój spoglądać naokoło siebie, nie trapiąc się już tak bardzo, że porzuciłem nauki dla desek scenicznych.

Aktorzy i aktorki okazywali nam pewien sza- ? cunek, a wreszcie, należąc już do tego cechu zupełnie, niepotrzebowaliśmy się obawiać zasadzek i podstępów, które tak z początku gryzły Kamillę. Chlupaezek z roli aroganckiego konfidenta i opiekuna, przeszedł na pokornego naszego niewolnika, spełniającego pospiesznie każde polecenie.

Żyliśmy w zupełnym spokoju i jeżeli kiedy, to chyba teraz mogliśmy się nazwać szczęśliwymi. Pomimoto, Kamilla bywała często roztargnioną, niespokojną i jak mi się zdawało, znudzoną.

Czyżby jej miłość moja już nie wystarczała?

Chciałem sprawdzenia. Baw przeto, gdyśmy, powróciwszy z teatru, zasiąść mieli do czytania swych ról, rzekłem jój:

— Droga Kamillo, czy ci nigdy nie przychodzi na myśl to co mnie?

— Nie baw się w zagadki — odrzekła dosyć kwaśno. •

— Dlaczego droga moja, gdy dziś jesteśmy już w jednym zawodzie, ciągle razem, niemieli- byśmy nareszcie uświęcić związków naszych?

— Teraz?— zawołała z niesmakiem, którego nawet ukryć nie usiłowała. .

— Wszak ślub był naszym marzeniem; na cóż jeszcze czekamy? Do nauk nie powrócę, kształcić się tylko dalej muszę w tym zawodzie, a przecież godzi się, nie już dla naszego szczęścia ale i dla ludzkiego oka, skończyć przed ołtarzem.

Milczała.

— Wszak mnie zawsze kochasz Kamillo?

-r Jedno z drągiem niema nic wspólnego.

O, przeciwnie! ja przynajmniej innych już marzeń w życiu mieć nie chcę.

— Wszak nie masz żadnego powodu do zazdrości?

1 — Gdybym go miał, nie proponowałbym ci małżeństwa. *

— Nie rozumiem cię naprawdę... zresztą i ja pragnę tego samego, tylko teraz... gdy jeszcze nie dosyć wyrobiłeś się, ażeby spróbować sił swoich na scenie większej... bo co do mnie, nie myślę tu zostać na zawsze i chcę koniecznie dostać się na scenę warszawską.

I. — ■ Jedno drugiemu nie przeszkadza bynaj- Ijmniej.

f — Nie mój drogi, mamy jeszcze czas, wszak i miłości wzajemnej jesteśmy pewni, a utrwaliwszy nasze pozycje, daleko łatwiej przyjdzie nam pobrać się.

— Zawsze jakieś przeszkody—rzekłem zasepiony.

;-— Pomyślże mój drogi, jak mało mamy teraz oboje dochodu, a przecież jako małżonkom, inaczej dom urządziłoby nam trzeba. t — Więc tylko to stoi na przeszkodzie? EL— Cóżby innego?

— Bo uważałem, żeś taka zamyślona i znu- dzona?

& — Nie znasz moich nerwów! aprzytem przy- - znasz sam, że życie w tem mieście niesłychanie jest monotonne. Bano próby, wieczór spektakl a gdyby choć raz jakaś rozrywka, coś odmien- * nego, przecież nam artystom potrzeba wrażeń,

bo one najlepiej oddziałują na pomysł i twórczość gry.

Trochę się przeląknęłam tego nowego zwrotu, wziąłem go jednak na karb kobiecych fantazy i nie poruszałem odtąd przedmiotu tak drażliwego.

Niedługo potem zjechał do miasta znakomity skrzypek.

Koncert jego przepełnił salę. Orał prześlicznie, a przytem był młodym i bardzo urodziwym młodzieńcem. Zachwyciłem się wraz z Kamillą, która z zapłonioną twarzą a roziskrzonym wzrokiem, biła mu zapamiętałe oklaski.

Nazajutrz miał dać koncert w teatrze.

Uczyłem się roli w domu, dopiero koło dziewiętej wieczór zaszedłem za kulisy.

Było właśnie antrakt, gdyś między sztukami grał koncertant.

Pierwszą osobą, którą ujrzałem w kulisach, była Kamilla, rozmawiająca bardzo żywo ze skrzypkiem.

Ścisnęło mi się serce, sam niewiem dlaczego. Kamilla ujrzawszy mnie, poczerwieniała, lecz jakby ukryć chcąc swe zmieszanie, zapoznała mnie z nim zaraz. Młodzieniec popatrzawszy na mnie bystro, zaprosił mnie na śniadanie, które wyprawić zamyslał dla artystów teatru.

Niemogłem odmówić, a nie chcąc okazać zazdrości, odszedłem. Stanąwszy jednak z drugiej strony za kulisami, mogłem patrzeć niewidziany.

Po moim odejściu, rozmawiali ze sobą bardzo żywo, ona jakby się czegoś[^] wypierała, po- czem on ucałowawszy kilkakrotnie jej rękę, zostawił ją samą. Kamilla stała jeszcze chwilę głęboko zamyślona, aż wróciła do łoża, z której zdaje się umyślnie po te tu przyszła, ażeby się .poznać z koncertantem.

Nazajutrz na festynie urządzonym bardzo świetnie, byłem smutny i niespokojny, lecz wstydząc się swego humoru, zwłaszcza, że Kamilla -patrzała na mnie z wyrzutem, zacząłem pić, pić dotąd, dopóki nieprzytomnego nie odprowadzono , do domu. Jak przez mgłę pamiętałem tylko jakieś gniewne słowa Kamilli.

Obudziwszy się w kilka godzin potem, wybiegłem na miasto zły na siebie i smutniejszy jeszcze niż przedtem. Gdzie się mogła podziać ; Kamilla? Pojechała na spacer za miasto, w licznej kompanii wraz z owym artystą. Posze- i' dłem do jej mieszkania czekać na nią. Dopiero o godzinie drugich w nocy powróciła, odprowadzona przez rozweselone grono biesiadników.

Wszedłszy, nie patrząc na mnie, rzekła od- i razu:

— Haniebnie się spisałeś! wstyd mnie palił za | ciebie.

i — I dla tego starałaś się go ukryć do późnej • nocy?—przerwałem szyderczo, czując, że nastąpiła

chwila krytyczna, chwila groźnej rozmowy, mającej przyszłość naszą rozstrzygnąć.

— Miałam cię może do snu kołysać? Stałeś Bie pośmiewiskiem całego towarzystwa!

— A głównie twojem, czy tak?

— Z pewnością, bo nie myślałam nigdy, ażebyś się tak mógł poniżyć.

Zbliżyłem się jój pod same oczy i rzekłem, hamująco gniew:

— Sprzykrzyłem ci się już?

— Być może—odrzekła spokojnie.

— Kto inny ci się podoba?

— Być może.

— Strzeż Bie!—wybuchnąłem wściekły—dotychczas byłem twojem narzędziem, lecz ofiarą nie będę!

— Tylko bez scen, proszę cię, jaż późno i chcę spocząć.

— Jesteś więc tylko taką jak inne, nazywającą kaprys miłością, a gdy przeminął kaprys, odsuwasz się odemnie obca i wroga!

— Jutro mi' powiesz resztę, dziś pozwól mi odpocząć!

— Jutro rozmówię się z tym panem!

— Śmieszny!

Przyskoczyłem do niej w zapamiętałym gniewie i ścisnąwszy jej gwałtownie rękę, krzyknąłem: — Nie będę nim, przekonasz się!

Puść mi rękę, brutalem jesteś i niegodnym mojego poświęcenia!

— Poświęcenia?—zgrzytnąłem zębami.—Przeszedłem piekło, boś tak chciała, nałamałem się ażeby zerwać z całą swą przeszłością i żyć z wami, zostałem takim komedyantem i cyganem jak wy, i to n ciebie niczem, a poświęcałaś się tylko ty?

-7 Czegóż więc chcesz odemnie?— odezwała się łagodniej—czyż ja winna żeś zazdrośny?!

— Mam powody, patrzyłem na was i dosyć mi było tego, com dojrzał.

Zaczerwieniła się mocno, rzekła jednak coraz łagodniej:

— Dzieciak jesteś i zazdrośnik, wstydz się- tak postępować z kobietą, której przysięgłeś wieczną miłość.

Spojrzałem na nią z pewną zgrozą. Widziałem jasno, ale niestety po raz pierwszy, że jest zręczną komedyantką, umiejącą przechodzić łatwo z jednej sceny w drugą. Bałem się jednak samego siebie i dlatego spojrzawszy na nią z pogardą i nie wymówiwszy już ani słowa, wyszedłem.

Nazajutrz nie poszedłem ani do teatru, ani do niej, pilnowałem tylko kroków koncertanta, który wszakże nie widział się z nią także. Na trzeci dzień przysłała po mnie.

Zaledwom wszedł, rzuciła mi się na szyję, a mając łzy i pieszczoty na zawołanie —o czem dziś wiem dopiero—ukołysała mnie zupełnie. Przysięgła zarazem, że już ani spojrzę na owego ar

tystę. Dotrzymała słowa, tylko... o tem jednak później. Wmawiałem w siebie wtedy, że jest fantastyczną, kapryśną i nerwową., lecz w grancie dmszy wierną mi i zącą. Miałem się dopiero zbyt późno przekonać, że i te kaprysy pozorne były nataralnym następstwem jej charakteru i temperamentu.

Ponieważ niemogę—mówił dalej opowiadający z wielką goryczą—przypominać wielu jeszcze bardzo szczegółów, malujących tę kobietę dosadnie, zdążać więc będę do końca...

Otóż, pomimo zasłony leżącej mi na oczach, nie mogłem nie dostrzedz, że coraz rosnąca moja reputacya jako pomyslowego i zdolnego aktora, wprawiała ją rzeczywiście w zazdrość. Zamiast cieszyć się z moich tryumfów, gniewały ją. oklaski coraz huczniejsze, których mi nie szczędzono.

Zwolna zacząłem żegnać nadzieję połączenia się z nią na zawsze, choć kochałem ją jeszcze bardzo, tylko, że dawniejszą spokojną i głęboką miłość moję, zastąpiła namiętność, czasami posunięta do szaleństwa! A umiała ona ją pod' żegać, poniżając mnie jakby umyślnie przezto, Niestety! wnet potrzeba mi się było przekonać, że i w tej sztuce jest mistrzynią.

Owa „sierota" i dziewczę pozbawione nagle domu i rodziców, a rzucone w wir świata, zastanawiało mnie coraz bardziej. Czyżby i to było kłamstwem? Dotąd nie schwytałem jej na kłamstwie, bo pozorne nieprawdy mogły mi się wydawać tylko fantazyami i niekonsekweneya- mi kobietami.

Wnet i na tym punkcie nabrałem innego doświadczenia. W domu księztwa Ł. miało się odbyć przedstawienie amatorskie, złożone z sztuk granych przez amatorów i przez prawdziwych artystów. Do grupy tych ostatnich, należała częśćka naszej trupy. Między niemi Kamilla. Dziwnie była Bzożeśliwą z tej okazji. Śpiewała, tańczyła, całowała mnie, mówiąc co chwila:

— Zazdrośniku, zobaczysz jak będą za mną szalć książęta i hrabiowie!

Byłem jednak spokojny, bo książęta i bra-* biowie nie potrzebowali czekać na tę dopiero sposobność, gdyby mieli względem niej jakie plany uwodzenia. A zresztą, tem szczerem wyznaniem, które brałem za naiwność, rozbrajała mnie.

Tymczasem nazajutrz dowiaduję się, że księżna gospodyni, zachwyciwszy się talentem Kamilli, wysyła ją na trzy miesiące za granicę własnym kosztem, dla nabrania studyów i przypatrzenia się wielkim wzorom. Skamieniałem, gdy mi to Kamilla zakomunikowała z wyrazem naj- wyższej radości.

— A co będzie ze mną? mamże cię puścić samą, w obcy i daleki świat? Nigdy! Gdybym mógł jechać z tobą, co innego...

— Trzy miesiące przeleci szybko!

— Zateśknę się!—przerwałem z rozpaczą.

Fowlełcl nlonioralau XT

— Będiesz mnie więcej jeszcze kochał potem. Chłopcze mój drogi, pomyśl tylko, wszak to moja karyera. Czegóż ja się tam nauczę! Skoro powrócę, zaangażują mnie wszędzie, a wtedy nie rozłączymy się już na wieki, na to przysięgam ci...

— Dość tych przysięg!—zawołałem ze wstrętem.

— Możesz liczyć, że ślub nasz odbędzie się za trzy miesiące, bo wtedy będę już przyszłości naszej pewną. Ah! to pomoc z nieba ten mój wyjazd, o którym inaczej i marzyć nie mogłam!

Cóż miałem zrobić? Przeszkadzać jej w rze- czywistej karierze! Znów moje ubóstwo stało mi na przeszkodzie. Pożegnałem się z nią ponury i przekonany, że między nami skończone wszystko. Czemuż nie miałem siły i odwagi zerwać!

W czasie jej nieobecności, bezsenność i spokojna rozpacz przeobraziły mnie zupełnie. Byłem jakby w przededniu jakiejś strasznej katastrofy. Po sześciu tygodniach otrzymuję pewnego dnia anonim, donoszący mi, że z Kamillą w Paryżu bawi księżę C., ów młodzieniec z guwernerem.

Piorun ten powalił mnie O łożu boleści. Ciężka choroba odebrała mi pamięć, kiedy powstałem wynędzniały jak szkielet, Kamilla stała przy mnie jak macierzyńska opiekunka. Nie pytałem się jej o nic, chciałem, przyszedłszy do zdrowia, sprawdzić inną drogą życie jej w Paryżu.

IX.

Przychodziłem z wolna do zdrowia. Jakaś niemoc fizyczna i moralna, trzymała mnie przykutym godzinami całymi do jednego miejsca. Myśl krążyła leniwo, siły żywotne drzemały. Kamilla uczyła się głośno przy mnie roli, opowiadała swe przygody z Paryża, związane stosunki i korzyści, jakie z przypatrywania się grze znako. mitych artystek, osiągnęła. Opowiadała między innymi, że mieszka u dwóch polek, dawno już osiedlonych w Paryżu, które też jedyne stanowiły dla niej towarzystwo. Byłem pewny że kłamie, ale lenistwo po chorobie zamykało mi usta. Wieczorem szła do teatru, ja zostawałem w jej mieszkaniu, nawpół leżąc w fotelu, zatopiony jakby w myślach, a nie myślący właściwie o niczem.

Siedząc tak pewnego wieczory, zdrzemnąłem się na dobre. Po chwili, ocknąwszy się, chciałem zapalić światło. Zacząłem szukać zapalek po- ciemku, nigdzie ich nie było. Chodząc od stołu

do stolika, wyciągnąłem rękę na stoliczek nocny. Zapalek nie ma. Otwieram szufladkę, znajduję. Pocieram zapalną, a pierwszą rzeczą, którą tam spostrzegam, jest jakaś ogromnych rozmiarów fotografia. Przekonany, że to jednej z aktorek francuzkich, przybliżam do światła i... poznaję konterfekt księcia C. Zatrzęsła mi się ręka, podejrzenie wkradło a raczój odżyło nagle z taką siłą, że mnie odpadła apatya i martwota.

Patrzałem długo na tę fotografię, nagle zazdrość i wściekłość że mogłem być oszukany, tak jak mi anonim donosił, poradziły mi obejrzeć się dokoła uważniej i szukać. Nie wstydziałem się tego szukania, zdawało mi się że mam do tego prawa. Na komodzie ujrzałem kasetkę. Próbuję odchylić wieka, otwarło się bez klucza. Zatrzymałem się; skoro niezamknięte, nie mam powodu podejrzewać niesłusznie mojej drogiej. Machinalnie jednak biorę pęk listów i zaledwo nań rzuciłem okiem, przekonany, że wszystkie, z wyjątkiem czterech od p. Biernagla, pisane są ręką księcia C. A co w nich byłol ha! krew wypiekała mi gorączką, policzki ze wstydu i bólu. Pisał tak, jak się pisuje do kobiety, która jest naszą własnością.

Co się ze mną wtedy działo, wzdrygam się przypomnieć. Wszystkie złudzenia, wszelka moja wiara w ludzi, owa młodzieńcza wiara w szlachetne uczucia, leżała zdeptana i sponiewierana!... W tej chwili obrzydłem sam sobie za tak lekko ofiarowane życie jej... niegodnej! lecz co najdziwniejsza, że zamiast pogardzić tą kobietą, żałowałem jej w tej sekundzie, bolelaem nad jej spodleniem więcej niż nad swoim upadkiem.

Opisywać scenę, która nastąpiła niedługo potem, gdy Kamilla wróciła? Poco? Dostyc gdy powiem, że wyrwawszy mi z ręki list, zaczęła obrzucać mnie przekleństwa za niedelikatność, a potem złożyła najszczerze wyznanie winy i włożyła się u nóg moich, błagając o przebaczenie.

A ja?... przebaczyłem, ale odtąd zaczął się najobrzydliwszy okres mego życia. Wiedząc bowiem o jej hańbie, żyłem i dalej przy niej, a więc zgodziłem się na te ustępstwa, które już dalej po szczeblach coraz większego upodlenia, prowadzą do ostatniego upadku godności ludzkiej. Przebaczyłem jednak... bo nie kochając już jej i nie szanując, pożądałem jój namiętnie, skuła mnie ze sobą łańcuchem rozkoszy, którego przeciąć, nie miałem już w sobie dostyc siły. A wraz z tym moim upadkiem, który ona doskonale oceniła, rosła jój przewaga nademną. Gniew mój, prośby i rozpacz, stały się dla niej czemś powszedniem, czemś, co jej bynajmniej nie przeszkadzało w żadnym kaprysie. Nie siliła się nawet na odgrywanie ze mną komedyi, wkrótce nawet kłamać zaprzestała... Poco miała kłamać, gdy ja i na prawdę przystanę?! Okropny ten epi. zod mego życia odsłonił przedemną straszliwą

przepaść, lecz nie pokosiłem się już o jakąkolwiek energię ratunku, poddałem się bezwładnie wypadkom, które nazwałem fatalistycznie: przeznaczeniem. Znikczemniałem tak dalece, że teraz bałem się tylko, ażeby mnie nie odepchnęła zupełnie. Tak panie, pocóż mam dzisiaj obwijać w frazesy subtelnej sofistyki nagą prawdą, poco uniewinniać haniebną słabość, której my mężczyźni podlegamy nieraz, z takimi zawsze kobietami? Zaczyna się od młodzieńczych marzeń o ideale, od czystych i szlachetnych aspiracji zdobycia miłości, a kończy na przyjęciu wszelkich warunków, byle wolno było grzęznąć i dalej... w błocie. Kto niema siły zerwać od razu ten nie będzie miał jej nigdy, a kto sam siebie, ładzić pragnie, dlatego że oddał całe swe serce, ten niech nie przywdziewa potem żaloby nad zamarciem tego serca, nad pogrzebaniem dumy swej i godności.

A przecież nie było jeszcze koniec. Dowiedziałem się teraz różnych o niej szczegółów. Informacje dopływały do mnie ze wszystkich stron, jak gdyby wiedziano, że się na wszystkie zgodzę. Wtedy naprzykład, gdy byłem pewny, że ów koncertant jej nie odwiedził, nie myliłem się¹ tylko że nie on był u niej, ale ona w towarzystwie Pinikowskiej złożyła mu hołd swego uwielbienia. Nie była też sierotą jako żywo, żyli jej rodzice w małym miasteczku na Wołynia, żyło liczne jej rodzeństwo, ona za« rozpoczęła swą karierę od nauczycielstwa w jednym z domów na wsi, z kąd ją wnet postarano się wydalic. Przybywszy więc jako sierota w całej aureoli blasku dziewiczego, przybyła z gotową i dobrze naprzód obmyśloną komedią, a talentu w tej misie en scene okazała tyle prawie, co artystycznego, który istotnie miała niezwykły.

Nie powiedziałem jój nic że wiem o jej rodzinie i przeszłości. Gdybym był powiedział, byłaby się rozśmiała cynicznie, bo cynizm był jej chyba wrodzony, chowała go tylko dotąd, dopóki potrzebowała odgrywać rolę ingénue. Nieraz dostrzegłem, jak mi się przypatrywała z dziwnym uśmiechem, w którym głęboka ironia połączona była z resztką litości. Uśmiech ten zdawał się mówić: „jesteś mojem dziełem i żal mi cię, ale i cieszy mnie to zarazem, żem zrobiła z ciebie to com chciała”. Często siedząc razem, nie mówiliśmy do siebie ani słowa, ale myśli nasze gonily się przenikliwie i zawzięcie. Nienawidziłem jój wówczas i pogardzałem nią, ona zapewne tak samo, a przynajmniej uważała mnie za ciężar, którego by się nareszcie pozbyć należało.

Nadeszła sposobność niebawem. Zjawił się w karnawale młodzieniec bardzo bogaty, bardzo przystojny i bardzo wymizerniały. Można go było śmiało nazwać: zdechlaczkiem, Kamilla nazwała go: „wielce interesującym”, Pankowska przy mnie, snąc umyślnie, „ideałem piękności”, Niedługo panicz ten (nazwijmy go „Żorzem”) stanął

na stopie bardzo poufnej z artystką grającą w naszym teatrze rolę niewiniątek. Stało to żyło ze sobą przykładowo; on odwoził ją z teatru kareta, co gnębiło najbardziej koleżanki i prowadził ją do domu na stopie wesołej i pokaznej. Kamilla zrazu z pogardą wyrażającą się o tych zebraniach, wybrała się tam pewnego razu, nic mi nie mówiąc o tym. Bywała tam już często, o czym ja jeden tylko nie wiedziałem.

W kilka dni potem, zastałem tego panicza ze swą Dulcyneą na wizycie u Kamilli. One całują się, ściskają i pieszczą, on patrzy rozrzucony na obie, ja zagryzam wargi i trzymam się na boku. Po ich odejściu, Kamilla zaczęła pod niebiosami wychwalać przymioty nowej swojej przyjaciółki, mówiąc, że jest ona skarbem dobroci, poświęcenia (tego wyrazu najczęściej używają aktorki) i koleżeństwa. W czym leżało to poświęcenie, domyśliłem się we dwa tygodnie, gdy Żorż porzucił ją a zwrócił się do Kamilli. Zaczęło się od jego wizyt codziennych. Siadywał po pięć godzin. Wziąłem go na przetrzymanie i kilka razy przetrzymałem, ale Kamilla nazwała mnie najgorzej wychowanym człowiekiem, niemającym żadnych manier światowych, tyranem niepozwalającym jej patrzeć na nikogo i czemś tam jeszcze. Słuchałem, zacinając zęby i milcząc. Na Żorża patrzyłem, jak buldog na szpicie pokojowego, który nagle stawszy się faworytem pani chce go wyrugować z łaski. Żorż

uikał mego wzroku i zaczął krócej przesiadywać; gdy mi się jednak i to sprzykrzyło, zczekałem na niego przy wyjściu i powiedziałem mu krótko, że mu kości połamię, gdy tu raz jeszcze przyjdzie.

Nie przyszedł więcej, ale przez ośm dni nie zastawałem nigdy Kamilli w zwykłych godzinach w mieszkaniu. Domyśliłem się wszystkiego i postanowiłem raz z nią skończyć na zawsze. Lecz wszelkie te postanowienia odbywały się zawsze w formie scen, jedna straszniejsza od drugiej. Tym razem powiedzieliśmy sobie wszystko, co dwoje wrogów śmiertelnych powiedzieć sobie może, ona kilka razy przyskoczyła do mnie z furją, chwytając mnie z mężką siłą za piersi, potem znów wybuchała spazmatycznym płaczem, a z płaczu przeszedłszy w półomdlenie, miała mnie nareszcie znów u nóg swoich.

Zawarliśmy ze sobą traktat „swobodnych komunikacji”, czyli nieokazywania sobie nawzajem zazdrości i nie czynienia scen brzydkich i niedelikatnych. Pojmujesz pan, że z chwilą tego traktatu, abdykowałem z resztek swojej godności. Uległem, ale uczułem w całej nagości swoją hańbę. Upadłem i zrozumiałem swój upadek, a zrozumiawszy go, zacząłem... pić.

Tak panie — piłem zrazu dla zalania pamięci, dla zapomnienia o tym, że żyję w tak nikczemnych warunkach, że zdeptałem przyszłość swą, spodliłem młodość, że straciłem wszystko, do

czego rwała się moja dusza tak jeszcze niedawno. Często pijany, rozprawiałem się z nią gwałtownie, a czasem znowu rozczulony, płakałem u nóg jej. W pierwszej fazie bała się mnie straszliwie i łagodziła, pomimo wstrętu, jaki zapewne w niej budziłem. Później... pić zacząłem dlatego, bo zasmakowałem w picciu... Obojętną mi była scena, praca i zabawa, rozkosz widziałem w... butelce. Zwolna zaczęli się wszyscy odemnie odsuwać... ona pierwsza wyjechała za granicę... o! bądź pan spokojny... nie sama.

Ten cios — jeżeli to już eiosem nazwać można było — wytrzeźwił mnie, ale zarazem obalił fizycznie. Półtora roku przeleżałem w szpitalu. Uważano mnie za niewyleczalnego, aż gdy się nareszcie podniosłem z łazarzowej pościeli, podniósł się wraz ze mną całkiem inny człowiek. Z młodości, zdrowia, siły, energii i ochoty do życia, zostało tylko poczucie automatycznych ruchów. Żyłem bo żyć musiałem, bo wreszcie byłem pewny, że niedługo męczyć się będę. I wtedy, nie mogąc wrócić do nauki, bom już wszystko zapomniałem, wyuczyłem się zecerki i in- troligatorki i z tych rzemiosł naprzemian, wyżywiam się... Czegóż mi wreszcie trzeba? Sam jestem na świecie i sam pozostanę tych dni jeszcze kilka....

— A ona? — zapytałem.

— Ona, raz spotkała mnie na ulicy oko w oko i... niepoznała, odwróciła bowiem głowę czempredzej, wstępując do najbliższego magazynu, gdyż została pierwszą elegantką w mieście i bogatą panią. Biernagiel wziął ją pod swą opiekę i uczynił zapis, wkrótce potem umierając na apopleksję, a po Biernaglu, nastąpił najbogatszy bankier 60-cioletni, Szolce. I ten uczynił jej formalny zapis. Ostrożności tej nauczył ją stały doradca i przyjaciel, młody adwokat. Obecnie jest panią dwóch kamienic, brylantów wielkiej wartości, skryptów rejentalnych, a trzyma się krzepko... Przytyła wprawdzie znacznie i pobladła, ale róż podtrzymuje jej wdzięki, a zresztą umiejętność życia nadaje jój powab niezwykły. Jest zawsze w modzie... O tak paniel one takie wszystkie!

— Wszystkie? — potrząsnąłem głową — pan trafiłeś nieszczęśliwie i dlatego z goryczą sądzisz o wszystkich.

— Nie, panie—odrzekł spokojnie i obojętnie —mało znałem wyjątków, ale się nawet temu dziś nie dziwię. Najzacniejsze i najcnotliwsze, gdy raz wejdą do tego piekła nazwanego teatrem, ulegają, bo uledz muszą tysiącnym wpływom i pokusom, którym się obronić do heroinów należy. Aktorka żyje w ciągłych wrazeniach i wzbudzać je musi na scenie, słońca jest tego okrutnego dziecka, nazwanego publicznością, które bawić trzeba talentem, blaskiem toalet i głośnością prywatnego życia. Co tylko podaje jej rozgłosu, rozbudza zarazem większą

— 268 —

ciekawość publiczności, większe zainteresowanie się taką artystką... a potem rywalizacja szalona, chce olśnienia koleżanek, zdobycia wyższych aplauzów, wszystko sprzysięga się przeciw niej, jako kobiecie...

— Znałem jednakże bardzo ucziwe kobiety— aktorki, które przytem były najlepszymi żonami i matkami.

Popatrzył na mnie błędnym, zamyślonym wzrokiem, potem ocknąwszy się nagle, rzekł z determinacją:

— Nie, panie... Kamilla była typem, a one są takie wszystkie!

Miałem się sprzeczać z nieszczęsnym, który przekonany być nie chciał?

"^ODO*

KONIEC.

-p;.u;okb.o "i^.u^ u--- * | "Btfdbt^/ikwlfm H-hca ,Q